

# MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt IV.

za

KWIECIEŃ

1900.



## TREŚĆ:

- I. Pokój czy wojna? *Ludwik Straszewicz.*
- II. Uniwersytety ludowe w Anglii *m.*
- III. W szponach tygrysa *s. a.*
- IV. Tajemnice lodów bieguna południowego *S.*
- V. Z dziedziny nauki *T. R.*
- VI. Święto pracy i pokoju *L.*
- VII. Obraz wojny, jej ślady, jej skutki.
- VIII. Jan Gabijel Borkman *Kazimierz Puffke.*
- IX. Francja a Niemcy.
- X. Łódź *Esteb.*
- XI. W ojców ślady... *K. Laskowski.*
- XII. Dusiele w Bengalu. *L. Bous-senard.*
- XIII. Ze świata kobiecego. *I. Cwiercsakiewiczowa, E. Żmijewska.*
- XIV. Rozmaitości.

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego i S-ki

Marszałkowska № 141.

**Mydła przetłuszczone** - Hygieniczne, Lanolinowe, Waselinowe z zapachami, udelikatniające i chroniące skórę od pękania, łuszczenia się; czerwienienia; od łupieżu oraz lecznicze wyrabia i poleca Laborat. Chemiczn. Farmaceutyczne **Apteki M. Malinowskiego**, Nowy-Świat № 35 w Warszawie.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA  
**Gebethnera i Wolffa**  
 w WARSZAWIE.

BAŁUCKI MICHAŁ. Pamiętnik Munia, powieść . . . . .	1,20
CAINE HALL. Chrześcijanin. Powieść, przekład C. N. . . . .	1,50
DUBIECKI MARJAN. Kudak. Twierdza kresowa i jej okolice. Monografia historyczna. Wydanie nowe, przejrane i powiększone . . . . .	1,—
— Obrazy i studia historyczne. Serja II. . . . .	2,—
GLIŃSKI KAZIMIERZ. Krzywda, powieść . . . . .	1,50
— Wybór poezyi. Wydanie wytworne rub. 1.— w oprawie . . . . .	1,40
GRUSZECKI ARTUR. Dla miliona, powieść . . . . .	1,20
HOESICK FERDYNAND. Szkice i opowiadania historyczno-literackie . . . . .	2,40
KACZKOWSKI ZYGMUNT. Wybór pism, z przedmową Ig. Chrzanowskiego, w 10 tom rb 5, w op	7,—
LEWICKI ANATOL. Dzieje Narodu Polskiego w zarysie, doprowadzone do najnowszych czasów, rb. 2.— w oprawie płuciennej . . . . .	2,50
NIEMOJEWSKI ANDRZEJ. Listy człowieka szalonego. Powieść . . . . .	1,50
— Wybór poezyj. Wydanie wytworne rb. 1.— w oprawie . . . . .	1,40
OR-OT (Artur Opman) Wybór poezji. Wydanie wytworne rb. 1, w oprawie . . . . .	1,40
ORZESZKOWA ELIZA. Argonauci, powieść 2 tomy . . . . .	2,—
RYDEL LUCJAN. Zaczarowane koło. Baśń dramatyczna w 5 ciu aktach rb. 1, w opr. . . . .	1,40
SIEROSZEWSKI WACŁAW. Brzask. Puszcza Białowiecka Grecka szczelina. Dno nędzy. — Latorośle. Instelnia w górach. Człkcz z ilustracjami K. Górskiego i J. Pan- kiewicza (Biblioteczka ilustrowana) rb. 1.— w oprawie . . . . .	1,40
STARZYŃSKI LEOPOLD. Z gawęd starego myśliwca . . . . .	1,50
... z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych... Książka zbiorowa po- święcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin. Z rycinami i wizerunkiem poety . . . . .	2,40

**SZAFKI BIBLIOTECZNE po rub. 22.50!**

„Maison Nipon“  
 (Japonja)

Warszawa Braeka № 13, I-sze piętro.

FABRYKA i SKŁAD

**MEBLI BAMBUSOWYCH**

Urządzenia pokoi, buduarów, gabinetów sypialni i t. p.

Przyjmuje wszelkie zamówienia, oraz oprawy ro-  
 bót ręcznych jako to: haftów, majoliki i t. p.

**CENY BARDZO NIZKIE.**

**SZAFKI BIBLIOTECZNE po rub. 22.50!**

SZAFKI BIBLIOTECZNE po rub. 22.50!

SZAFKI BIBLIOTECZNE po rub. 22.50!

## **Pokój czy wojna?**

W końcu wieku ubiegłego, przed Sejmem Czteroletnim, duch w narodzie miałki był i mdły: zajmowano się wciąż drobiazgami, zapalano się do wydarzeń skandalicznych; nie umiano ani patrzeć, ani myśleć, do jakiegokolwiek czynu społecznego zanikła zarówno zdolność jak ochota. Ksiądz Kalinka wyraził mniemanie, iż z takiego upadku wydobyć może wojna. „Wojna — twierdzi on — ma w sobie coś poważnego, coś lojalnego; narody zwykle przez nią się oczyszczają i dźwigają.“

Inny wielki historyk tej samej epoki, Albert Sorel, jest również zdania, że w złych czasach wojna lepsza od pokoju.

Na początku znakomitego dzieła, „L'Europe et la Révolution française“, opisuje uczony francuski, jak zgniłe obyczaje nurtowały stosunki międzynarodowe w wieku osiemnastym. Nie uznawano żadnych zasad, nie szanowano żadnych względów: ani moralności, ani przyzwoitości, ani honoru; wszystko zastępował samolubny interes własny. Dwory i rządy całej Europy zachodniej za cel wszystkich dążeń miały krzywdę sąsiada. Narzędziem była dyplomacja, a środkiem ulubionym zepsucie: kłamstwo stało się chlebem powsze-

dnim, przekupstwo i przedajność nie przynosiły już wstydu, oszustwem, kradzieżą dokumentów posługiwało się codziennie, a nieraz uciekano się i do skrytobójstwa. Zwyczajną troską i czynem dyplomacji było np. podsuwanie monarchom kochanek, któreby umiejętną rozpustą osłabiały umysł i skracwały życie.

Wobec tego Sorel dochodzi do wniosku, iż wojna, pomimo całej swej nieludzkiej dzikości w czasach owych, pomimo obcinania jeńcom uszów i nosów, szlachetniejszą była od matactw dyplomacji. Gwałt i podstęp w chwilach walki otwartej budzą wstręt mniejszy. W sferach wojskowych przetrwały jakieś resztki wspomnień o honorze rycerskim.

Opinie ogółu bardzo są pokrewne dowodzeniom Kalinki i Sorela. Uznanie szerokie znajduje wciąż zdanie Moltkego, iż wojna, jak burza, czyści powietrze, unosi z sobą wyziewy zgnilizny społecznej, niszczy zarodki samolubstwa, pleniące się bujnie wśród pokojowego dobrobytu i zadowolenia.

Ludzie — bardzo nawet mądrzy, — bolejąc nad powikłaniami społecznymi, nad plamami na horyzoncie politycznym Europy, wzdychają do wojny, niby do wichru, po którym pierś czystsza, zdrowsze powietrzem oddychać zaczną.

A w tej chwili jest nad czem boleć. Po wygórowanem samolubstwie państw wieku 18-go przyszły właśnie narodów, atmosferę przesycały nienawiści plebienne i na całym świecie cywilizowanego wycisnęły szpetne piętno. Antysemityzm, hakatyzm nie tylko się szerzą, ale się panoszą, przemawiają takim tonem, jak gdyby światu niosły zbawienie, jak gdyby poczęły się z mozolu myśli uczonych i z natchnionych uniesień poetów. Węgrzy tępią Słowaków; Czesi z Niemcami, a Niemcy z Czechami pod jednym dachem wytrzymać nie mogą. We Francji, w szlachetnej Francji, robotnicy biją Włochów, których nędza pędzi z ojczyzny po skąpy kawałek chleba za ciężką pracę, — biją za to tylko, że Włosi! I tak jest wszędzie po 19-tu



wiekach chrześcijaństwa, po wielkich prądach humanitarnych miłości i braterstwa.

Więc ludzie pragną oczyszczenia atmosfery przez burzę, pożądają wojny!

I mylą się. Pomimo wielkiej uczoności i wielkiego rozumu, mylił się Kalinka, mylił się i Sorel.

Wojna nie była i nie mogła być ratunkiem dla narodów od obyczajowego i politycznego upadku w wieku 18-ym, gdyż nie kto inny, jeno wojna upadek ten zrodziła i trwanie jego warunkowała. Stosunki międzypaństwowe ułożyły się wyłącznie siłą wojen i przez wojnę były utrzymywane. Dyplomacja ówczesna nie miała by ani celu ani środków działania, gdyby wszelkie kwestje nie były rozstrzygały się bądź samą wojną, bądź jej obawą. Wojna była orężem dyplomacji; dyplomacja była przewrotną i samolubną, bo miała taki oręż; dyplomacja nie czyniła nic innego, tylko albo szykowała wojnę, albo się od niej wykręcała. Na tem się zaczynała i na tem się kończyła treść jej zabiegów i planów.

Zaraza zepsucia politycznego Europy nie przyszła z zewnątrz, nie została zawleczona z Indji ani z Chin, lecz się wylęgła w kałużach krwi, na pobojowiskach, z niepogrzebanych trupów kwiatu młodzieży wszystkich narodów. Nie mogła i nie może wojna odświeżać powietrza, bo jej wichry niosą i sieją te mijazmaty zgnilizny, na które cierpiał wiek 18-ty, te stęchłe opary nienawiści, które dziś pierś trują.

Że tak jest, najlepszego dowodu dostarczają te właśnie czasy, którym swe pióro poświęcił Sorel.

Przeciwko politycznemu porządkowi rzeczy w starej Europie wybuchnął protest potężny—Wielka Rewolucja francuska. Czy zdoła kto kiedy stworzyć hasła piękniejsze? Nadzieje ówczesne i zamiary, to, zda się, sny jakieś urocze, zaziemskie. Otwórzmy dzieło wielkiego Condorcet'a „Tableau historique des progrès de l'esprit humain“. Mówi on tam, jaką Europa odtąd będzie; nie, jaką być może, lecz jaką być musi. Była to

nie fantazja poety, lecz wywód uczonego matematyka i historyka, oparty na danych faktycznych, na ścisłem wnioskowaniu. I nie sprawdziło się nic. Wraz z Condorcetem takąż omyłkę popełniło wielu filozofów ówczesnych. Czemu? Zanosiło się na to, co głosiły przepowiednie najlepszych umysłów epoki, ale na drodze stanęła wojna. Zmieniła ona, znieprawiała piękne popędy, porwała najdzielniejszych i najszlachetniejszych ludzi, podnieciła najgorsze instynkty.

Rewolucja bronić się musiała przeciwko najazdowi Austriaków, Prusaków, Anglików. Nie chciała nic więcej—jedynie obrony. Ale skoro tylko krew się polala, obraz zmienia się odrazu. Wyziwy krwi działają fatalnie nie tylko na zwierza dzikiego; człowiek upija się nią również. Rzuca mądre przedsięwzięcia, poczuwa nieprzeparte pragnienie zabijania, zwyciężania, obdzierania. Rewolucja zapomniiała szybko o hasłach dobra ogólnego, a zapaliła się do sławy, do potęgi. Po zwycięstwach pokonało ją pragnienie zaborów. Niepoprzestała na ksiąstewkach niemieckich, targnęła się na Belgję, na Szwajcarję. Pragnienie krwi staje się tak wielkie, iż nie wystarcza wojna zagraniczna, poczyną się ohydne rzeź wewnętrzna. Rewolucja kończy się olbrzymim fajerwerkiem zaborczych pochodów Napoleona, po których w sferze stosunków politycznych wraca stary porządek rzeczy. Wojna znieweczyła dzieło Rewolucji.

Dzisiejsza epidemja nienawiści jest w całej Europie bezpośredniem następstwem wojny 1870 roku. Tak stać się musiało.

Któraż wojna w dziejach całych była burzą, czyszczącą powietrze? Nie było takiej nigdy. Każda odarła ród człowieczy z dobytku materialnego i moralnego, rozpętała i podpaliła namiętności zwierzęce; każda namnożyła krzywd i pretensji. Każda nowa wojna przyniesie toż samo. Po każdej musi być gorzej. Wojna silnego znieprawia, słabego—gubi.

Wojny nie rozstrzygają kwestji żadnych, lecz je

bardziej płaczą, stają się zazwyczaj przyczyną nowych walk.

Wojna zawsze była przekleństwem narodów; zawsze była wrogiem cywilizacji, wrogiem najważniejszego z czynników powszechnego szczęścia — wrogiem miłości.

Ale w zaraniu dziejów wojna występuje jako konieczność. Umysł młody nie obejmuje szerokiego kręgu interesów wszechludzkich, niewykształcone serce zdolne jest kochać jedną tylko grupę bliźnich. Reszta to wrogi, a z wrogiem walka.

Dziś narody są sobie sprzymierzeńcami w najważniejszych zagadnieniach bytu jednostek i społeczności. Dziś narody naprawdę są braćmi i bliźnimi, bo kojarzą je też same ideały i wspólne zdobycze wiedzy; treść życia jest na całym świecie cywilizowanym jednaka, jednakie zagadnienia społeczne. Dziś wojna zwalcza nie wroga lecz współpracownika, jest zarazem bratobójstwem i samobójstwem.

Dawniej wojna niosła pożytek pewien i pozostawiła po sobie spadek cenny. Mianowicie wśród niebezpieczeństw wyrabiało się poczucie solidarności, powstawała chęć i zdolność cierpienia i poświęceń za sprawy nie osobiste lecz ogólne, zrodziła się bezinteresowność wobec towarzyszy broni; pozostawało wspomnienie czynów bohaterskich. Niewyrobione jeszcze dusze mogły takich uczuć cennych nabyć jedynie wśród okrzyków wojennych, wśród zgiełku i podniecia walki. Za słabe były środki, za szczupłe zasoby, aby cnoty hodować można było mniejszym nakładem.

Tak było niegdyś. Ale spotkać się można ze zdaniem, że i dziś bez wojny zginęłyby i stępiła zdolność do poświęceń, zgasłyby cnoty rycerskie.

Jest to bluźnierstwo — istotne, krzyczące bluźnierstwo, krzywdzące ludzkość.

Weźmy najpiękniejsze czyny wojenne z dziejów świata całego, te, w których siła poświęcenia zajaśniała blaskiem najsilniejszym. W wężozach Termopilek kładzie życie 300 towarzyszy Leonidasa, nie dla zwycięstwa, lecz z poczucia obowiązku—tak im prawa Sparty kazały! Winkelried włócznią wbija w piersi własne, aby otworzyć Szwajcarom żelazne szeregi rycerstwa najeźdźczego. Karliński zabija dziecko ukochane, aby obronić od Austryjaków powierzona sobie twierdzę.

Nie chcę, o wcale nie chcę osłabiać znaczenia tych czynów bohaterskich. Gdy o nich czytam lub myślę, pierś mą nie słabiej od innych wstrząsa dreszcz wzruszenia i czci. Ktoby rękę podniósł na skarbiec przeszłości, z którego tyle już pokoleń życie czerpało, a więcej jeszcze czerpać będzie, popełniłby zbrodnię świętokradztwa.

Ale i to jest prawdą niewątpliwą, że wszystkie te wielkie czyny wyjątkowe, złotem w dziejach zapisane, błedną wobec poświęceń, które w życiu dzisiejszem są niemal codzienne...

Ludzkość jest coraz większa, coraz doskonalsza.

Takie poświęcenie, jakiego przykład daje siostra miłosierdzia, nie było znane przeszłości, nie oglądało go pole żadnej bitwy. Siostra miłosierdzia oddaje idei, oddaje poczuciu obowiązku, oddaje miłości bliźnich nie śmierć swoją w chwili podniesienia ducha—ona poświęca, na zimno, życie całe, każdą jego minutę. Zrzeka się wszelkich przyjemności świata, tłumia pragnienia serca młodego, pokonywa wstręty, zamiast rozrywki ma ciągłe przestawanie z cierpieniem. Idzie do walki z niedolą bez dźwięków muzyki, bez okrzyków tłumu, nie wabi ją sława ani władza, nie ma ambicji żadnych; pracuje cicho, nieznaną; za podniecie ma jedynie jęk bólu ludzkiego i ten ogień boski, który w jej piersiach goreje. Gdy umrze—dzieje nie wspomną o niej, a pewnie nawet mogiły jej kamień nie upamiętni. I ona wie o tem.



Takich świętych bohaterek-męczenniczek mamy wśród siebie tysiące — coraz więcej, coraz doskonalszych. I my się skarżymy, że siła poświęcenia słabnie, my się bać mamy, że bez wielkiego rozlewu krwi bliźnich zatracimy ducha ofiarności! Czyż nie bluźni, kto tak mówi?

A siostra miłosierdzia nie jest wcale jedynym objawem wysoko dziś rozwiniętej miłości bliźniego i poświęcenia dla wielkiej zbiorowej istoty.

Wybucho zaraza w Indjach lub Chinach. Gdy tylko wieść o tem dojdzie do Europy, w tej chwili ze wszystkich krajów spieszą lekarze, aby nieść ratunek i ulgę cierpieniu, aby wzbogacić wiedzę, t. j. środki ludzkości do walki z niedolą. Morowa zaraza, inaczej czarna śmierć, była przez wieki straszidłem, budzącem grozę i odrazę najwyższą. Narody i jednostki pragnęły nadewszystko, aby się z nią nie spotkać, błagały o to bezustanku Boga. I nie dziwota—spotkanie takie to cierpienia i śmierć niezawodna. Lekarze, dążący na pole walki z chorobą, rzucają zazwyczaj wygodę zamożnego życia, rodziny, rozkosze ludzkiego uznania, często sławy głośniejszej, aby się poświęcić dla ludzi innej mowy, innej wiary, innej całkiem rasy!

Może ktoś powie, iż to są fanatycy nauki i nie dla ludzkości to robią, lecz pcha ich żądza badań. Niech i tak będzie, ale lekarzom towarzyszy cały sztab felczerów i kobiet pomocniczek — ci idą na śmierć jedynie z przeświadczenia, że się biednym, nieznanym narodom pomoc należy od braci szczęśliwszych.

Historja wojen nas uczy, że długie oczekiwanie na wroga, więc na niebezpieczeństwo, rozstrajało najbitniejsze armje; najmężniejsi rycerze szli w rozsypkę, jeśli im wypadło zbyt wielką drogę przebywać do zaatakowania nieprzyjaciela — wszelkie podniecenie nerwów w końcu się wyczerpuje. Tymczasem patrzmy na dzielny hufiec wojowników współczesnych, którzy idą nie zabijać lecz ratować, nie zabierać rodzinom ojców i synów lecz zwracać. Miesiące całe jadą powol-

nie na pole walki, miesiące oczekują wśród jednostajnego życia okrętowego na niebezpieczeństwa i niema wśród nich dezertarów!

Więc niepotrzeba już gwałtów, niepotrzeba póżogi i ruin, aby zdobyć zbawcze przykłady bohaterstwa, aby się ćwiczyć w cnocie poświęcenia. Jak wszystko inne, tak i męstwo dzisiejszych ludzi wzrosło wraz z doskonaleniem się ludzkości.

Na tem nie koniec.

Powtarzam raz jeszcze, że cześć dla wielkich czynów przeszłości, dla tego krwawego mozołu, z jakim przodkowie nasi ze stanu dzikości dźwigali się na wyższe szczeble cywilizacji, jest naszym obowiązkiem, jest ważną potrzebą społeczną. Wdzięczność się od nas należy. Jesteśmy niewątpliwie doskonalsi, ale do żadnej dumy prawa nie mamy, bo ileż nasze warunki życia są łatwiejsze, a większa doskonałość nasza z pracy, cierpienia i poświęcenia ojców wyrosła.

Niemniej przeto należy zjawiska życia rozumieć i oceniać należycie. Poświęcenie dzisiejszych bohaterów nie tylko jest wyższe co do swej siły, ale użyteczniejsze przez treść swoją, nie tylko jest pięknym czynem odwagi, nie tylko pozostawia po sobie budujący przykład i zachętę miłości, ale przynosi pożytek bezpośredni, ratuje cenne życie człowieka, zmniejsza cierpienia. Czyny męstwa pokojowego nie pozostawiają po sobie żadnych złych następstw, nie niosą nikomu ani bólu, ani krzywdy, nie mogą nigdy służyć złej sprawie—są bezwzględnie dobre.

Ażeby rzecz tę należycie i ostatecznie wyjaśnić, zastanówmy się, jaki cel mieć może to, że się jednostki łączą w gromady, zrzekając się przez to znacznej części wolności, poddając się pod ciężki nieraz rygor społecznego porządku? Przez długi szereg lat i setek lat i tysiący lat narody ludzkości szamoczą się wśród

trudnych warunków z wrogimi siłami natury i z własną niedoskonałością. Do czego dążą? Na co idą te ofiary, te cierpienia, te bohaterstwa, ta praca gienjuszków i mozoly milionów, co znaczą uniesienia tłumów i smutki i nadzieje zbiorowych jednostek?

Cel jest jeden, chociaż nie dla wszystkich może widoczny. Kto się głębiej w dzieje myślał wpatrzy, ujrzy go niechybnie. Celem tym — walka z niedolą: ze śmiercią i z cierpieniami.

W trudnym pochodzie swoim ludzkość zdobywa i gromadzi wciąż środki do walki z elementarnymi wrogami swego istnienia; wrogi te czyhają wszędzie, w wodzie i w ogniu, wyrastają z ziemi, idą powietrzem, spadają z obłoków, gnieżdżą się w lasach, mnożą się w zadusznych zaułkach wielkomiejskich. Wiedza to potęga, bo ona coraz to nowe oręża kuje przeciwko niebezpieczeństwom, grożącym z tej strony.

Ludzkość łączy się w gromady do walki z wspólnym wrogiem — ze śmiercią; ale niedoskonałość natury człowieczej, ale brak znajomości i zrozumienia potrzeb, ale szczupłość zasobów materialnych sprawia, że samo istnienie gromadne staje się niebezpieczeństwem, zasłania od śmierci, ale nieraz kosztem cierpień ciężkich; i oto występuje druga troska, zawsze do tego celu prowadząca — udoskonalenie życia społecznego, coraz silniejsze spajanie jednostek w gromadzie i gromad między sobą, a jednocześnie zmniejszenie cierpień.

A że doczesne siedlisko nasze jest prawdziwym padołem płaczu — więc każdy krok naprzód kosztuje wiele trudów, sprawia wiele bólu. Ażeby wytworzyć uczucia wzniosłe miłości, przeznaczone do spajania jednostek i gromad, potrzebna była krew męczenników świętych i czyny bohaterskie Winkelriedów.

Ze tak jest naprawdę, jak tu powiedziano, świadczy moralny, umysłowy i materialny skarbiec ludzkości — przechowuje się w nim wszystko, co do walki ze śmiercią i niedolą potrzebne: więc wspomnienie

czynów, z miłości bliźniego i z miłości gromady płynących, więc wspomnienie cnót bezinteresownych, bez których społeczeństwa by się rozpadły; nauki proroków i myśli mędrców, wskazujące narodom ścieżki postępowania, aby do sił dojść, a rozbicia uniknąć, wreszcie wynalazki i materialny spadek po przodkach do skuteczniejszej walki o istnienie i dobrobyt. Więcej w tym skarbcu nie ma nic.

Wyobraźnia ludzka, marząc o jasnej przyszłości, stwarza takie czasy i krainy szczęśliwości, w których niema śmierci przedwczesnej i nędzy.

Gdy staniemy na tym punkcie rozumienia bytu ludzkiego, rzućmy raz jeszcze okiem na pytanie, czy wojna może coś złego ze świata usunąć, coś dobrego sprowadzić?

Prus w powieści „Lalka” stworzył przepyszny typ z życia naszego, człowieka, pochłoniętego przez rojenia polityczne, Rzeckiego. Wierzy on, iż na świecie musi kiedyś dobro zapanować, i spodziewa się, iż ono przyjdzie na świat z dnia na dzień, odrazu przez jednego wielkiego człowieka, przez wypadek jeden, przez wojnę. Zaczny to człowiek i rojenia jego szlachetne, ale umysł prosty i naiwny — do śmieszności naiwny.

Do Rzeckiego w większym lub mniejszym stopniu podobni są ludzie, którzy przypuszczają, że wypadek jeden, że czyn ujemny, niszczycielski odrodzi życie, odrodzi ludzi.

Postęp—jutro lepsze od dzisiaj i wczoraj — od nas wyłącznie zależy.

Ludzkość przy początku swoim nędzna była, bo biedna, brakowało jej zasobów wszelkich, walka codzienna o kawałek chleba powszedniego nie pozostawiła ani czasu, ani energii na troskę o doskonałość duchową. Ale na szczęście rodzaj człowieczy ma zdolność wytwarzać więcej, niż spożywa lub niszczy, to też każde następne pokolenie otrzymało po przodkach wciąż wzrastający spadek, naprzód materialny a potem



i moralny oraz umysłowy. Przy większem bogactwie, przy pewniejszym i lepszem zaspokojeniu bytu, starczyło czasu i ochoty na rozmyślanie, na jakieś wychowywanie dzieci, na zaprowadzenie zasad i porządku w gromadzie.

Spadek w życiu społecznem jest koniecznym warunkiem i najważniejszym czynnikiem wszelkiego udoskonalenia. Jeden z największych nowoczesnych filozofów tak wyraził zasadnicze prawo zbiorowego życia naszego: pokolenia żyjące zawsze i coraz więcej rządzone są przez pokolenia zmarłe. Jesteśmy takimi, jakimi zrobiła nas przeszłość; pojęcia nasze o świecie, o obowiązkach wytworzyła przeszłość; cnoty, bez których żadna społeczność trwać nie potrafi, zostawiła nam przeszłość; korzystamy z dróg i narzędzi wszelkich, zbudowanych i wynalezionych w przeszłości. Dzięki zapobiegliwości i oszczędności ojców, mamy między sobą ludzi, którzy nie będąc zmuszeni do pracy na zaspokojenie potrzeb materialnych, do t. zw. „walki o byt“, mogą poświęcić się wyłącznie hodowaniu i strzeżeniu dusz naszych; inni cały swój czas oddają zgłębianiu tajników natury, lub wynalazków, co staje się ogólną własnością ludzkości całej i bogatym źródłem wzrostu pomyślności powszechnej.

Więc wszelki postęp jest rezultatem nagromadzonych zasobów. Powiększanie tych zasobów przez pracę, przez doskonalenie siebie i innych to droga jedyna do zdobywania dla przyszłości lepszych warunków bytu. Oprócz niej niema zadnej innej—za to ta pewna.

Kto oczekuje szczęśliwości od nadzwyczajnych zdarzeń, od zbiegu wypadków, kto sądzi, iż jutro, które z dziś się rodzi, może nie być do dziś podobne, ten się ludzi i błądzi; dla tego historia jest niema, dla tego za mało było doświadczenia kilkudziesięciu stuleci.

Aby powiększyć spadek ludzkości, nie trzeba być koniecznie wielkim człowiekiem. Najskromniejszy robotnik, jeśli pracuje z gorliwością, a żyje uczciwie, dorzuca wkład jakiś do ogólnego skarba. Umysłowy

kapitał tworzą nie tylko te myśli, które zapisano w książce, moralny — nie tylko te czyny, które upamiętniła historia, — każde słowo rozsądne, każdy postępek zacny, każdy objaw miłości bliźniego, każde postawienie dobra publicznego po nad interes własny nie mija bez śladu, lecz przechodzi do spadku i przyczynia się w jakiejś mierze przez lata i wieki do powiększenia pomysłowości dzieci i wnuków.

A więc — sens moralny z tego wszystkiego wynika — nie zaprzatajmy głowy naszej myślami o wojnie, nie traćmy sił na wzdychanie do jakichś przewrotów nagłych, nie wiążmy nadziei lepszej przyszłości z wypadkami, które cierpienie przysporzą i zasoby ludzkości zniszczą, — zasoby nie tylko materialne, lecz i moralne. To wszystko z pewnością by nas zawiodło, a zawód to nieszczęście, to w danym razie krzywda, wyrządzona dzieciom własnym. Żyjmy przeświadczeniem, iż jedynymi czynnikami doskonalenia się świata są: cnota, wiedza, praca; przeświadczenie to w czyn wprowadzajmy, a zasłużymy się dobrze przyszłości, pokolenia przyszłe błogosławić nas będą.

*Ludwik Straszewicz.*

## Uniwersytety ludowe w Anglii.

Uniwersytety ludowe to całkowicie wytwór naszych czasów. Najstarsze z nich dosięgają ledwie lat 30-u istnienia. Szybki i powszechny rozwój świadczy o wielkiej ich potrzebie. Krzewią się dziś we wszystkich państwach. Szczególniej rozrosły się w Szwecji, Norwegji, Danji. Ale nie brak ich i w innych krajach. W Rosji powołano je do życia w kilku miastach, początek dała Odesa.

Uniwersytetów ludowych potrzebuje i klasa robotnicza i społeczeństwo. Pęd do zdobywania wiedzy wynika i z chęci polepszenia bytu i z ambicji obywatelskich. Warunki życia wymagają coraz więcej światła. Bez wskazówek nauki niepodobna dziś spełnić należycie obowiązków. Bez latarki wiedzy zginąć można na manowcach.

Uniwersytety ludowe poczęły się w Anglii i tam też doszły do najpiękniejszego rozkwitu. Korzystamy z pracy dra Ludwika Fleischrera, aby z instytucją tą, oraz z rezultatami jej działania zapoznać nasz ogół. Praca nosi tytuł: „Zur Geschichte des englischen Bildungswesens“.

Początek swój uniwersytety ludowe w Anglii zawdzięczają usiłowaniom osób prywatnych; tak się też tu działo i w innych dziedzinach oświaty. Już w r. 1867 w niektórych większych miastach Anglii potworzyły się stowarzyszenia kobiet, mające na celu uzupełnianie swej wiedzy przez wykłady uniwersyteckie. Wykłady te, wygłaszane w godzinach popołudniowych przez profesorów uniwersytetów, lub innych uczonych, tak wielkie miały powodzenie, że musiano je często powtarzać w godzinach wieczornych

dla robotników i wogóle tych wszystkich, którym praca zarobkowa nie pozwalała w ciągu dnia korzystać z wykładów. Miały one jednak i słabą stronę: oto wykładający przybywał do danej miejscowości częstokroć na jeden tylko wykład i następnie już łączność między nim a słuchaczami ustawała. Aby temu zaradzić i dać trwalszą podstawę budzącej się w masach dążności do nabywania wiedzy, profesor Uniwersytetu Kembrydzkiego—Stuart, który już w różnych miejscowościach miewał wykłady popularne i mógł dobrze poznać potrzeby i wymagania słuchaczy, przedstawił w r. 1871 senatowi uniwersyteckiemu następujący projekt organizacji.

a) kursa ludowe nie powinny ograniczać się na jednym wykładzie, lecz obejmować całą serję wykładów, traktujących o tym samym przedmiocie;

b) słuchacze otrzymują drukowany podręcznik, zawierający treść wykładów, przedstawioną w sposób jasny i zrozumiały, oraz wskazówki co do źródeł, z których możnaby zaczerpnąć coś więcej o przedmiocie, ogólnikowo tylko traktowanym w wykładzie;

c) słuchacze, o ile zechcą, mogą na podstawie tego, czego się nauczyli w ciągu tygodnia, przygotowywać piśmienne wypracowania i przedstawiać je do przejrzania i poprawy wykładającemu;

d) po ukończeniu całego kursu odbywać się winny egzaminy, i słuchacze, którzy je zdadzą zadawalniająco, otrzymują świadectwa;

e) kursa pozostają pod opieką uniwersytetu, który na żądanie przedstawicieli gminy lub pewnej grupy ludzi, deleguje odpowiednie osoby do prowadzenia wykładów, o ile naturalnie zapewniony będzie stosowny lokal i wynagrodzenie (mniej więcej 60—70 funtów szterlingów, około 600—700 rubli za 12 wykładów).

Senat uniwersytecki ociągał się czas jakiś z przyjęciem projektu pr. Stuarta, jakby bojąc się odstąpić od wiekowej tradycji. Lecz gdy zaczęły napływać do niego podania z różnych miejscowości, z życzeniem urządzenia u siebie kursów ludowych, wyznaczył wreszcie z grona swego komitet, ma-



jący sposobem próby w ciągu 2-u lat zająć się ich organizacją w niektórych znaczniejszych miastach. Próba powiodła się, i komitet wkrótce z tymczasowego zamienił się na nieustający, z prawem organizowania wykładów wszędzie, gdzie znajdzie się odpowiedni lokal i zapewnione będzie wynagrodzenie dla wykładających.

Pierwsze kursa, urządzone pod opieką uniwersytetu, odbyły się w jesieni 1873 roku. Trzy miasta: Nottingham, Derby, Leicester, urządziły na wspólny koszt serje wykładów, obejmujące: literaturę angielską, fizykę i ekonomię polityczną. W tym celu utworzyły się przedewszystkiem w miastach tych komitety, i zajęły się przygotowaniem odpowiedniej dla wykładów sali, oraz poręczyły zwrot kosztów, o ile by nie dały się one pokryć z opłaty za wejście, niższej zwykle od jednego szyllinga (około 30 kop.) za wykład. W styczniu następnego roku także kursa otwarte zostały w hrabstwie York; wkrótce potem — w Liwerpolu, Sheffieldzie i Leeds; jednym słowem, zewsząd zgłaszano się do uniwersytetu Kembrydzkiego z życzeniem urządzenia podobnych kursów i słuchacze napływali tłumnie.

„Był to namacalny dowód — mówi Fleischrer — że nawet w tych klasach ludności, w których najmniej można było tego oczekiwać, szeroko jest rozpowszechnione nie tylko przeświadczenie o ważności wyższego wykształcenia, ale nadto—poważne dążenie do skorzystania z każdej sposobności, ułatwiającej dostęp do niego; uzasadnioną również była nadzieja, że poważne interesowanie się literaturą, filozofją, historją i naukami przyrodzonymi, będzie miało zbawienny wpływ na sposób życia średniej i niższej klasy ludności, i że w niedalekim czasie setki, a nawet tysiące niezamożnych ludzi otrzymywać będą również systematyczne i gruntowne wykształcenie, jak ich szczęśliwsi współobywatele w uniwersytetach i z rąk tych samych przewodników, co tamci“.

Nadzieja się ziściła. Za przykładem Uniwersytetu Kembrydzkiego poszedł w r. 1877 Oksfordzki. Wprowadził on serje z 6-u zamiast z 12-u wykładów, aby zmniejszyć koszta i ułatwić mniej zamożnym gminom urządzenie kursów. Nad-

to w tymże samym roku zebrał się w Londynie komitet, złożony z przedstawicieli uniwersytetu Kembrydzkiego, Oksfordzkiego i Londyńskiego, aby także na stolicę kraju rozciągnąć dobrodziejstwa kursów ludowych. W tym celu powstało w Londynie specjalne stowarzyszenie, które, dla tem szerszego rozpowszechnienia idei, zaczęło wydawać czasopismo, obejmujące, oprócz urzędowych ogłoszeń towarzystwa, także wiadomości o różnych książkach i rozprawy, wchodzące w zakres wykształcenia ludowego.

Jakoż rezultaty działalności towarzystwa, choć powoli, stawały się coraz widoczniejsze: na przedmieściach i w dzielnicach miasta, zamieszkanych przez klasy robotnicze, powtórzyły się komitety w celu urządzenia kursów; ze względu jednak na niezamożny stan ludności tych dzielnic, wprowadzono serje tylko z trzech wykładów, mające być poniekąd przygotowaniem do kursów obszerniejszych. Prócz tego trzy wymienione uniwersytety rozdzieliły między siebie zakres działalności: komitet londyński objął ster nad stolicą i jej okolicami, kembrydzki zaś i oksfordzki rozpostarły swą działalność na miasta prowincjonalne.

Od tego momentu kursa ludowe szerzą się, rosną i doskonalą. W r. 1873 uniwersytet Kembrydzki wysłał delegatów do 10-u tylko miejscowości, w których korzystało z wykładów 3,200 słuchaczy; w r. zaś 1889—90 w okręgu tego uniwersytetu było już 85 kursów, a liczba słuchaczy wzrosła do 11,595, z pomiędzy których 2,385 co tydzień przygotowywało piśmienne wypracowania, a z liczby tych ostatnich 1,732 złożyło egzamin po skończeniu kursów. W okręgu Oksfordzkim w r. 1889—90, w 109 miejscowościach 17,904 słuchaczy korzystało z kursów ludowych, a 927 otrzymało świadectwa z ich ukończenia. W Londynie w tym samym roku odbyło się kursów 130 dla 12,933 słuchaczy, z których 1,972 przedstawiło prace piśmienne, a 1350 otrzymało świadectwa. Tym sposobem ogólna liczba osób, korzystających z kursów ludowych, dosięgła w r. 1889—90—42,000. Prąd nie ustaje do dziś. W r. 1894 w okręgu Uniwersytetu Oksfordzkiego 20,807 osób słuchało 1544 wykładów 29 pro-

fesorów; w całej zaś Anglii już około 70,000 osób korzystało z kursów uniwersyteckich

Wykłady obejmowały dwie grupy nauk: przyrodniczą i historyczno-prawną, lecz różnorodność tematów była wielka. Tak np. nawet w okręgach wyłącznie robotniczych brano za przedmiot wykładów: wiek Peryklesa, tragedję grecką, malarstwo angielskie, historję Florencji, najnowsze dzieje Europy, rewolucję francuską i t. p., a słuchaczów jednak nigdy nie brakło.

Korzystanie z wykładów ułatwiają wielce „przewodniki“, które słuchacze otrzymują do ręki, a które w doskonałej zwykle i bardzo przystępnej formie zawierają skróconą treść wykładów, poświęconych danemu przedmiotowi, oraz krótką wskazówkę, w jaki sposób należy korzystać z kursów.

„Przy końcu każdej lekcji — mówi przewodnik — wykładający jeszcze raz omawiać będzie dokładniej niektóre części wykładu i chętnie udzieli objaśnień na pytania, z którymi słuchacze zwrócą się do niego w materji, stanowiącej przedmiot lekcji. Ponieważ przytem słuchanie kursów powinno ułatwiać biorącym w nich udział wybór książek, mających stanowić ich lekturę, więc zaleca się słuchaczom zasięgać i pod tym względem rady wykładających. Należy także spodziewać się, że słuchacze będą obecni na wszystkich wykładach i przedstawiać co tydzień piśmienne prace. Do egzaminu ci tylko dopuszczeni zostaną, którzy wysłuchają przynajmniej dwie trzecie ogólnej liczby wykładów i przedstawiać odpowiednią ilość prac piśmiennych“.

Przy końcu przewodnika pomieszczone są tematy dla wypracowań tygodniowych.

Wykładających można podzielić na 2 grupy. Jedną stanowią mężowie ustalonej sławy, którymby łatwo przyszło otrzymać stałą katedrę, którzy jednak wolą poświęcić swą działalność kształceniu ludu, pomimo niedogodności, z jakimi jest to połączone. Drugą składają młodzi uczeni, którzy już złożyli egzamina i do czasu otrzymania jakiej trwalszej posady nauczycielskiej lub też wprost, powodowa-

ni chęcią przysłużenia się dobrej sprawie, przyjęli na siebie ten obowiązek. Praca tych nauczycieli nie jest łatwą. Zwykle każdy z nich przez 5 dni w tygodniu wieczorami miewa wykłady, a prócz tego naucza jeszcze trzy lub cztery razy na tydzień w porze popołudniowej. Niezależnie od przygotowania, jakiego wymagają wykłady, czeka go jeszcze przejrzenie i poprawa robót piśmiennych. Zajęcia trwają zwykle przez 12 tygodni bez przerwy w porze zimowej i przez tyleż czasu latem, nie biorąc już w rachubę podróży, nieraz dalekich.

W r. 1890 zaszedł fakt ważny w historii kursów ludowych. Oto uniwersytet Kembrydzki, pragnąc podnieść ich znaczenie, postanowił uznać je za swoje oddziały „Affiliated School“, o ile obejmować będą ciągle, przez 4 lata trwające, systematyczne wykłady z zakresu nauk przyrodniczych i historycznych. Ukończenie zaś takich 4-letnich kursów nadawałoby prawo wstąpienia do uniwersytetu i pozyskania stopni akademickich, już po 2 latach pobytu, zamiast trzech, wymaganych od innych słuchaczy. Rzadko się wprawdzie zdarza, aby słuchacze kursów ludowych chcieli porzucić swoje stanowiska społeczne i skazywać się na kosztowny dwuletni pobyt w uniwersytecie, niemniej jednak w nadaniu tego przywileju kursa ludowe znalazły najwymowniejsze dla siebie uznanie ze strony najstarszego i tak silnie do tradycji swych przywiązanego uniwersytetu. W ten sposób, jak powiada autor cytowanej przez nas rozprawy, zstąpił ze swego piedestału do ludu i uniwersytecka karjera stała się dostępną dla każdego.

I uniwersytet Oksfordzki zrobił również ważny krok naprzód, otworzył bowiem w tym samym roku na czas wakacji, letnich sale i pracownie swoje dla słuchaczy kursów ludowych. Odtąd corocznie w miesiącach letnich zbiera się w Oksfordzie około 1000 osób, do różnych klas należących: rolników, nauczycieli, rzemieślników, górników i t. p., którzy słuchają w salach uniwersyteckich wykładów, zwiedzają zbiory i biblioteki, i z bogaceni wiedzą wracają po paru tygodniach z uczuciem zadowolenia do swych zwykłych zajęć. Aby i mniej zamożni mogli na czas pewien oderwać się od



ciężkiej pracy zarobkowej i brać udział w tych wycieczkach naukowych, ułatwiają im to wyznaczone na cel ten stypendja, jak np. ustanowione w ilości 20 fun. szt. (około 200 rubli), dla robotnika z kopalni węgla przez córkę sławnego Gladstona. Podobnież i w murach uniwersytetu Kembrydzkiego zbierają się w czasie letnich wakacji słuchacze kursów ludowych, lecz ci tylko, którzy złożyli zadawalniająco egzamin i odznaczyli się pilnością; mają oni prawo pracować w laboratorjach i bibliotekach, które wyłącznie też tylko dla nich wtedy są otwarte.

Taka jest w ogólnym zarysie organizacja kursów ludowych w Anglii. O usługach zaś, jakie oddają i korzyściach, jakie przynoszą, mogą pouczyć następne dane, tyjące się wyłącznie kursów w jednym z okręgów robotniczych, mianowicie w w Northumberlandzie, jako głównem środowisku kopalni węgla.

W tym okręgu pierwsze kursa urządzono w jesieni 1879 r. w 4-ch miejscowościach, na które pilnie uczęszczali i robotnicy z kopalni węgla. Otóż na egzaminie, odbytem po ukończeniu kursów, najlepiej odznaczył się prosty górnik, po nim zaś córka właściciela kopalni i zarazem członek parlamentu. Górnicy tak byli dumni z tego odznaczenia się swego towarzysza, że oprowadzali go w uroczystym pochodzie po całym okręgu kopalnianym, chcąc tym sposobem zachęcić swych kolegów do dostarczenia środków na nową serję wykładów. Jakoż w następnem półroczu 5 miejscowości urządziło wykłady, których słuchało przeszło 1300 górników; mniej zamożnym ułatwiała wielce uczestnictwo w kursach bardzo niska cena, bo tylko 1 szyling wynosząca za całą serję 12 wykładów; deficyt, jaki się okazał, pokryty został częścią przez związki robotników, częścią przez właścicieli kopalń lub inne prywatne osoby. Również w następnych latach kursa odbywały się z wielkiem powodzeniem; przedmiotem wykładów były: ekonomja polityczna, historja Anglii, chemja, geologja, fizjologja, geografja fizyczna i literatura angielska.

Naoczni świadkowie odzywają się z największemi pochwałami o powadze i gorliwości robotników, uczęszczają-

cych na wykłady, o jasności i ściśłości, z jaką zdawali z nich sprawę, a nawet o niepospolitej wiedzy, jaką nieraz zdradzali. Tak np., gdy raz po skończonym wykładzie zawiązała się rozmowa pomiędzy słuchaczami a profesorem i ten wspomniął o dziele Whewell'a „Historja nauk indukcyjnych“, jeden z robotników zawołał:

— Ach, oddawna pragnę mieć tę książkę! Stuart Mill zbija niektóre hipotezy autora, lecz, o ile sądzić mogę, nie ma racji.

Niektóre kursa liczyły do 800 słuchaczy i to samych robotników, a z pomiędzy nich 40 — 50 przedstawiało co tydzień wypracowania piśmienne, pełne nowych, oryginalnych myśli, jakkolwiek pisownia w nich nie zawsze była poprawna.

W niektórych miastach, jak Newcastle, Nottingham Scheffield, objawiło się tak wielkie pragnienie wiedzy, że kursa zamieniły się w stałą instytucję; w drugim z tych miast mogło się to stać dzięki ofercie 10000 funt. szt. (około 100000 rubli), złożonej przez osobę prywatną, w Scheffieldzie zaś zebrano na ten cel 20000 funt. szt. (około 200000 rub.), a związki robotnicze chętny brały udział w tych ofiarach. Wymowniejszym jednak, niż ofiary pieniężne, dowodem zapału do nauki wśród robotników jest wzajemna pomoc, jakiej sobie udzielają dla zdobycia pożądanej wiedzy. W tym celu potworzyły się w niektórych miejscowościach prawdziwe „stowarzyszenia studentów“, których członkowie po ciężkiej całodziennej pracy zbierają się dla wspólnej nauki. Zdarzają się nawet osady, których ludność, będąc zbyt biedną, aby urządzić u siebie oddzielne kursa, stara się informować o kursach, odbywanych w najbliższym mieście i wspólnymi siłami je studjować. Przykładem takiej samopocy jest mała wioska Backworth, zamieszкана przez górników. 40 z nich zaczęło zgromadzać się codziennie, początkowo w miejscowej oberży, a następnie, gdy nie znajdowano tu pożądanej ciszy z powodu nieodłącznego od takich miejsc zgiełku,—w wynajętej oddzielnej sali. Tutaj, obrawszy z pomiędzy siebie przewodniczącego, zajęli się odczytywaniem przygotowanych przez siebie wypracowań, traktujących o naj-

rozmaitszych przedmiotach, a następnie postanowili wystudjować starannie pewien określony dział wiedzy. Wybrano geodezję i zwrócono się z prośbą do prof. Stuarta, aby nakreślił im plan zajęć, oraz wskazał dzieła odpowiednie. Otrzymawszy potrzebne książki i wskazówki, pracowali w chwilach wolnych w domu i owocem swej pracy dzielili się na swych tygodniowych zebraniach. Rezultaty wspólnej pracy okazały się bardzo pomyślne. Stwierdził to profesor Stuart, kiedy po 6 miesiącach, na żądanie studjujących, odbył z nimi egzamin.

Następnie, korzystając z odbywających się w sąsiednim mieście Newcastle wykładów pr. Moultona „O komedji starożytnej“ i z przesłanych im 25 egzemplarzy przewodnika, traktującego o tym przedmiocie, stowarzyszeni z Backworth gorliwie się nim zajęli. Nie mając jednak odpowiedniego przygotowania, nie byli w stanie zwalczyć napotykaných trudności, pomimo usilnej pracy; znalazło się wszakże siedmiu między nimi, którzy przedstawili przy końcu kursów piśmienne swe prace prof. Moulton'owi. Kiedy zaś w następnym roku prof. Moulton znalazł sposobność zjechania do Backworthu i miał tu wykłady o literaturze angielskiej, stowarzyszeni zajęli się Szekspirem i opracowali piśmiennie temat: Szekspir, jako poeta dramatyczny. Z kolei stowarzyszenie Backworkcie zabrało się do nauk przyrodzonych, a pożyczwszy książek i mikroskopów od sąsiedniego zamożniejszego stowarzyszenia, zajęło się naprzód botaniką. Kiedy zaś w poblizkiem mieście rozpoczęły się wykłady z chemji, dwóch członków stowarzyszenia ofiarowało się w dni, poświęcone wykładom, po skończonej dziennej pracy odbywać wędrowkę do odległego o 8 wiorst miasta, aby nazajutrz z pomocą przewodnika powtórzyć cały wykład współtowarzyszom. Odbyty po skończeniu kursów egzamin wykazał, że stowarzyszeni bakworecy w znajomości wykładanego przewodnika nie ustępowali słuchaczom, którzy korzystali bezpośrednio z wykładu samego profesora.

Za wymowny także dowód pragnienia wiedzy przez klasę robotniczą w Anglii służyć może zakończenie odezwy, z jaką zwrócił się jeden z komitetów o zasiłki pieniężne dla kursów:

„Czy chcecie, towarzysze, przyczynić się do zapewnienia przepaści, jaka dzieli dziś różne warstwy społeczne? Czy pragniecie pomódz nam do odparcia od nas zarzutu ciemnoty, który tak często podnoszą przeciwko klasie robotniczej? Czyż studjowanie dzieł naszych wielkich poetów i artystów ma pozostać nazawsze monopolem tych, co są dość bogaci, aby opłacić koszta staranniejszej edukacji? Mamy do wygrania wielką bitwę przeciwko ciemnym potęgóm nieuctwa!“

Ale najlepszem świadectwem wielkiego pożytku, spływającego z kursów, są własne zeznania ich uczestników, jak np. słowa, wyrzeczone na zebraniu przez jednego z nich, stolarza z profesji:

— Przed laty 6 znalazłem się po raz pierwszy w tej sali, celem słuchania wykładów, i odtąd nie opuściłem ani jednego. Nie potrafię wyrazić słowami, ile im mam do zawdzięczenia: sprawiły one zupełny przewrót w całym mem jestestwie; rozszerzyły horyzont mego widzenia i sąd mój ugruntowały.

A oto wyjątek z listu młodego robotnika przędzalni w Oldhamm do sekretarza komitetu w Oksfordzie:

„Mam honor donieść Panu, że otrzymałem książkę, przyznaną mi jako nagrodę; oddawna pragnąłem ją posiadać. Może Pana zainteresuje wiadomość, że gdyby mi ktoś przed rokiem powiedział o studjowaniu historii Irlandji, roześmiałbym się, jak z jakiej niedorzeczności. Wyznam bowiem otwarcie, że miałem nieprzewyciężony wstręt do wszystkiego, co nazywa się pracą naukową; szczęśliwy tylko przypadek, który sprowadził mnie na salę wykładów, zeń mnie wyleczył. Odtąd nie opuszczam żadnego wykładu. Dziś prawie codziennie uczęszczam do biblioteki w Oldhamm i poświęcam w niej nauce co wieczór czas wolny od 8-ej do 9½, a w soboty cały czas popołudniowy; 3 razy chodziłem pieszo do Manchesteru, aby odnaleźć w tamtejszej bibliotece książki, których nie ma w Oldhamm. Nigdy przedtem nie myślałem, że tak pokocham naukę, lecz praca wszystko przewycięża.“

Inny znowu robotnik, przesyłając tygodniowe wypracowanie profesorowi w Kembridge, który miewał wykłady o astronomji, tak pisze w swym liście:



„Wiem, że wypracowanie moje jest złe, lecz jestem robotnik, dopiero w 30 roku życia nauczyłem się czytać... Nazwiesz Pan niewątpliwie niedorzecznem odważyć się na studjowanie astronomji, nie znając jej elementów. Zupełnie się na to zgadzam, mam jednak nadzieję, że pomimo to Pan mi nie odmówisz swej sympatji i pomocy, oraz wybaczysz braki w mej pracy...”

Jeden zaś z młodych rzemieślników, zajmujący się stolarstwem, postanowił koniecznie, pod wpływem słyszanych wykładów, zająć się nauką języka greckiego. W tym więc celu postarał się o pracę dla siebie w Oksfordzie i tu, przy pomocy jednego z młodych profesorów, poświęcał czas wolny od swych zajęć zarobkowych nauce greczyzny.

Nie brakło między słuchaczami kursów i takich, którzy prosili o przedłużenie im terminu, wyznaczonego na napisanie roboty egzaminowej, żaląc się, że ich ręce, zgrubiałe od pracy, nie przywykły do pisania i wypowiadają im często posłuszeństwo.

Na zakończenie pozwolimy sobie przytoczyć jeszcze jeden wzruszający fakt, świadczący o tym czynnym współudziale wszystkich warstw społecznych w Anglii w zainteresowaniu się nauką. W jednym z miast, posiadających kursa ludowe, znalazł się przypadkiem na wykładzie wychowawiec istniejącego tam instytutu ociemniałych. Umiał on po powrocie z wykładu zdać z niego sprawę tak barwnie i wymownie swoim towarzyszom, że wszyscy pragnęli brać udział w kursach, lecz z żalem musieli się rozstać z tą myślą dla braku środków. Przyszedł im jednak z pomocą przewodniczący związku robotników, który zarządził składkę wśród kolegów, umożliwiającą biednym ociemniałym korzystać z upragnionych wykładów. Rozumie się zaś samo przez się, że obok robotników, drobnych kramarzy, można było widzieć siedzących także na tych samych ławkach synów i córki miejscowej szlachty i bogatszego mieszczaństwa, lub nauczycieli, chcących skorzystać ze sposobności, aby uzupełnić swą wiedzę.

„Biorąc pod opiekę kursa ludowe—kończy nasz autor—uniwersytety same sobie wyświadczyły wielką przysługę.

Przeznaczeniem ich jest być ogniskami powszechnego wykształcenia, a były już blizkie ugrzęźnienia w formalistyce i w dyletantyzmie. Tymczasem, niby orzeźwiający wiatr poranny, powiał szeroko po kraju wśród najniższych warstw zapał do nauki i zmusił niedostępne przybytki wiedzy, które tylko dla nielicznych wybrańców były otwarte, wejść z ludem w bliższe zetknięcie, co dawniej zdawało się niemożliwym. Słusznie też jeden z uczonych mógł powiedzieć:  
„Ruch ten ocalił uniwersytety.“ *m.*

---



Na tych noszach niesiono mnie przez dwa dni.

## W szponach tygrysa.

Czas dłużył się na okręcie „Britannia“, odwożącym do Anglii kilku oficerów armji indyjskiej. Dla skrócenia nudów, pasażerowie, zebrani w pięknie umeblowanym salonie, postanowili, że każdy z kolei opowie jakieś przejście dramatyczne, którego sam był bohaterem lub ofiarą.

Major Nevil, słynny uczestnik najniebezpieczniejszych polowań na tygrysy, zaczął w te słowa:

— Staliśmy o sześć dni marszu na południe od Kalkuty. Z wielką skwapliwością badałem gęste lasy, otaczające obóz dokoła. W chwili gdy z trudnością przedzierałem się przez trawy i zarośla, na zakręcie drogi ujrzałem nagle ciekawy obrazek rodzinny.

— W wyschniętem łózysku rzeki rozłożył się tygrys, z tygrysią i dwojgiem małych. Podczas gdy ojciec drzemał opodal, tygrysięta pod czujnym okiem matki brykały, tarzały się w piasku, drapały się i kąsały wzajem, dla zabawy; słowem, oddawały się rozmaitym uciechom tygrysim.

— Nawpółleżąc na wyniosłym wzgórzu, ukryty w krzakach, śledziłem je, nie będąc sam widziany. Tygrysica wyglądała wspaniale—nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać tak przepysznego okazu. Instynkt myśliwski obudził się we



Ukryty w krzakach śledziłem rodzinę drapieżców.

mnie z namiętnością nieprzepartą. W ciągu paru dni urządziłem wyprawę.

— Zabrałem ze dwudziestu ochotników, uzbrojonych na sposób indyjski. Stanęło na tem, że jedna część oddziału wyruszy na tygrysa. Ja brałem na siebie tygrysicę. Skoro tylko dojrzała mnie, zaczęła z góry na zębicie, rzuciła się z wściekłością. Dałem ognia; kula, wstrzymana w pędzie przez gałąź, musnęła zaledwie

zwierza. Nietracąc ani chwili, strzelam raz drugi. Teraz kula trafiła. Ujrzałem krew. Tygrysica ryknęła strasznie i zniknęła za pagórkim. Popędziliśmy za krwawymi śladami. Biegliśmy łożyskiem potoku aż do wąwozu. Tam otoczyły nas wysokie skały i trawy. Przezorność niepuściła nas dalej. Jeden z moich ludzi wdrapał się na drzewo.



— Panie!—zawołał nagle — widzę ją. Rozciągnęła się na ziemi, stąd o parę kroków.

— Żyje, nie żyje?

— Nie żyje.

— Powiniennem był przypomnieć sobie stare przysłowie

indyjskie: „Tygrys zawsze jeszcze żyje“. Ale wyszło mi to zupełnie z myśli. Zbliżałem się bez obawy, gdy nagle spostrzegam, że tygrysica niezabita, lecz tylko raniona, więc rozwścieczona. Oczy pałają, z pyska toczy się piana. Zwierzę leżało pomiędzy dwoma skałami. Czyhała na mnie. Zdążyłem zaledwie chwycić karabin i zmierzyłem w serce. Ale stałem za blisko. Kula nie miała impetu. Druga strzaskała jeden z kłów mojej groźnej przeciwniczki i wyszła pod okiem. Tygry-



Wpakowałem tygrysicy karabin do gardzieli.

sica wspięła się na tylne łapy i stanęła przedemną z rozwartą paszczą. Nie zdołałem już nabić karabinu. Wpakowałem go jej do gardzieli. Szarpnęła i wyrwała mi z rąk strzelbę. Zostałem zupełnie bezbronny, zdążyłem tylko podnieść ręce, aby sobie głowę osłonić. W jednej chwili schwyciła mnie i zaniosiła do łożyska wyschniętej rzeki. Tam rzuciła się na

mnie i wstrząsała z całych sił, jak gdyby chciała zgruchotać mi krzyż. Jedną łapą wpijała mi się w plecy, drugą szarpała mi biodra; krew, uciekająca z jej pyska, zalewała mi twarz. Bronić się nie mogłem. Udawałem, że nie żyję. To mnie wyratowało.

— Tymczasem moi ludzie nie pozostawali beczynni. Jeden z nich podniósł ogromny kamień i rzucił go prosto w łeb tygrysicy. Przytem krzyczał z całych sił. Wobec tego tygrysica puściła mnie, żeby stawić czoło nowemu niebezpieczeństwu. Zrobiłem rozpaczliwy wysiłek, podniosłem strzelbę i podałem ją jednemu z moich towarzyszków. Usłyszałem huk wystrzału i... zemdlałem.

— Gdym wrócił do przytomności, tygrysica leżała rozciągnięta obok mnie, teraz już na dobre zabita.

— Nic mi już nie pozostaje, jak umrzeć—szepnąłem.

— Trzeba było próżb, zaklęć, żeby mnie skłonić do opuszczenia miejsca, na którym chciałem ducha wyzionąć. Ludzie moi ścięli drzewo, oberżnęli gałęzie i uwiązawszy na niem swoje pasy, utworzyli rodzaj hamaku, na którym mnie złożono. Musiałem odbyć 80 kilometrów w takich noszach, bo bliżej nie było doktora. Krew sączyła się z ran. Należało koniecznie ją zatamować, inaczej wyciekłaby z moich żył do ostatniej kropli. Użyłem sposobu pierwotnego, a gwałtownego. Kazałem rozgrzać żelazo do czerwoności i wypalić te rany, które krwawiły najbardziej. Przeprawa ciągnęła się dwa dni; wytrzymałość ludzkiego organizmu jest niesłychana, skoro może przetrwać takie próby. Nie na tem był jednak koniec moich doświadczeń. Ręka pokąsana przez tygrysa napuchła w sposób przerażający. Gdy doktor ją ujrzał, oświadczył, że trzeba uciąć. Oparłem się temu stanowczo, wolałem śmierć, niż takie kalectwo. Nie umarłem, ale cierpiałem przez pół roku po nad wszelki opis.

— Było to moje ostatnie spotkanie z tygrysem — kończył major Nevil.—Niedłatego, żeby wspomnienie przebytego niebezpieczeństwa i zniesionych tortur odjęło mi ochotę do polowania—bynajmniej, mogło ją tylko zagrzać, ale, wcześniej czy później, wszystko się skończyć musi, a sądziłem,

że ta ostatnia przygoda była wcale nieżłem ukończeniem mojej kariery myśliwskiej.

— Widzę, że opowiadanie zajęło panów—dodał major.— Cóż powiecie, gdy wysłuchacie przygody pana Artura. To było dopiero wzruszające!

Oczy wszystkich zwróciły się na Artura.

— O, to dawne dzieje—rzekł on,—a właściwie to przygoda nie myśliwska. Owego dnia nie wyruszyłem na łowy i nie stoczyłem żadnej walki. Pozwólcie państwo nie odnawiać wspomnienia tej wcale niezabawnej awantury. Byłbym wam za to bardzo wdzięczny. Doznawałem wtedy takiego uczucia, jakie ma zapewne kawałek słoniny, w chwili gdy rzuca się nań szczur, schwytny w pułapkę.

To wesołe porównanie i sposób, w jaki wymawiał się Artur, znany z awanturnicznych przygód, zaostrzyły jeszcze ciekawość. Na ogólne prośby, widząc, że nie wypadało ka-  
zać się prosić, Artur zaczął opowieść:

— Było to w r. 1856, w Birmanie, pomiędzy Prome a Rangoon. Okolica była nękana przez bandy Mung-Goun, Gee, jednego z najgroźniejszych wodzów indyjskich, z którym mieliśmy ciągle zapasy i utarczki. Wyszędłem na rekonesans. Noc zaskoczyła mnie na znacznej odległości od naszej głównej kwatery. Rozpaliliśmy ogniska i zabieraliśmy się do spoczynku. Sądzę, że musiało być około trzeciej po północy, gdy nagle uczułem, że mnie coś podrywa z ziemi. Zanim zdołałem zdać sobie sprawę, czy śnię, czy też jestem ofiarą wypadków rzeczywistych, zostałem związany i zawleczony do obozu Gounga.

— Nazajutrz rano stawiono mnie przed oblicze wodza. Skoro mnie ujrzał, zaśmiał się okrutnie.

— Ha!—zawołał—mam więc w ręku jednego z tych przeklętych Anglików, którzy nam kraj odbierają i chcą nas przywieść do niewoli. Nienawidzę twoich współbraci... Obmyślałem ci taką torturę, abyś odpokutował za wszystkie ich bezeceństwa.

— Po tych słowach zbirowie Goungi zawiązali mi oczy i popychając przed sobą pięściami i pałkami, kazali mi zro-

bić ze cztery lub pięć mil wśród dżungli. Wreszcie usłyszałem, że się zatrzymują. Przybyliśmy widocznie na miejsce. Tak też było. Rozwiązano mi oczy. Wśród wysokich zarośli stała zasadzka na tygrysy.

— W pierwszej chwili nie przeniknąłem zamiaru moich sprawców i nie rozumiałem, jaki związek może zachodzić pomiędzy mną a pułapką na tygrysy. Wyjaśniło się to zbyt wcześnie. Zasadzka była zrobiona z bambusów; część służąca za przynętę i odgradzona deskami od reszty, była takiej wielkości, że mogła pomieścić człowieka. Człowiekiem, dla którego przeznaczono to miejsce,—byłem ja. Zdjęto ze mnie ubranie i położono mnie w tej zagrodzie. Byłem spętany i nie mogłem wcale się ruszać. Nic mi nie pozostawało, jak czekać śmierci okropnej.

— Byłem zgubiony bez ratunku. Jakaż mogłem mieć nadzieję? Moi ludzie nie wiedzieli, co się ze mną stało. Żaden ślad nie wskazywał im, gdzie mnie szukać należy.

Co prawda, w obozie Mung-Goung Gee, jakaś mała dziewczynka patrzyła na mnie z litością i z narażeniem własnego życia podała mi wody. Prosiłem ją, żeby pobięła do naszej głównej kwatery i powiedziała kapitanowi Oyly, w jakim znajduję się położeniu i prosiła go o natychmiastową pomoc. Ale ta mała nie słyszała mnie zapewne lub nie zrozumiała, czego od niej żądam. Albo może nie pośpieszyła na czas. Upływały długie godziny.

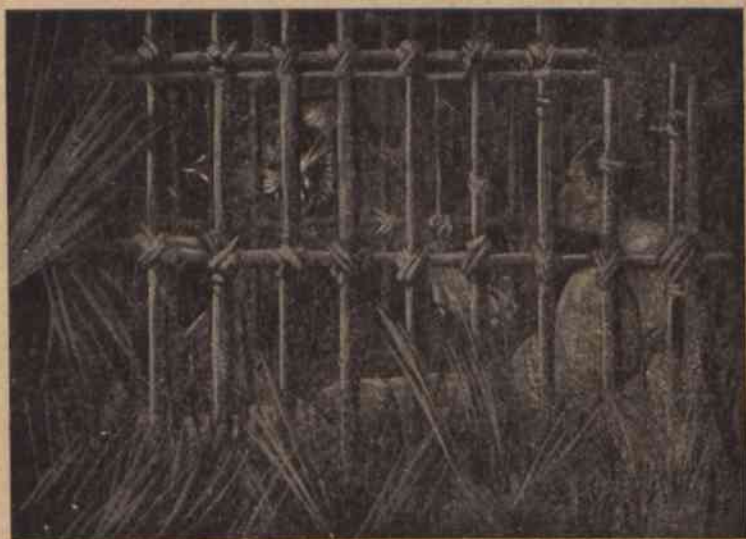
Nagle począł mnie dolatywać odgłos kroków. Zwierz jakiś węszył, okrążając zasadzkę. Nie ulegało wątpliwości! To był tygrys. Znalazł otwór. Wszedł. Drzewiczki zatrzaśnięły się za nim. Ja i tygrys byliśmy zamknięci w tej wąskiej i ciasnej klatce. Przedzielała nas tylko bambusowa krata. Leżąc nieruchomo w mojej przegródce, słyszałem jego oddech, widziałem jego potężną głowę, oczy, w których widok mojej osoby zapalał błyski pożądliwe; widziałem paszczę rozwartą, jej kły szarpały już bambusowe pręty; widziałem łapy olbrzymie, już jedna z wysuniętymi pazurami dotykała mnie prawie.

— Wyobraźcie sobie najgorsze męczarnie ostatnich chwil skazańca. Człowiek, ginący w nierównych zapasach,



może przynajmniej walczyć; ja musiałem biernie wyczekiwać śmierci, Gdyby przynajmniej ta śmierć mogła przyjść szybko. Ale nie. Moi sprawcy wszystko mądrze obmyślili, abym przed śmiercią doznał straszliwych katuszy. Wylamanie przegrody, za którą leżałem, musiało zabrać tygrysowi trochę czasu. A ja przez ten czas miałem sto razy umierać ze strachu, zanim umrę naprawdę w jego paszczy.

— Myśl o niechybnem niebezpieczeństwie dodała mi siły. Instykt zachowawczy, przygłuszający głos rozsądku,



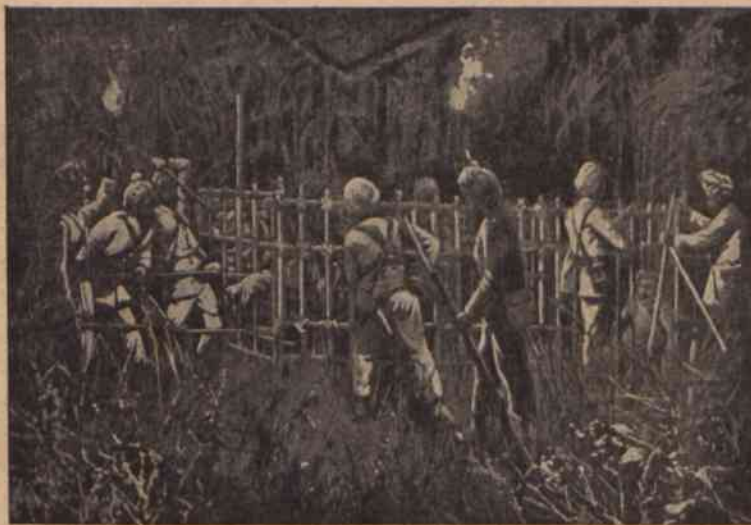
Widziałem paszczę rozwartą; kły szarpały już bambusowe pręty...

popychał mnie do wysiłku bodaj daremnego. Zdołałem zerwać moje pęta. Ale na co mi się to zdać mogło? Uciec było niepodobna. Aby się oddalić bodaj o parę cali, uciepiłem się krat ściany zewnętrznej. Tygrys dosięgał mnie przednimi łapami i pazurami szarpał mi plecy. Zapach broczącej już krwi upajał go i doprowadzał do wściekłości. Za chwilę złamie oddzielającą nas zaporę. Było już po mnie.

— Nagle ujrzałem błysk. Doleciał mnie odległy szmer łosów. Przyzywano mnie z oddali. Lecz gardło ścisnęło mi

się ze strachu i nie mogłem zeń głosu wydobyć. Po chwili ukazało się dwudziestu „sikhsów“ z naszego pułku. Dziewczynka spełniła moje polecenie. Nadchodził ratunek. Ale czy zdążą na czas, a może już tylko zabiorą okrwawionego trupa?

— Ratunek był bardzo utrudniony: Moi wybawcy nie mogli strzelać, bo Goung Gee znajdował się w pobliżu. Gdyby jego banda rzuciła się na nas, rozniosłaby mały oddział.



Trzeba było dźgać tygrysa bagnietami.

łek i wymordowała go niebawem. Trzeba więc było dźgać tygrysa bagnietami. Zachodziła obawa, że gwałtowne skoki zwierza mogą roznieść pułapkę. Zanim zdołano z nim się załatwić, przeszła conajmniej godzina. Śledziłem przebieg tej walki w śmiertelnej trwodze. Nękany ze wszystkich stron, rozwścieczony tygrys jednym machnięciem łapy mógł zabić mnie na miejscu. Ale z licznych jego ran krew płynęła strumieniem, siły go opuszczały. Ryk przechodził w rżerzenie. Wreszcie byłem ocalony.

Podczas gdy te straszne wspomnienia zarysowały się w pamięci Artura, pot wystąpił mu na czoło.

— Gdy przypomnę sobie tę okropną przygodę—kończył—nie dziwi mnie ani okrutny pomysł Goung Gee, ani litość mojej małej wybawicielki, ani szczęśliwe przybycie w porę moich przyjaciół. Jednemu tylko się dziwię: żem ja tam nie oszalał.

*z. a.*



eras. 2922/1900/4.

## Tajemnice lodów bieguna południowego.

Obecnie już nie ku północy zwracają się wyprawy ciekawych badaczy natury, usiłują oni przeniknąć tajemnice stref lodowych, w pobliżu ziem *antarktycznych* \*).

Wątpliwości, dotyczące się bieguna północnego, rozstrzygnął po części Nansen, jemu zawdzięczamy wiadomości, że północną powierzchnię globu naszego oblewa ocean bardzo głęboki, pokryty ruchomymi lodowcami i że punkt, przez który według obliczeń matematycznych przechodzi oś ziemi naszej, położony jest wśród zamrożonych pustyń śniegowych.

Tymczasem strefa lodowców bieguna południowego zupełnie nam jest nieznana. Podczas gdy bohaterki Norwegczyk zdołał dotrzeć do bieguna północnego na odległość mało co dalszą jak z Warszawy do Krakowa, żaden z najśmielszych żeglarzy nie zbliżył się więcej do bieguna antarktycznego nad 1555 kilometrów, to jest prawie na odległość Krakowa od Petersburga.

Przypatrzmy się zresztą mapie półkuli południowej: poza Ameryką, Afryką, Nową Zelandją, na tym samym stopniu szerokości geograficznej co Islandja, widzimy na półkuli północnej niewyraźne linje wybrzeży, a za nimi białe, nieznane przestrzenie, tak wielkie, że wedle obrazowego wyrażenia Eligjusza Reclus, cały księżyc mógłby tam się zapaść, nie dotykając granicy okolic, człowiekowi już znanych.

---

\* *Antarktyczny* t. j. przeciwległy Niedźwiedzicy, wyraz, używany na oznaczenie miejscowości, położonych blisko bieguna południowego, dla odróżnienia od *arktycznych*, leżących blisko bieguna północnego, w stronie gwiazdozbioru Niedźwiedzicy, stąd biegun *antarktyczny*, kraje *antarktyczne*, morze *antarktyczne*, t. j. ocean południowy Lodowaty, który otacza puste, niezbadane jeszcze brzegi stałego lądu, antarktycznego.



Co ukrywać się może w tej tajemniczej części świata? Ocean, archipelag, czy większy obszar lądu stałego? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, znajduje się tam szóstą część świata, pokryta całkowicie lodowcami, wobec których lodowce bieguna północnego są niewielkimi zaspami śniegu. Jest to wprawdzie tylko przypuszczenie, oparte na spostrzeżeniach naukowych, żadna bowiem istota ludzka nie przedarła się jeszcze w owe nieznanne strony globu.

Podczas gdy w ciągu XIX-go stulecia poznano i zbadano niedostępne zakątki Azji i Afryki, gdy zimnym strefom



Obserwacje meteorologiczne na krach lodu.

*Codziennie uczeni wychodzili na lód i dokonywali badań naukowych, robiąc spostrzeżenia astronomiczne i zapuszczając sondy, celem badania głębin morza.*

północy wydarto wiele ich tajemnic, gdy stopy odważnych wędrowców przebiegały najdziksze pustynie, strony podbiegunowe, antarktyczne, były długo zaniedbywane. Z jakiej przyczyny? Odpowiedź łatwa. Do okolic tych, położonych na drugim końcu świata, płynąć trzeba kilka miesięcy na dużych okrętach, ze znacznymi wszelkiego rodzaju zapasami, co pociąga za sobą koszta olbrzymie, przewyższające nieporównanie koszta wyprawy do Spitzbergu, oddalonego od Norwegii zaledwie o trzy dni drogi morskiej.

Nadto dostęp do lodowców antarktycznych bardzo jest utrudniony; w pobliżu przylądka Horn i przylądka Dobrej

Nadziei pęd wiatru bywa tak silny, że podnosi fale morskie do wysokości niewidywanej gdzieindziej i kołysze okrętem, niby wążką łupiną orzecha.

Prócz tego lodowce na półkuli południowej podpływają daleko bliżej do równika, niżeli na półkuli północnej. W okolicach przyłęków Horn i Dobrej Nadziei spotyka się je na stopniu szerokości geograficznej, odpowiadającym cieśninie Gibraltaru i Newcastle w Anglii. Olbrzymie odłamy lodu stanowią tu o wiele groźniejsze niebezpieczeństwo dla okrętów, niż pływające góry lodowe na półkuli północnej. Długie na kilka kilometrów i wysokie 100 do 150 metrów lodowce te tworzą prawdziwe wyspy ruchome, posuwane



**Góra lodowa (iceberg) na morzach antarktycznych.**

*Najstraszniejszym jesacze niebezpieczeństwem groziły icebergi, te potwory z lodu, długości 40—50 kilometrów, wysokości 125—150 metrów; unoszone przez prądy wody, drugoczą jednym uderzeniem napotkany statek.*

prądami wiatru i wody. Często podczas mgły żeglarze biorą je za ziemię, pokrytą śniegiem. W południowej stronie przyłęka Horn ze statku angielskiego, trudniącego się połowem wielorybów, zauważono jeden taki lodowiec, mający więcej niżeli 55 kilometrów obwodu.

W ciągu kończącego się stulecia przedsiębrano równocześnie prawie trzy wyprawy naukowe do bieguna południowego: z Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych. Im też zawdzięczamy wszystkie wiadomości, jakie posiadamy o tych odległych stronach. W r. 1838 i 1840 słynny Francuz Dumont d'Urville dołynął do przyłęka Horn i do Nowej Ze-

landji, i oznaczył nazwami francuskimi wiele tamtejszych miejscowości; Amerykanin Wilkes odkrył również w tamtych stronach nieznaną ląd, a Anglik James Ross dotarł do najdalej położonego stopnia szerokości geograficznej i odnalazł na południu Nowej Zelandji Ziemię Wiktorji.

Ziemia ta jest jedną z najosobliwszych na kuli ziemskiej: tworzy niby skorupę lodową, wystającą nad morze urwistemi skałami, wysokimi przeszło na 100 metrów, a wśród tych kryształów lodu wulkany, ziejące ogniem.

Jeśli w ciągu ostatnich lat sześćdziesięciu nie czyniono wielkich postępów w znajomości geograficznej stref antark-



„Krzyż Południa“ wśród kry.

*Wśród białej gładziny śniegów pagórki lodowe pchały się wzajemnie i scierały, grożąc statkowi w każdej chwili zgnieciem.*

tycznych, obecnie liczyć można na ważne w tym kierunku odkrycia. Wyprawa belgijska, pod komendą Gerlacha, powróciła przed niedawnym czasem do Europy z obfitymi plonami. Brało w niej udział dwu rodaków naszych, Arctowski i Godlewski. Wielka Brytania i Niemcy przygotowują na rok przyszły dwie wielkie wyprawy do bieguna południowego, a obecnie podróżnicy angielscy rozpoczęli już walkę z lodowcami krajów antarktycznych.

W Anglii nietylko uczeni, ale i ogół wykształconych ludzi interesuje się żywo sprawami wypraw do bieguna. Pragnąc zatem przysłużyć się jednocześnie nauce i czytel-

nikom, wydawca miesięcznika „Strand Magazine“, *Jerzy Newnes* zorganizował na własną rękę wyprawę antarktyczną, a teraz drukuje jej opis. Bierzemy z tamtąd szczegóły i rysunki.

Kierunek wyprawy powierzono młodemu Norwegczyko-



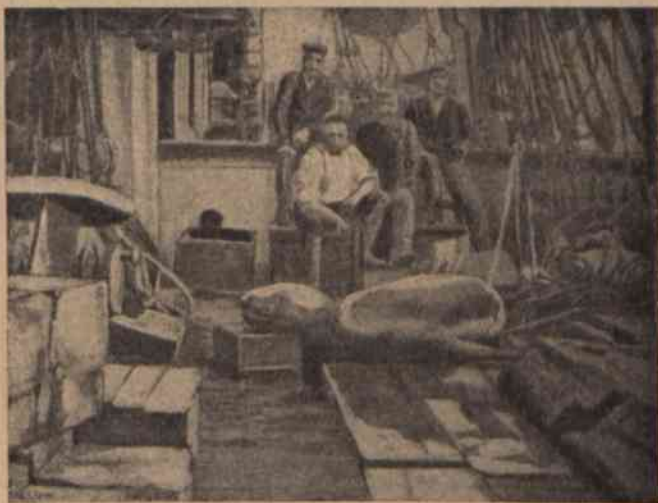
*Borchgrevink, dowódca wyprawy angielskiej do bieguna południowego.*

wi Borchgrevink, który już w tamtych stronach bywał. Na okręt wsiadło sześciu uczonych badaczy. Jerzy Newnes nie szczędził wydatków dla zapewnienia powodzenia wyprawie. Kupił mocno zbudowany statek, ochrzczonego przez niego symbolicznem mianem „Krzyża południowego“. Jest to, jak



wiadomo, gwiazdozbiór, wskazujący na półkuli południowej drogę do bieguna, jak gwiazda Polarna na północy. Nadto hojny właściciel statku zaopatrzył go w kompletne i udoskonalone narzędzia do czynienia wszelkich badań i spostrzeżeń.

Zadanie wyprawy polega na utworzeniu sobie drogi wśród lodowców, tamujących od południowej strony Nowej Zelandji dostęp do Ziemi Wiktorji. Wylądowawszy na tej ziemi z zapasami żywności i materiałami budulcowymi, potrzebnymi do wzniesienia domu, przyrodniczy spędzić tam



#### Po powrocie z polowania.

*Polowanie było nie tylko jedyną rozrywką wśród pustyni lodowej, ale dawało uczonym możliwość poznawania potworów morskich, dotychczas nieznanych; rysunek nasz wyobraża chwilę, kiedy przewodnik zajęty jest na pokładzie ciężkim olbrzymiej fokii nieznanego typu; jest świąteczna chwila dla całej załogi, gdy pomyślny rezultat polowania pozwoli im na chwilę zapomnieć o niebezpieczeństwach, grojących im ciągle i ze wszystkich stron.*

mają zimę i następnego lata powrócić do kraju. Według opisu Ross'a, ma się tam znajdować część lądu antarktycznego, którego istnienie stwierdzają najznakomitsi geografowie. Borchgrevink i jego towarzysze otrzymali trudną misję sprawdzenia tej zagadki w ciągu zimy, i przedzierać się musieli przez lodowe przestrzenie, pokrywające Ziemię Wiktorji.

Wykonanie tego prostego na pozór planu połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem. W tej strefie napotykają

się największe znane dotąd lodowce i, jak się przekonamy, podróżni od pierwszej chwili wystawieni byli na najdramatyczniejsze przygody.

Odplłynawszy z Anglii w sierpniu 1898 r., „Krzyż południa“ skierował się ku Nowej Zelandji, a następnie ku Ziemi Wiktorji; w drodze już jednak napotkał lodowce antarktyczne. Było to 30 grudnia, to jest w porze zaczynającego się tam lata (odpowiada to naszemu 30 lipca); na oceanie jednak panował chłód zimy.

„Jak okiem zasięgnąć, wszędzie morze, pokryte lodem—pisze Borchgrevink—równina białym całunem zasłana czyni



**Przechadzka po lodzie.**

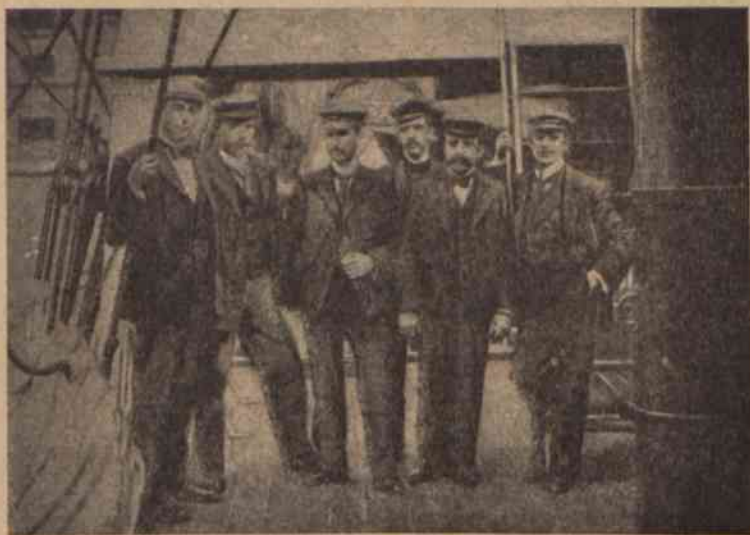
*Jak okiem: sięgnąć, morze pokryte lodem; biała płaszczyna robi wrażenie przygniatającego smutku, niby obraz zamarłego świata.*

niesłychanie smutne wrażenie, niby zamarłego świata. Zamarłym też jest rzeczywiście ocean pod tą ciężką skorupą. I tylko brzegi kry unoszą się zwolna i opadają na grzbiecie fali, zdławione przez ciężar straszliwej wody, pozostają bezwładne i bez życia, niby śpiący potwór, któremu oddech porusza boki.

Niektóre bryły lodu sięgają pięć do sześciu kilometrów szerokości, jednolite pośrodku, wystrzępione bywają na brzegach, lub najeżone wzgórzami, utworzonymi przez ścieranie się mas lodowych. Wśród tej chaotycznej równiny wznoszą się ostrosłupy lodowe, fantastyczne minarety, olbrzymie góry o kryształowych urwiskach; a dokoła, wśród lekkich mgieł

blade promienie podbiegunowego słońca łamią się w tęczo-  
we blaski, a potem przechodzą w białość nieskończoną“.

Wobec tych przeszkód rozpocząć się ma zawsze wzra-  
stająca walka inteligencji ludzkiej z żywiołami. W walce  
z lodowcami, jak podczas bitwy: generał przed szturmem  
odszukać musi słabą stronę pozycji nieprzyjacielskiej. Ka-  
pitan statku z wierzchołka masztów, z pomocą lunety, od-  
najduje w białych, piętrzących się zaporach szczelinę, przez  
którą można by utorować sobie drogę.



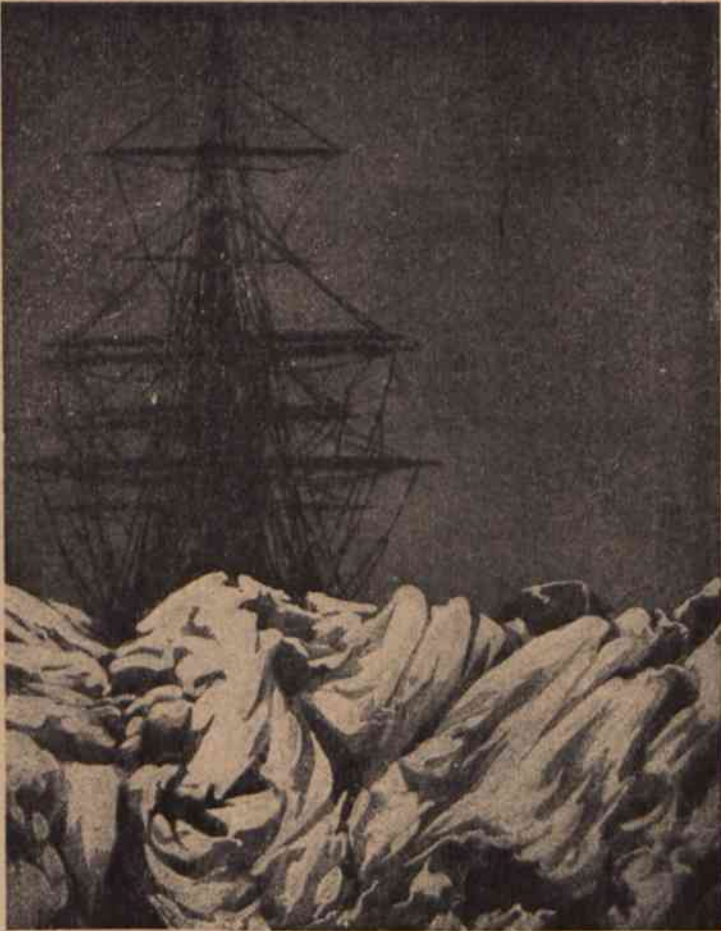
Starszyzna na „Krzyżu Południa“: Hugh Evans i Mikołaj Hansen naturaliści,  
Colbeck i Fougner astronomowie, D-r Klovstad medyk, i Bernacci fotograf.

*Ludzie północy nie odłączają ćwiczeń ciała od kształcenia umysłu, to też, kiedy wypa-  
dnie im toczyć walkę z żywiołami, rzucają się do niej z energią, i prowadzą z za-  
ciętością.*

Rzeczywiście lodowce, które z pokładu wyglądają, jak-  
by tworzyły zwartą masę, badaczowi, patrzącemu z wyży-  
ny masztu, ukazują linje pęknięć, przypominających szczer-  
by i rysy na porcelanie chińskiej.

Wśród „pól lodowych“ płyną wązkie kanały, stanowią-  
ce jedyne drogi komunikacji z południem. Po tych kana-  
łach „Krzyż południa“ posuwa się zwolna, wśród zakrętów  
lodowego labiryntu. Naraz okręt ulega silnemu wstrząśnie-  
niu, wiązania masztów trzeszczą. Statek uderzył o kra-  
wędz lodowca. Dalej nagromadzone bryły wstrzymują że-

glarzy; usiłują oni opancerzonym przodem okrętu przebić zaporę. Rozlega się straszliwy huk, lód ustępuje pod siłą ciosu, ale jednocześnie odpadają często kawały drzewa, zabezpieczające boki okrętów. Chwila to pełna grozy; niech-



**Przeszkoda nie do pokonania.**

*Okręt wielokrotnie miał być zmiaskowany przez bryły lodowe, które, pchane na siebie siłą niezmierną, piętrzyły się w pagórki, ażeby się następnie rozsypać ze straszliwym hałasem.*

by przy takim starciu większy strumień wody zalał okręt, byłoby to wyrokiem śmierci dla całej załogi; okręt zatonałby w mgnieniu oka, nie zostawiając ludziom czasu do rato-



wania zapasów żywności, to też pozostali przy życiu podróżni ginącyby musieli na lodowcach z głodu.

Stopa za stopą, krok za krokiem torują sobie żeglarze tą ciężką drogę, mając ciągle przed oczyma smutny widok obszarów lodowych bez końca. Czy nie zobaczą już nic innego?

Zalogę zmordowały trudy żeglugi; aie rozumie ona doniosłość celu wyprawy i pamięta o tem. Żaden z majtków nie śmiał by domagać się chwili wypoczynku, póki można jeszcze posuwać się naprzód. Powodzenie zdobyć można jedynie wytrwałością.



Tresowanie psów na krach.

*Gdy pole lodowe było jednostajne, gdy nie wznosiły się na niem pagórki s brył, ani nie przerywały go głębokie pęknięcia, wysadzano psy s okrętu i uczono ciągnąć sanki.*

Niestety, w tym wypadku, im praca cięższa, tem rezultaty mniej pomyślne; lodowce coraz oporniejsze i trudniejsze do przebycia. Żeglarze, po wielkich wysiłkach, zaledwie dwa lub trzy kilometry posuwają się ku południowi; niekiedy całymi dniami zatrzymywac się muszą. Wówczas „Krzyż południa“ zarzuca kotwicę, podróżni zaś wysiadają na lód, oddają się badaniom.

Jedni robią spostrzeżenia astronomiczne; drudzy przez szczelinę, utworzoną w lodzie, studjują morze: temperaturę,

głębokość i świat organiczny, w nim przemieszkujący; inni polują na foki, wygrzewające się na słońcu podbiegunowego lata. Jeśli pole lodowe dostatecznie jest równe, wysadzają na lód psy i który z amatorów tego rodzaju sportu, uczy je biegać w zaprzęgu.

Po trzech tygodniach nieustających walk podróżni dostrzegają wreszcie ląd stały: wyspy Balleny w północnej stronie Ziemi Wiktorji. Smutny owa ziemia przedstawia widok: pokryta śniegiem, wygląda zdaleka niby mgła skłębiona nad sinawym, zamarznętym Oceanem.

W pobliżu tych wysp lodowce piętrzą się naksztalt nieprzebitego muru. Usiłując go przebić, „Krzyż południa“ o mało nie uległ zniszczeniu. Pod działaniem wiatru oraz przyptywu i odpływu morza, lodowce rozsuwają się i ścią-



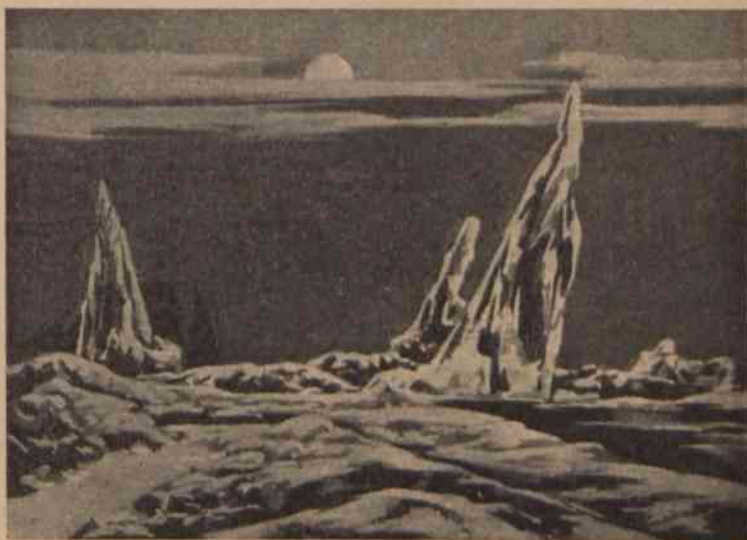
**Krzyż Południa w zatoce Robertsona.**

*Tu wyniesiono na brzeg materiały, przeznaczone do budowy domku, w którym zimować mieli uczeni, udający się na badania Ziemi Wiktorji.*

gają gwałtownie, a temu towarzyszą wstrząśnienia tak silne, jak gdyby owe masy lodu rozprysnąć się miały w straszliwym jakimś kataklizmie.

Uwięziony wśród lodów okręt przy takim starciu kilka razy bliżki był zmiążdżenia. Potężne olbrzymy lodowe, pchane straszłą siłą, uderzały o siebie i kruszyły się wzajemnie z okropnym łoskotem, a ze szczątków powstawały wysokie wzgórza. Zaledwie jedno uderzenie wzniosło taki pagórek, a już tworzące go bryły i bryłki lodu waliły się, niby spadające lodowce, i znowu następne uderzenia budowały z nich góry i wzgórza.

Uwięziony ocean targał się konwulsyjnie jakby usiłował zrzucić z siebie ciężką, krępującą go skorupę. Grozę potęgował huk, który czasem rozlegał się łoskotami grzmotu, czasem rykiem i wyciem dzikich zwierząt, czasem salwą działową, czasem zgiełkiem bitwy rozszalałych żywiołów. Naraz nastąpiła cisza; po chwili, jakby jakiś pasaż nadziejskiej orkiestry, dawano się słyszeć niby dudnienie pędzącego pociągu i zaraz potem huczały na nowo gromy.



W bladych promieniach słońca południowego równiny lodowe tworzyły obraz czarodziejski.

*Igły lodowe, minarety fantastyczne, olbrzymie icebergi, pnące się w niebiosa, aureole lekkiej mgły z tęczkami, rozwieszanemi przez słońce w północnej godzinie.*

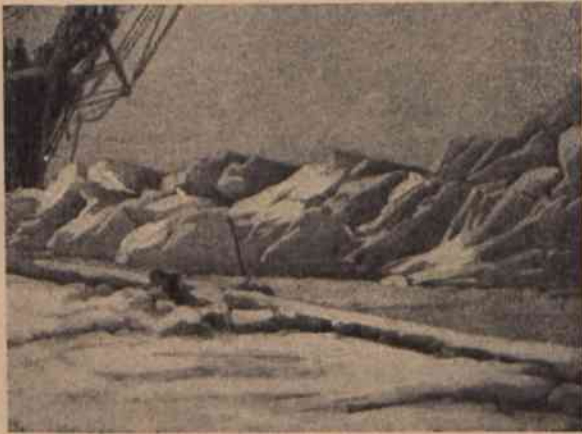
Zbytecznym byłoby rozwodzić się nad niebezpieczeństwem, na jakie narażone bywają okręty, podczas takiej przeprawy. Raz grożą im zmiążdżeniem bryły lodowe, to znów unosi je na swym grzbiecie spodem płynąca kora, lub wreszcie grozi zasypianiem lawina brył lodowych.

Dla skutecznej obrony przeciw naporowi lodowców, równie silnemu w pobliżu bieguna północnego jak i południowego, Nansen nadał słynnemu swemu okrętowi *Fram* budowę tak trwałą, że dozwoliła mu przez ciąg lat trzech toczyć zwyciężką walkę z lodowcami arktycznymi. Jakkol-

wiek „Krzyż południa“ nie był tak mocny, jak okręt norwegijski, stawiał jednak dzielny opór naciskowi lodu. Chwilami kry niby lewary podnosiły go ponad wodę, to znowu ginął, przez pół zasypany ruchomymi wzniesieniami pokruszonego lodu. Szczęściem woda nie przedostawała się nigdzie do wnętrza statku.

Upierać się przy projekcie osiągnięcia Ziemi Wiktorji przez te niezmierzone kry lodu, było by narażać losy całej wyprawy. Krótkie lato podbiegunowe mijało szybko. Nadszedł luty, a od 15 marca żegluga w tamtych stronach staje się już niemożliwą.

Wobec tego kapitan postanowił wracać. Kosztem niesłychanych wysiłków, zdołał wydostać się z pomiędzy kry.



**Walka z lodem.**

*Krok za krokiem, metr za metrem wyprawa otwierała sobie drogę, siłą parcia, korystając ze szpar, które odnajdowano pomiędzy olbrzymimi krami; a zawsze i wszędzie ten rozpaczliwy widok lodu i lodu.*

Przez ciąg czterdziestu trzech dni załoga walczyła bez chwili wytchnienia z lodem, wystawiona nieustannie na niebezpieczeństwo straszliwej śmierci.

Ale Borchgrevink nie należy do ludzi, ustępujących przed pierwszym niepowodzeniem. Droga do Ziemi Wiktorji okazała się niedostępna od strony wysp Balleny, ale może łatwiej będzie dostać się z innej jakiej strony. I dzielny kapitan rozpoczął nową podróż i nową walkę z krami i górami lodu.

Tym razem trafił szczęśliwiej. Lód tworzył nie tak ściśle zbitą masę i zdawało się już, że powodzenie wyprawy



zapewnione. Tymczasem na drodze stało niebezpieczeństwo innego rodzaju. Wydostawszy się na wody, względnie wolne od lodów, „Krzyż południa“ trafił na gwałtownie rozhukane fale. Odłamy lodu, wśród których znajdował się okręt, podbijane przez bałwany morskie, wykonywały, zda się, jakiś taniec fantastyczny. Ostrosłupy lodowe (icebergi), pochylały się ciężko raz na prawo, to znów na lewo; a wielkie bryły lodu, pchane i rzucone przez falę, otoczyły ze wszech strony boki okrętu. Pudło statku skrzypi, wiązania trzeszczą, główny maszt grozi zawaleniem. Co minuta dzielny statek uleść może zniszczeniu, albo zwałą się nań „icebergi“ i zatopią. Trwa to nieskończenie długie godziny, potem z wolna rozhukane fale uspakajają się, spiętrzone kry rzędą i w końcu znikają.

Zapora lodowa, tworząca przed wyspami Balleny nieprzebytą przestrzeń, szeroką na kilkaset kilometrów, w tem miejscu jest wyjątkowo cienka. Kapitan „Krzyża południa“ szczęśliwym trafem odnalazł najstabszą stronę ochronnego wału antarktycznych okolic.

Jakiś białawy punkt zarysowuje się na widnokregu. To Ziemia Wiktorji; niebawem ukazuje się jej wybrzeże północne, najeżone wysokimi górami, wśród których widać flordy, niby doliny, zalane wodą. Z ram lodowców antarktycznych wychyla się obraz, przypominający urocze widoki Norwegji. Ale, jak słusznie mówią, od ust do brzegu puharu bywa często daleko. Przez dwa dni silna burza nie dozwoliła żeglarzom dopiąć celu, do którego dążyli tak wytrwale. Zaledwie 17 lutego 1899 roku „Krzyż południa“ zawinął do zatoki Robertson, przy brzegach Ziemi Wiktorji.

W ciągu poprzedniej podróży Borchgrevink zwiedził już tę zatokę i przekonał się, że w tej okolicy należało by założyć stację naukową dla czynienia i prowadzenia badań w głębi lodu.

Zaraz też po zarzuceniu kotwicy załoga okrętowa zajęła się przenoszeniem na wybrzeże zapasów żywności i materiałów budulcowych. Tu miano spędzić zimę. W tej zatoce, otwartej na wszystkie strony, wylądowanie połączone jest z niemałym trudem. Dla przenoszenia ciężkich skrzyń majątkowie wchodzić musieli do wody, a temperatura oceanu antarktycznego nie jest wcale odpowiednia dla kąpieli morskich. Po całych dniach ludzie brodzili po zamarzałej przystani, nie mogąc nawet pomyśleć o wytchnieniu, gdyż powodzenie zawisło od pośpiechu.

W chwili, gdy już Borchgrevink pewny był tryumfu,

omało wszystko nie przepadło, wskutek nieprzewidzianej katastrofy. Nadciągnął gwałtowny huragan, a nadciągnął tak nagle, że czterech członków wyprawy nie zdążyło połączyć się z towarzyszami i pozostało na lądzie.

Zawył gwałtowny wichur, niebo pokryło się gęstymi chmurami; w jednej chwili dzień w noc się zamienił. W ciemności grube płaty śniegu kłębiły się w powietrzu. Zimno doszło 28 stopni, a należy pamiętać, że działo się to w środku lata... lata podbiegunowego!

Pędzone wicherą fale morskie zalewały wybrzeże, grożąc lada chwila uniesieniem złożonych tam materiałów budulcowych i prowiantu, których strata byłaby zniweczyła owoce podjętej wyprawy i zmusiła podróżnych do odwrotu. O głodzie trudno prowadzić badania naukowe; uczeni przyrodnicy, pozostali na lądzie, nie tracili czasu na rozpacz i narzekania, lecz rzucili się odważnie do ratowania zapasów. Mimo wiatru, ciemności i śniegu przenosili w bezpieczne miejsce baryłki i skrzynie, jak zahartowani tragarze.

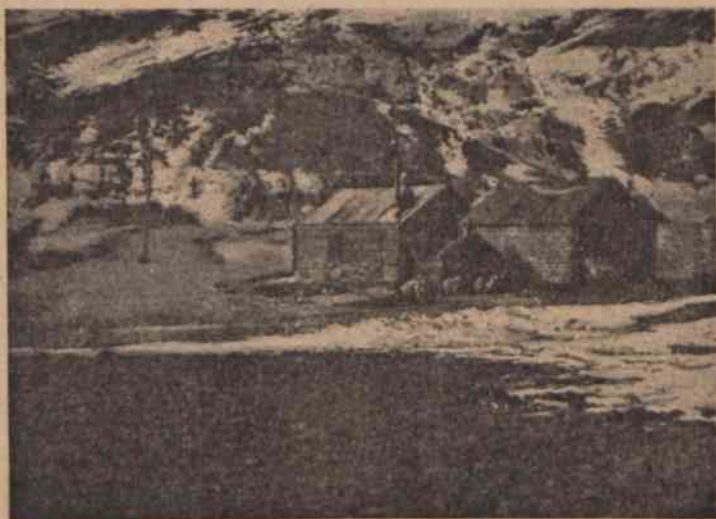
Anglicy i Norwegczycy, stanowiący sztab naukowy na „Krzyżu południa“, byli to ludzie silni i zdrowi; rozwijanie sił fizycznych idzie u nich w parze z wykształceniem umysłowym i dlatego młodzi uczeni północnych stron składają dowody dzielnej wytrwałości i energji w walce z żywiołami, z którymi wypada im nieraz się borykać.

Walki takiej jednak pod biegunem nie prowadzi się bezkarnie. Po dokonanej pracy podróżni nasi przeziębnieni byli do kości, i włosy na głowach i na brodach pokrywał im szron, odzież stwardniała od wody i mrozu jak pancerz, za całe schronienie mieli lichy namiot, który lada chwila mógł porwać wichury.

Nazajutrz cyklon złagodniał i niebawem pozostali na lądzie ujrzeli z radością statek, przybywający im na pomoc. Burza o mało nie wyrzuciła go na wybrzeże. Huragan tak był gwałtowny, że wielkie kamienie padały jak grad na pomost okrętu.

Pięć dni później nowa nawałnica pchnęła statek na skały; od rozbicia uchroniła go jedynie mocna budowa i dzielność kapitana. Cofać się było niepodobna, bo nowa fala była by niechybnie pchnęła statek napowrót na skały, a za każdym nowem uderzeniem niebezpieczeństwo rosło. W podobnych okolicznościach trzeba mieć siły i odwagę do postawienia wszystkiego na kartę. Komendant był do tego zdolny, postanowił przejechać okrętem przez skały; ogromny bałwan uderzył z tyłu, poddano pary i „Krzyż południa“, niby wyścigowiec, przesadził przeszkodę.

Po tych różnych przygodach członkowie wyprawy naukowej osiedli na przylądku Adair w dwóch drewnianych domkach, wiezionych z sobą. Zaś 27 lutego roku zeszłego „Krzyż południa“ porzucał niegościnne wybrzeża, aby udać się z powrotem do Nowej Zelandji. I dziesięciu ludzi, równie mężnych duchem jak wytrwałych ciałem, pozostało odciętych od świata, wśród pustyni śnieżowej, na wybrzeżu, nawiedzanem przez huragany. Przebędą tam rok cały, jeśli ocaleją i jeśli okręt zdoła się znowu przedrzeć szczęśliwie do tych wybrzeży, tak zazdrośnie przez naturę strzeżonych. Żadna



Chaty, w których zimowali uczeni na przylądku Adair.

*W tych to nędznych chatkach drewnianych dziesięciu uczonych, których przywiłł „Krzyż Południa“ zostało w kraju pustym i nieznanym na całą zimę. Zabarykadowani przez kry obłazami, przechodzili tu przez okropności nocy podbiegunowych i mrozu, który musiał być straszny, jeśli pomyślimy, że w lecie zimno dochodziło do 27 stopni niżej zera.*

wieść nie dojdzie do ich lodowego więzienia i nikt nie usłyszy ich wołania o ratunek, jeśli go potrzebować będą, a ucieczki niema.

Za powrotem pory słonecznej nieustraszeni młodzi uczeni zamierzają przedsięwziąć podróż przez lodowce Ziemi Wiktorji. Za jaką bądź cenę postanowili dotrzeć jaknajdalej ku południowi, aby poznać rzeczywistą przestrzeń i naturę tego lądu. Odkrycie nowego kraju, kosztem tylu poniesionych trudów i niebezpieczeństw, przyniesie nam prawdopodobnie

niespodzianki, mogące świat cały wprawić w zdumienie. Zraz na początku, jeszcze przed odjazdem okrętu, badacze trafili na złotodajny kwarc. Czyżby to było drugie Klondyke, równie jak tamto o klimacie nieprzyjaznym dla ludzi?

Ale względy naukowe grają tu rolę większą, niż interes ekonomiczny. Pomimo tylu wieków istnienia, nie znamy dotychczas całej naszej siedziby, nie mamy pojęcia o obszarach olbrzymich. Może na obszarach tych nauka znajdzie rozwiązanie zagadek, które zapełnią niejedyn brak w pojęciach naszych i wiadomościach naszych o ziemi. Niebawem usłyszymy, dowiemy się o losach Borchgrevinka i jego towarzyszków, i dowiemy się, co przyniesie światu ich męstwo i poświęcenie.

S.



# Z DZIEDZINY NAUKI.

## Zaćmienie słońca.

### I.

Dnia 28 maja roku bieżącego przypada zaćmienie słońca. Dla nas będzie ono tylko częściowem, co znaczy, że część tylko promienistej tarczy słońca przed wzrokiem naszym zasłoniętą zostanie; dla mieszkańców wszakże Hiszpanji tarcza słoneczna zagaśnie całkowicie, skryje się przed ich okiem zupełnie, zaćmienie będzie całkowitem. Już to samo, że zjawisko to z góry przewidzieć umiemy i cały jego przebieg szczegółowo przepowiedzieć, godnem jest zastanowienia, dla tego też pozwalamy sobie zająć niem uwagę czytelników naszych.

Dzieje nauki zachowały podanie o najdawniejszej w Europie przepowiedni zaćmienia słońca. Wygłosić ją miał Tales w r. 585 przed Chrystusem, a wedle rachunków astronomów, zaćmienie to przypadło 28 maja.

Przepowiednia Talesa stanowi fakt ważny w historii cywilizacji i należy niewątpliwie do chwil wybitnych w dziejach rodu ludzkiego. Niespodziane bowiem i nieprzewidziane zjawiska przyrody przerażają człowieka, gnębią samodzielność jego, oddają go pod przemoc jednostek i kast, które lepszą znajomość przyrody na korzyść własną wyzyskują. Sama umiejętność przepowiadania zaćmień zapewniała niegdyś władzę kapłanom w Egipcie, jak obecnie jeszcze mandarynom w Chinach.

Gdy Kolumb na Jamajce z garstką towarzyszków znalazł się w położeniu zagrożonem, wobec licznych i uzbrojonych wyspiarzy, wydobyło go z niebezpieczeństwa zaćmie-

mienie księżycy; okazał bowiem dowódcom krajowców, że gdy mu żywności nie dostarczą, sprowadzi na nich największe nieszczęścia, a przede wszystkim pozbawi ich blasku księżycy. Indjanie sztydziłi z tych gróźb, gdy jednak księżyc zagasł, przejęci strachem, rzucili się na kolana i uczynili zadość wszystkim żądaniom Hiszpanów.

Zjawisko, którego powrót obliczyć i oznaczyć umiemy, traci charakter grozy, usuwa się z pod władzy sił tajemniczych, zajmuje miejsce w ogólnym porządku natury. Zaćmienie słońca, skoro jest przepowiedziane, przerażać nas już nie może. Nie jest to już objaw mściwości zagniewanego bóstwa, co krnąbrnego człowieka usunięciem dobroczynnych promieni gwiazdy dziennej karze; to już nie tryumf złego ducha ciemności nad dobrym władcą światła; zjawisko przewidziane jest to następstwo konieczne działań prawidłowych, sił statecznych i niezmiennych. Człowiek przestaje być igraszką potęg tajemniczych, które losami jego rządzą dowolnie, zaczyna badać przyrodę, ujarzmia ją i do celów swych nagina. Budzi się samodzielność, rozwija poczucie niezależności duchowej.

Prawidłowość zjawisk jest ogólną cechą przyrody, najwcześniej jednak i najwyraźniej dostrzegł ją człowiek wśród objawów niebieskich, a stądto astronomja ma tak wysokie znaczenie dla ogólnej kultury ludzkiej. Gdzie przepowiednia się ziszcza, świadczy to, że w rozważanym szeregu zjawisk prawidłowość panuje, a im dokładniej prawidłowość tę ujmujemy, tem też przepowiednie stają się ściślejsze, rozleglejsze, potężniejsze.

## II.

Odkąd poznano bieg słońca i księżycy po sklepieniu niebieskiem, przyczyna zaćmień nie mogła już utajoną pozostać. W biegu swym dokoła ziemi powtarzać się muszą położenia, gdy księżyc staje między nami a tarczą słoneczną, a wtedy zakrywa ją przed wzrokiem naszym i mamy zaćmienie słońca. Podobnie wszakże jak księżyc, tak też i ziemia rzuca poza sobą długą smugę cienia, a gdy księżyc, krążąc dokoła ziemi, znajdzie się względem niej po stronie wręcz przeciwnej słońcu i w cień ten wkroczy, niknie z oczu naszych. Księżyc bowiem sam przez się jest bryłą ciemną, jak ziemia, i widzieć go możemy o tyle tylko, o ile jest promieniami słonecznymi oświetlony; skoro więc kryje się w cieniu ziemi, a promienie te doń dostępu nie mają, staje się niewidzialnym, mamy więc wtedy zaćmienie księżycy.

Kto wie, że w porównaniu z olbrzymią bryłą słoneczną jest księżyc nieznacznym zaledwie drobiazgiem, zapyta zapewne, w jaki sposób załonić on może zupełnie ogrom tak potężny? Wyjaśnia się to wszakże prosto, skoro przypomniemy sobie, że drobny skrawek papieru zakrywa nam okno całe, gdy go blisko oka trzymamy. Toż samo ma miejsce z księżycem: średnica jego jest blisko 400 razy mniejsza, aniżeli średnica słońca, ale mieści się on 400 razy przeszło bliżej ziemi, a stąd to słońce po za nim utaić się może całkowicie. Pozornie zresztą słońce i księżyc wydają się nam kręgami jednakiej wielkości, a to już tłumaczy nam dostatecznie, że gdy księżyc znajdzie się tuż na linii prostej, między ziemią a słońcem, zdoła nam je załonić.

Zdarzyć się zaś to może li tylko podczas nowiu księżyca, wtedy bowiem właśnie przypada między nami a słońcem, zwrócony ku nam stroną swą nieoświetloną i dla tego też dla nas niewidzialny. We dwa tygodnie po nowiu, gdy księżyc przebiegł połowę swej drogi dokoła ziemi, znajduje się właśnie po drugiej stronie ziemi, zwrócony ku nam

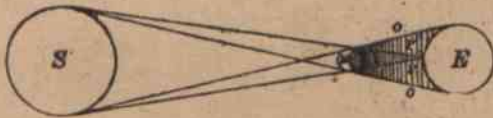


Fig. 1.

pełną swą stroną oświetloną, przedstawia nam całą swą tarczę i widzimy go na pełni, ale wtedy też tylko znaleźć się może w cieniu przez ziemię rzucanym. Wypływa stąd jasno prosta ta zasada, że załmienie słońca mieć może miejsce li tylko na nowiu, załmienie zaś księżyca na pełni jego jedynie.

Cośmy tu opowiedzieli ogólnikowo, tłumaczają wyraźniej załączone rysunki. Na fig. 1, *S* przedstawia słońce, *M* księżyc, *E* ziemię, chociaż wymiary tych kół nie odpowiadają stosunkom rzeczywistym, by narysować bowiem słońce w należytym oddaleniu i w wielkości odpowiedniej, nie starczyłoby papieru. Widzimy tu, jak poza księżycem ciągnie się cień stożkowy *P*, zwężający się ku końcowi i wąską smugą dotykający ziemi; kto w tem miejscu znajduje się w tej chwili słońca zgoła nie widzi, bo mu je księżyc zupełnie zasłania, jest to dla niego chwila całkowitego załmienia. Po obu stronach wszakże tego cienia rdzennego czyli zupełnego rozlega się półcień *O*, coraz bardziej rozszerzający się poza księżycem i dotykający ziemi kręgiem rozległym. Dostrzegacz, w kręgu tym na ziemi się znajdujący, widzi słońce

w części tylko zakryte, gdy pozostała część tarczy słonecznej pełnym swym blaskiem dla niego jaśnieje, ma więc on tylko zaćmienie częściowe słońca. Poza granicami zaś tego półcienia nie ma już zgoła zaćmienia, widok bowiem słońca nie jest zakryty, księżycy zaś samego nie widzimy, gdyż jest on właśnie na nowiu, stroną swą ciemną, nieoświetloną, ku ziemi zwrócony.

Księżyc wszakże nie zatrzymuje się w miejscu, ale przesuwa się dalej między ziemią a słońcem, ciągnąc wraz z sobą cień swój, który tedy coraz dalszych okolic dotyka, sprowadzając zaćmienie całkowite kolejno dla wszystkich miejsc, przez które przebiega. W miarę, jak księżyc przesuwa się coraz dalej w biegu swym dokoła ziemi od zachodu ku wschodowi, cień jego uderza miejsca coraz dalej na wschód położone, zaćmienie więc słońca ciągnie się po ziemi pasem długim, ale wązkim, szerokość jego bowiem 30 mil nigdy nie przechodzi.

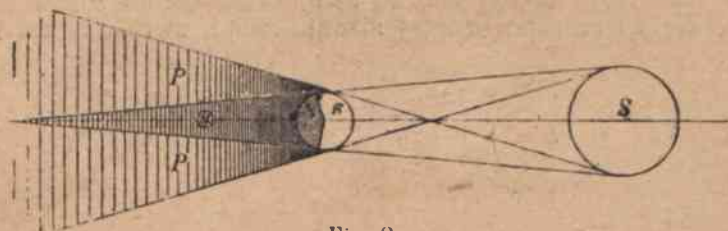


Fig. 2.

Ponieważ średnica ziemi czterykroć prawie przewyższa średnicę księżycy, cień przeto, jaki ziemia za sobą ciągnie, jest znacznie dłuższy, aniżeli cień księżycy, jak to wskazuje fig. 2. Cień ziemi tworzy stożek na 180000 mil geograficznych długi, księżyc zaś przypada w odległości od nas wynoszącej tylko 50000 mil, a w oddaleniu tem stożek cienia jest jeszcze tak szeroki, że księżyc dogodnie w nim pomieścić się może, a na przebieżeniu go potrzebuje przeszło dwie godziny czasu. Dopóki jest w cieniu tym całkowicie zanurzony, mamy zaćmienie całkowite księżycy; jeżeli wszakże księżyc przez stożek cienia ziemskiego tak się przesuwa, że nie pogrąża się w nim całkowicie, mamy częściowe jego tylko zaćmienie.

### III.

Widzieliśmy, że zaćmienie słońca jest całkowite albo częściowe; w tym ostatnim razie jasna tarcza słoneczna



przedstawia się nam kołowo odcięta brzegiem księżyca, jak widzimy na fig. 3. Słońce wszakże nie zawsze w jednakiej od ziemi przypada odległości, w ciągu roku zbliżamy się ku słońcu najbardziej na  $19\frac{1}{2}$  miliona mil, a usuwamy się od niego najwięcej na  $20\frac{1}{2}$  milj. mil geograficznych; podobnie i księżyc nie pozostaje w jednakiej wciąż od nas odległości. Na figurze 1 widzimy, że cień księżyca niewielkim tylko krążkiem ziemi dotyka; gdy wszakże słońce jest od nas jak najmniej oddalone, a zarazem księżyc przypada jak najbliżej, cień ten wierzchołkiem swoim zgoła już ziemi nie dosięga. W tym razie księżyc żadnemu mieszkańcowi ziemi zupełnie tarczy słońca nie zasłania, zakrywa mu tylko część jej wewnętrzną, ale dokoła niej świeci jeszcze obręb brzegu,—jest to zaćmienie obrączkowe (fig. 4). Zaćmienie księżyca obrączkowym być nie może, samo spojrzenie bowiem ns fig. 2 uczy, że księżyc nie wyziera poza granice cienia ziemi.



Fig. 3.



Fig. 4.

Są zresztą i inne jeszcze różnice między zaćmieniami obu tych brył niebieskich. Zaćmienie całkowite słońca trwa bardzo krótko, cień bowiem księżyca szybko się po ziemi przesuwa; co najwyżej zjawisko to ciągnie się przez 5 lub 6 minut, najczęściej trwa ledwo 2 lub 3 minuty. Zaćmienie natomiast całkowite księżyca, jak już przytoczyliśmy, ma miejsce przez 2 godziny przeszło, bo księżyc ma do przekroczenia rozległy cień ziemi.

Skoro księżyc w cień ziemi wkracza, staje się nieoświetlonym, a tem samem niewidzialnym; zaćmienie więc księżyca jest zjawiskiem dla wszystkich mieszkańców ziemi jednocześnie, zaczyna się i kończy w tej samej chwili dla całej ziemi. Zaćmienie natomiast słońca rozpościera się stopniowo, dla punktów ziemi coraz dalej na wschód położonych zaczyna się coraz później; dzieje się tu tak, jak gdybyśmy przed szeregiem ludzi ku oknu zwróconych kartkę papieru przesuwali,—jednemu okno już się odsłania, a przed drugim dopiero się właśnie zakrywa.

Dodać tu jeszcze należy, że w czasie całkowitego za-

ćmienia księżyc, chociaż w cieniu ziemi pogrążony, nie ni-  
knie nam najczęściej zupełnie z oczu, ale dostrzegamy go,  
jako ponurą tarczę brunatną, ciemnoczerwoną. Osobliwe to  
zjawisko pochodzi stąd, że promienie słoneczne, które prze-  
biegają przez atmosferę ziemską, załamują się w niej, zmie-  
niają swój kierunek i w pewnej części dosięgają księżyc;  
one to właśnie oświetlają go słabo i oblewają ciemną czer-  
wonością.

#### IV.

Jedno jeszcze wyjaśnienie dłużni jesteśmy czytelnikom  
naszym. Na każdym nowiu staje księżyc między ziemią  
a słońcem, na każdej zaś pełni znajduje się po drugiej stro-  
nie ziemi; możnaby więc sądzić, że co miesiąc powinnyby  
następować dwa zaćmienia, — zaćmienie słońca na każdym  
nowiu i zaćmienie księżyc na każdej pełni. Byłoby tak  
w samej rzeczy, gdyby księżyc biegł dokoła ziemi po tej  
samej płaszczyźnie, po której ziemia się toczy dokoła słońca,  
a która nazywa się ekliptyką; droga jednak księżyc względem  
ekliptyki, jest nieco pochylona, o  $5^{\circ}$  przeszło, tak jak-  
byśmy ćwiartkę papieru nie położyli na stole, ale ją cokol-  
wiek względem niego pochylili. Dla tego też w ogólności  
księżyc przebiega na północ lub na południe względem słoń-  
ca, nie sprowadzając zgoła zaćmienia, tak jak skrawek pa-  
pieru, trzymany powyżej lub poniżej naszych oczu, nie zdoła  
nam zasłonić przedmiotów przeciwległych. Jasną wszakże  
jest dalej rzeczą, że droga księżyc z płaszczyzną drogi  
ziemskiej przecinać się musi w dwóch punktach, które się  
węzłami księżyc nazywają; jeżeli więc księżyc w czasie no-  
wiu przypada w pobliżu jednego ze swych węzłów, znajduje  
się prawie na jednej linii z ziemią i słońcem i wtedy też  
tylko nastąpić może zaćmienie słońca. Podobnież i zaćmie-  
nie księżyc wtedy tylko mieć może miejsce, gdy podczas  
pełni księżyc znajduje się blisko jednego lub drugiego wę-  
zła; gdy zaś podczas pełni nie przypada dosyć blisko węzła,  
jest usunięty od płaszczyzny drogi ziemskiej i przechodzi  
zewnątrz cienia ziemi, a zaćmienie nie następuje.

Warunki więc, sprzyjające zaćmieniom, nie na każdym  
nowiu i nie na każdej następują się pełni, zdarzają się  
owszem rzadko stosunkowo i dla tego zaćmienia nie są to  
zjawiska zbyt powszednie. Dla całej ziemi zaćmienia słoń-  
ca są częstsze aniżeli księżyc, ale dla danego miejsca na  
ziemi zaćmienia księżyc przypadają częściej. Tłumaczy się  
to tem, że zaćmienie księżyc, skoro następuje, widzialne

jest już współcześnie przez wszystkich mieszkańców ziemi, dla których w tej chwili jest księżyc na niebie; słońce natomiast w danej chwili jest tylko dla pewnej części mieszkańców ziemi zakryte.

Już bardzo dawni astronomowie skrętnie zapisywali wszelkie dostrzeżone zaćmienia, a ze starannych tych obserwacji wyczytali, że zaćmienia ulegają pewnemu okresowi, czyli powtarzają się w jednakim porządku. Okres ten wynosi 18 lat i 10 dni; skoro więc zanotujemy wszystkie zaćmienia słońca i księżyca, jakie miały miejsce w ciągu lat 18, to po upływie tego czasu powtórzy się toż samo następstwo zaćmień, ale z opóźnieniem dziesięciu dni. Porządek ten tem się tłumaczy, że, jak widzieliśmy, zaćmienia zależą od położenia węzłów księżyca, węzły zaś te nie zachowują położenia niezmiennego, ale się po niebie przesuwają, i to z szybkością taką, że jeżeli w pewnej chwili słońce i księżyc znajdują się w pobliżu jednego z tych węzłów, to po 18 latach i 10 dniach, czyli po 6585 dniach znowu do tego położenia wracają. Okrągłą liczbę 6585 dni okres ten przenosi o 8 godzin blisko, następne zatem zaćmienie przypada o 8 godzin później, nie powtórzy się już tedy w tym samym czasie i w ogólności nie w tem samym miejscu ziemi. Tak np. w Warszawie całkowite zaćmienie słońca miało miejsce 28 lipca 1851 roku; po 18 latach zaćmienie to powtórzyło się 7 sierpnia 1869 roku, ale widzialne było w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej; po dalszych 18 latach nastąpiło 19 sierpnia 1887, a wtedy było wprawdzie widzialne w Warszawie, ale już nie było całkowitem, — pas zaćmienia całkowitego posunął się nieco na północ, było one widzialne w Mławie, Suwałkach, Kownie, Grodnie, Wilnie. W ogólności dla jednego i tego samego miejsca na ziemi zaćmienie całkowite słońca jest zjawiskiem bardzo rzadkiem, przypada bowiem, w ogólności mówiąc, raz na lat dwieście.

Ośmnaścieletni ten okres zaćmień znali już astronomowie starożytni, i na tej zasadzie mogli następstwo zaćmień przepowiadać. Proroctwa te wszakże według tego, co powiedzieliśmy, nie mogły być zupełnie dokładne i ścisłe. Z zupełną pewnością nie umieli oni wskazać chwili zaćmień, ani też określić obszaru ziemi, gdzie one widzialne będą. Astronomowie dzisiejsi przepowiadają inaczej. Dzięki badaniom wielkiego astronoma polskiego Kopernika i jego genialnych następców, Keplera, Newtona, Laplace'a i wielu innych, znamy prawa, rządzące ruchami ciał niebieskich, a na tej podstawie umiemy wskazać położenie ich, choćby w najdalszej przyszłości, a tem samym astronom z niezrówna-



na ścisłością obliczyć potrafi, kiedy słońce i księżyc znajdują się w warunkach, sprzeczających zaćmienia. Przepowiednie te, które nie chybiają o sekundę, ani o drobny ułamek sekundy, w zdumienie nas wprawiają i świadczą, jak wysoko posuniętą jest znajomość nieba.

## V.

Każde zaćmienie słońca zarówno jak i księżycą uwagę naszą pociąga, ale w szczególności uderza nas silnie całkowite zaćmienie słońca. To niezwykle wygaśnięcie słońca, ten nagły zanik blasku dziennego jest zjawiskiem tak zdumiewającym i przerażającym, że wywiera wpływ na zwierzęta nawet. Gdy gaśnie ostatni promyk słońca, ptaki, złudzone lub przestraszone, chronią się do gniazd, a bydło z rykiem przerażającym w popłochu z pastwisk ucieka. A jakby to już noc istotna zachodziła, rośliny, pod sen nocny podpadające, zwijają swe listki, kwiaty zamykają swe kielichy. Ludzie nieoświeceni, plemiona dzikie, sądzą, że to już koniec świata następuje. Mieszkańcy pierwotni różnych okolic ziemi przekonani są, że to zły duch napada słońce, by mu światło wydrzeć, starają się go krzykiem i wyciem odstraszyć, biją w bębny, rzucają ku słońcu strzały i kamienie. Jakżeż inaczej witają zaćmienie słońca narody oświeczone? Dla astronomów, dla przyrodników w ogólności, otwiera się wtedy pole niezwyklej badań, dociekań. Rzecz bowiem osobliwa, że tajemnice swe słońce wtedy nam właśnie ujawnia, gdy samo się przed wzrokiem naszym kryje.

Skoro podczas całkowitego zaćmienia słońca ostatni jego promień zostaje powstrzymany przez posuwający się księżyc, dokoła czarnej jego tarczy rozpościera się nagle wieniec promienisty, jakby aureola otaczająca głowy świętych na obrazach dawnych malarzy. Blask ten nazywa się koroną słoneczną, a wspaniałość tego zjawiska słabo zaledwie odtworzyć może rysunek (fig. 5). Obserwowana przez lunetę, wydaje się korona potokiem światła mglistego lub mlecznego, na fotografiach zaś, zdjętych w ostatnich latach, przedstawia się jakby utkaną ze smug i promieni, a niektóre z nich wybiegają daleko, ciągnąc się niekiedy na odległość kilku średnic słonecznych, co znaczy, na setki tysięcy mil geograficznych. U podstawy jest ona zawsze jaśniejsza, a z oddaleniem od brzegów zasłoniętej tarczy słonecznej wciąż słabnie.

Czem jest ta korona, dobrze nie wiemy, co nas dziwić nie może, gdy zważymy, że ukazuje się nam jedynie przez



krótką chwilę zaćmienia całkowitego, które przecież niezbyt często się następuje. Zresztą od 40 zaledwie lat zaczęto ją rozpatrywać przy pomocy przyrządów fizycznych i astronomicznych, a jednym z pierwszych jej badaczy był astronom obserwatorium warszawskiego, Adam Prażmowski, zmarły w Paryżu 1885. Wiemy teraz, że bryła słoneczna otoczona jest atmosferą rozpaloną, złożoną z gazów i par, a przeważnie z wodoru oraz z pary żelaza; ciężka para żelaza rozpuszciera się zapewne w dolnych warstwach tej atmosfery, ga-

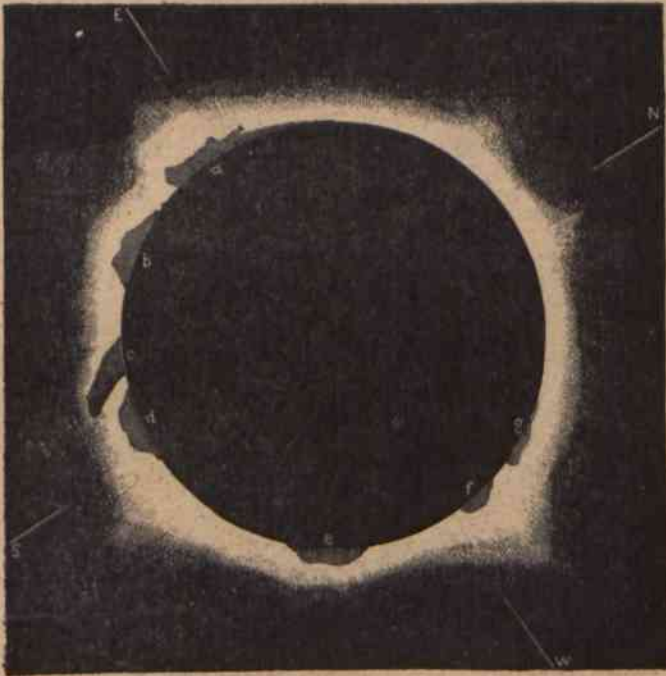


Fig. 5.

zy najlżejsze sięgają najwyżej. Przy pełnym blasku słońca, atmosfera jego jest niewidzialna, przytłumia ją bowiem silniejsza jasność jądra słonecznego. Skoro wszakże tarcza słoneczna ukryje się przed wzrokiem naszym poza bryłą księżyca, ukazują się nam górne warstwy atmosfery słonecznej i one to zapewne tworzą koronę słoneczną. Korona ta w części jaśnieje własnym światłem, więcej wszakże światłem słonecznym, od niej odbitem. Atmosfera rozlega się dokoła słońca nieustannie daleko, coraz chłodniejsza, coraz mniej

jasna, a gdzie jej kresy zachodzą, tego zgoła powiedzieć nie umiemy.

Oprócz korony, jak to widzimy na rysunku, z różnych punktów skraju słońca wrywają się smugi płomienne, jak-

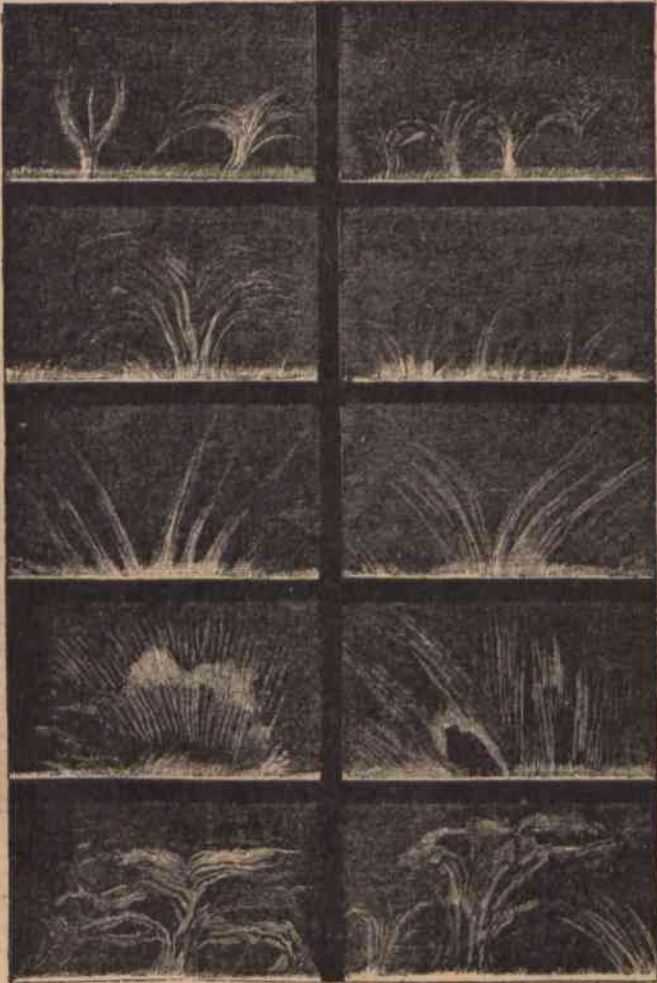


Fig. 6.

by wybuchy z głębszych warstw słońca zwane protuberancjami czyli wyskokami. Pierwotnie sposobność ich obserwowania nastęczała się również w czasie całkowitego zaćmienia słońca tylko, następnie jednak nauczyli się astrono-

mowie tak przyciemniać i przytłumiać blask tarczy słonecznej, że w każdej chwili obserwować można wyrrywające się dokoła protuberancje. Starano się sposób ten zastosować i do badań korony, ale blask jej jest do tego zbyt słaby; jedynie tylko przy zaćmieniu całkowitem słońca jasność nieba przytłumiona jest dostatecznie, by oczom naszym ukazał się ten wieniec światła bladego. Protuberancje, znacznie jaśniejsze, łatwiej dają się dostrzegać i lepiej je też poznano. Jak osobliwą i rozmaitą mają postać, słabe zaledwie wyobrażenie dać mogą rysunki (fig. 6). Cóż znaczą najstraszniejsze uragany ziemskie, w porównaniu z niepojętymi dla nas burzami w atmosferze słonecznej, które wytryskami gazów rozplamienionych miotają na wysokość kilkudziesięciu tysięcy mil

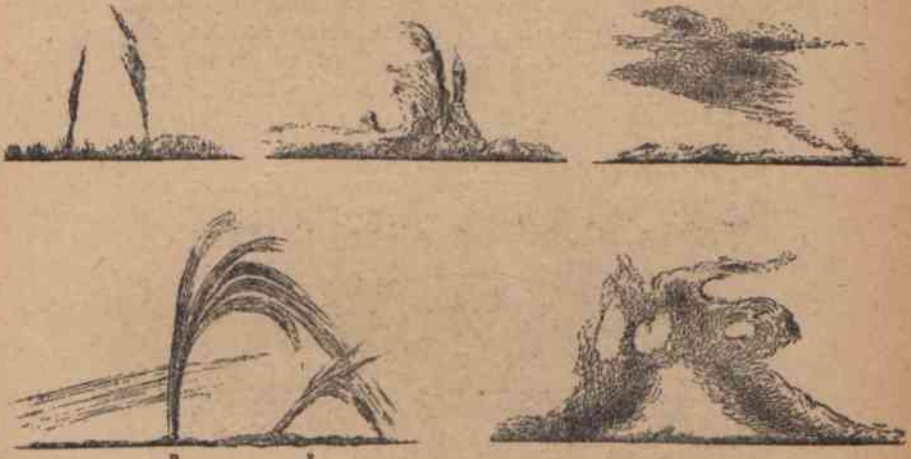


Fig. 7.

i postać ich w ciągu niewielu chwil przeobrażają zupełnie. Cała ziemia nasza zatonełaby w takim obłoku płomienistym, jakby drobiazg nieznacznym. Mówimy tu o obłokach, bo niektóre protuberancje dają rzeczywiście obraz chmur olbrzymich (fig. 7), inne przypominają bardziej jakies wybuchy wulkaniczne.

Rozpalona masa protuberancji w górze, zdala, już od gorejącej bryły słonecznej oziębia się, a opadając sprowadza ochłodzenie otaczającej części powierzchni słońca, która tedy świeci słabiej i ukazuje się nam jako czarna plama, albo raczej jako obszar przyciemniony. Wiadomo bowiem już od trzystu lat, że na słońcu często rozwijają się plamy, które można nawet dojrzeć niekiedy i bez pomocy lunety, jeżeli rozpatrujemy słońce przez szkło okopcone, bez tej bowiem



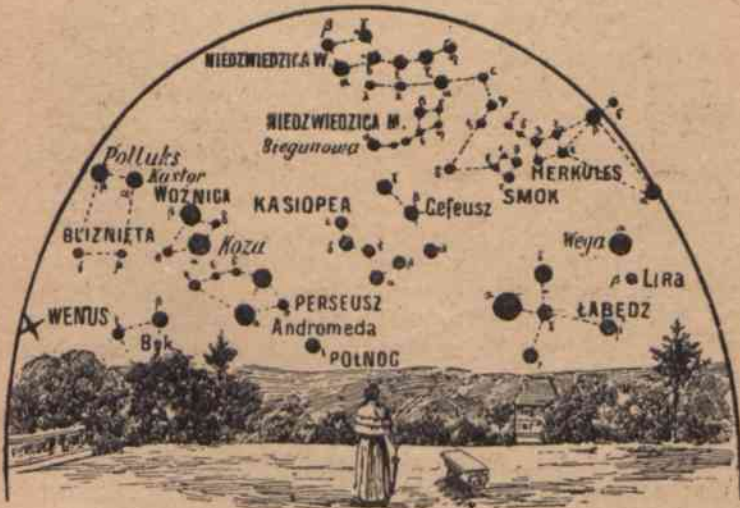
osłony wzrok nasz potężnego blasku słońca znosić nie może.

Protuberancje utworzone są głównie z płonącego wodoru, w którym unosi się też para żelaza i inne zresztą jeszcze znane nam na ziemi pierwiastki. Jest to rzecz zdumiewająca, że, pozostając na ziemi, badać możemy skład chemiczny słońca, poznajemy pierwiastki, z jakich jest zbudowane. Nie są to puste domysły, ale rzeczy dokładnie stwierdzone, każdy bowiem gaz płonący wydaje światło innego rodzaju, barwy odmiennej, a z barwy płomienia rozpoznać można, jakie w nim gazy i pary płoną.

Do wszystkich tych badań szczególną sposobność, jak widzimy, nastęrczają zaćmienia całkowite słońca, dla tego też astronomowie z upragnieniem ich oczekują i zbiegają się zewsząd, gdy gdziekolwiek mają możność obserwacji tego wspaniałego zjawiska. Zaćmienie tegoroczne, 28 maja, jest wprawdzie krótkotrwałe, słońce bowiem przez dwie tylko minuty przez tarczę księżyca zupełnie zasłonięte będzie, ale i ta krótka chwila wystarczy może do rozwikłania niejednej zagadki słońca.

S. K.

## Karta nieba na miesiąc Maj.

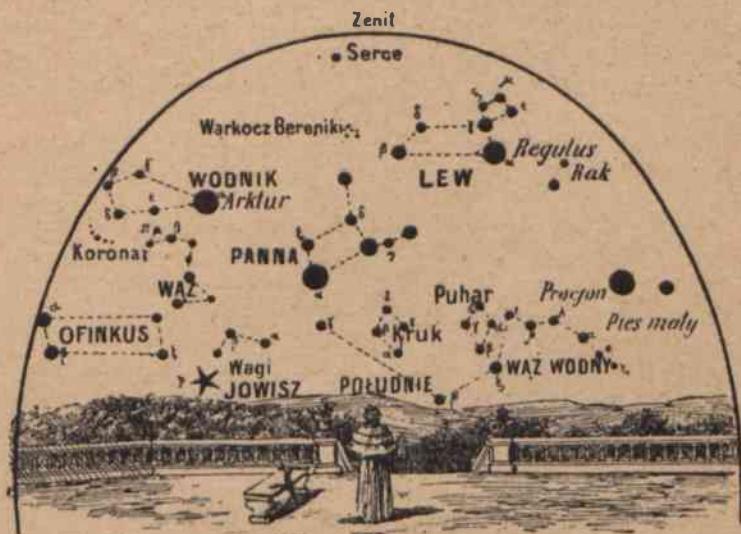


Widok nieba od strony północnej.

Zwróciwszy się ku północy, widzimy w zenicie naszym *Nieźwiedzicę wielką* z 7-ma gwiazdami drugiej wielkości. Dalej, w kierunku ku poziomowi, znajdują się *Nieźwiedzica mała*, *Kassiopea* i *An-*



*dromeda*. Na prawo widzimy gwiazdozbiór *Łabędzia* w kształcie krzyża, *Liry*, *Herkulesa* i *Smoka*. Na lewo spostrzegamy *Perseusza*, *Woznicę z Kozą*, *Bliźnięta* i nad samym poziomem część gwiazdozbioru *Byka*.



Widok nieba od strony południowej.

W stronie południowej widzimy u zenitu *Serce*, dalej *Warkocz Bereniki* i *Pannę*. Niżej gwiazdozbiór *Kruka* i nieco na prawo *Puchar*, *Węża Wodnego* i *Psa małego* z *Procjonem*. Wyżej, po prawej stronie spostrzegamy konstelację *Raka*, złożoną z małych gwiazd i *Lwa* z *Regulusem*. Na lewo mamy w konstelacji *Wodnika*, piękną gwiazdę *Arktura*, *Węża*, *Wagi* i *Oplūneus*.

Z planet widzieć można *Merkurego*, świecącego przed wschodem słońca aż do 10-go, *Wenus* w pierwszych godzinach nocy, *Marsa* przed jutrzenką. *Jowisz* świeci prawie przez noc całą w konstelacji *Niedźwiadka*, *Saturn* też po północy w konstelacji *Strzelca*.

— **Koza karmicielka.** Sztuczne karmienie ogromnie rozstraja trawienie niemowląt i powoduje wysoką ich śmiertelność. Według cyfr, zebranych przez pewnego francuskiego lekarza, na 60000 noworodków umiera na choroby żołądka i kiszki 3044; z tych 2487 karmionych sztucznie, a tylko 557 piersią. Co nadto, sterylizowanie mleka krowiego, najstaranniejsze, a tak kłopotliwe, miarkowanie jego składu dodatkiem wody i cukru pomaga bardzo mało. Z 365 niemowląt chorych, 211 karmionych było mlekiem zwyczajnem, 146 sterylizowanem, u 8 piersią.

Jakoż niemożna krowiego mleka uczynić podobnem do kobiecego, doprowadzając zawartość tłuszczu i cukru do tego samego procentu. Zachodzi tu inna istotna różnica. Pod wpływem soku żołądkowego, sernik mleka ścina się w kłaczkki. Otóż od wielkości, formy i konsystencji tych kłaczków zależy strawność mleka. Sernik mleka krowiego ścina się w kłaczkki duże, jędrne, ścisłe, podczas gdy mleko ludzkie ścina się w drobne, lekkie i łatwo rozdrabniające się włókienka, które też są daleko strawniejsze od sernika krowiego.

Teraz zrozumiałem się staje, z jakiej przyczyny mleko krowie nigdy w przybliżeniu nawet nie zastąpi dziecku mleka z piersi matczynej.

Daleko lepiej zastąpić je może za to mleko kozie, które i składem swoim i zachowaniem się względem soków żołądkowych bardzo jest podobne do ludzkiego. Co więcej, w mleku kozim nie spotyka się bakterji chorobotwórczych, których (np. gruźlicy, szkarlatyny) zawsze obawiać się trzeba w mleku krowiem.

Koza jest zwierzęciem niewielkiem, na paszę nie wymagającym, które też daleko jest łatwiej utrzymać, aniżeli krowę; łatwiej przytem utrzymać ją czysto, co jest szczególnie ważnem, jeśli koza ma być karmicielką dzieci. Mleko kozy czysto utrzymywanej, czystą zdrową paszą karmionej niema bynajmniej zapachu, któryby mógł czynić je nieprzyjemnem w użyciu. A kozy rasowe, jakie hoduje M. J. Crépin, gorliwy ich propagator w Paryżu, dają w przeciągu 10-ciu miesięcy na rok średnio po dwie kwarty mleka dziennie.

Tego wystarcza, aby zachęcić do hodowli kóz, jako karmicielki dziatwy. W miastach większych, gdzie utrzymywanie kóz dla pojedynczych rodzin byłoby trudnem, pożądane są obory kozie, któreby dostarczały mleka specjalnie do karmienia niemowląt.

Szczegółowe wyjaśnienie tego ważnego i ciekawego przedmiotu znaleźć można w dziełach: Marfan, *Traité d'allaitement*. Dr. Baudard, *La chèvre nourrice*.

*Godziemba.*



Główne wejście na wystawę paryską.

## Święto pracy i pokoju.

Pierwszą wystawę wytworów przemysłu urządzono, zdaje się, w Pradze Czeskiej w 1791 roku. Była to, o ile wiemy, bardzo słaba próba—jak każdy początek. I nie ona też stała się ziarnem późniejszych wszechświatowych popisów wszystkich dziedzin twórczości człowieka.

We Francji pierwszą wystawę otworzono 1 vendemia roku VII, czyli według ery naszej 19 września 1798 r., na pamiątkę ufundowania Republiki.

Od tego czasu, co lat kilka, kilkanaście, wystawy się powtarzają. Ale są one długo zamknięte granicami kraju jednego, są to wystawy narodowe francuskie i wyłącznie

przemysłowe. Dopiero w r. 1849 znajduje się na placu wystawy rolnictwo.

Już w r. 1833 mówiono o wezwaniu na wystawę francuską cudzoziemskich fabrykantów, ale było jeszcze na to zawcześnie: obawy, przesady tworzyły przeszkodę nie do przebycia. Z tą samą myślą zwrócił się minister Tourret w r. 1849 do Izb handlowych—wszystkie co do jednej odpowiedziały: *nie!* Powodowały się obawą konkurencji. Za to samolubstwo, za tego ducha wyłączności Francja zapłaciła tem, że pierwsza wystawa powszechna, międzynarodowa, nie odbyła się na ziemi francuskiej, kolebce wystaw.

Anglja uprzędziła Francję.

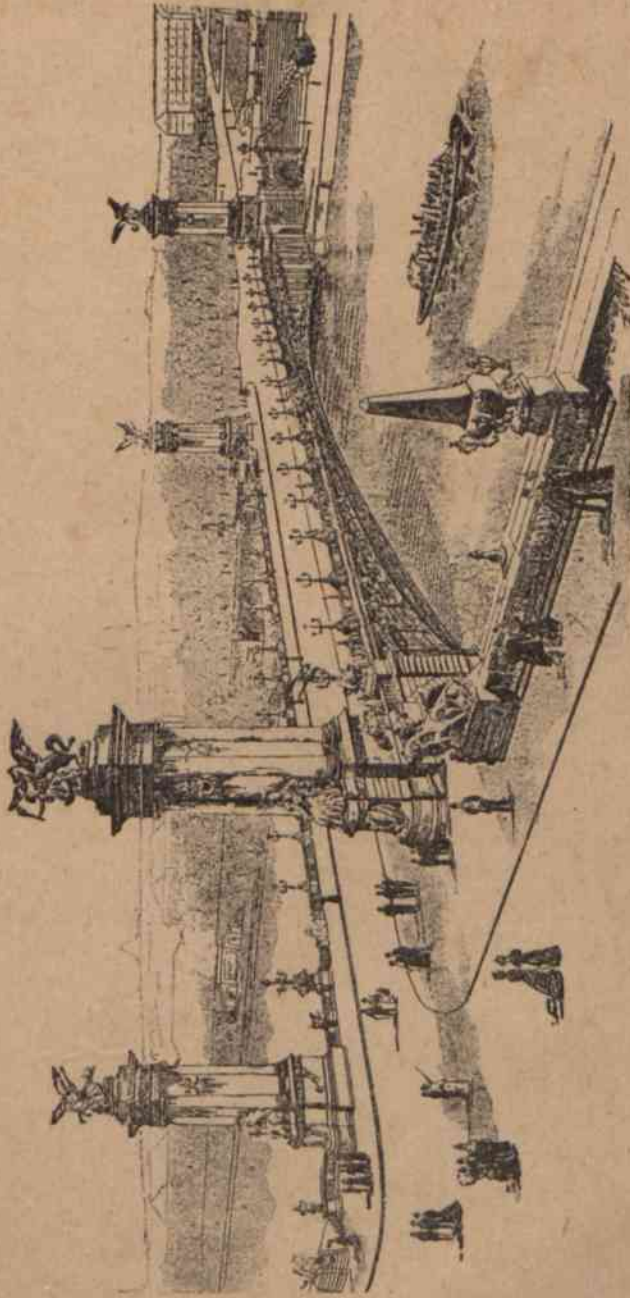
Pierwszą wystawę powszechną urządzono w r. 1851 w Londynie, w t. zw. Pałacu kryształowym. Od tego czasu odbyło się wielkich wystaw wszechświatowych 11, obecna paryska jest 12-ą. Prócz tego w Australji, w Ameryce i w Europie odbyło się kilkanaście, może kilkadziesiąt wystaw bądź miejscowych, bądź też powszechnych, ale mniejszego znaczenia, np. w Antwepji 1894 r., w Brukselli 1897 roku.

Poniżej podajemy tablicę danych ze wszystkich wystaw powszechnych; niestety, nie zdołaliśmy zgromadzić wszystkich cyfr, ale sądzimy, że i te, które są, dadzą już pojęcie o rozwoju wystaw.

MIASTA	rok wysta- wy	Obszar za- jęty przez wystawę	ilość firm i przedsię- biorstw	ilość na- gród	Liczba zwiedzają- cych	Wdatki (we fran- kach)	Dochody (we fran- kach)
Londyn	1851	8 hekt. <sup>1)</sup>	13,980	5,187	6 mil.	7,4 mil.	12,7 mil.
Paryż	1855	16,8 „	23,954	11,033	5 „	11,5 „	3,2 „
Londyn	1862	12,5 „	29,800	13,305	6 „	23,5 „	10,4 „
Paryż	1867	68,7 „	52,200	19,256	11 „	8 „	10,8 „
Wiedeń	1873	183,4 „	42,000	25,552	7 „	59	11 „
Filadelfja	1876	115 „	27,000	—	10 „	—	—
Paryż	1878	—	52,835	29,810	16 „	54 „	23,7
Paryż	1889	70 „	54,000	—	25 „	41,5 „	49,5
Chicago	1893	228,6 „	70,000	—	21 „	134,1 „	147,8

<sup>1)</sup> Hektar—10,000 metrów kwadratowych, prawie dwóm naszym morgom.





„Most Cesarza Aleksandra III,“ zbudowany z powodu wystawy.

Większość wystaw wszechświatowych przyniosła bezpośrednie straty, jeżeli się jednak weźmie pod uwagę zyski, jakie miasto i kraj osiągały z wielkiego napływu cudzoziemców, to rzecz się przedstawi inaczej. Jedyne, zdaje się, wystawa wiedeńska dała straty zbyt wysokie (48 mil. franków), niczem niepowetowane.

Najświetniejsza z dotychczasowych wystaw była paryska 1867 r. Wszyscy wierzyli w potęgę Napoleona III-go, w świetny stan Francji. Wystawę tę odwiedzili: Cesarz Wszechrosji, cesarz austriacki, król pruski, sułtan, król Belgów, król bawarski, król portugalski, królowa holenderska, król grecki, król szwedzki, książę Walji, książę Humbert włoski, brat cesarza japońskiego i t. d. Odbył się wtedy świetny „bal narodów“, a na nim kadryl królów.

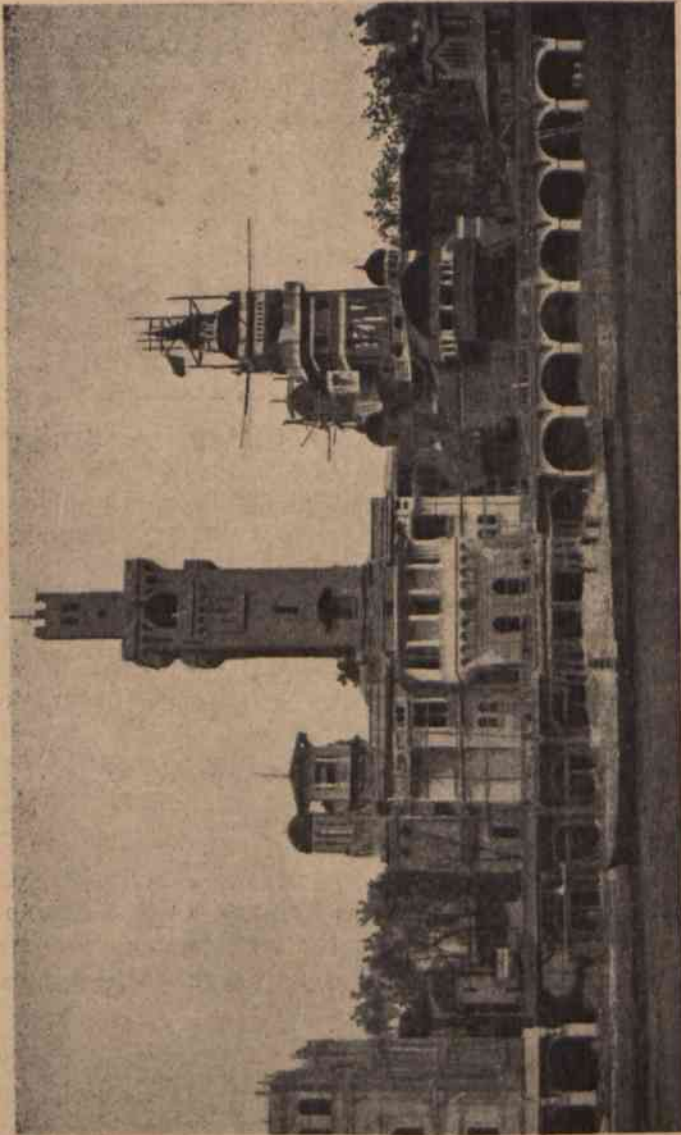
Pierwsze wystawy obejmowały: przemysł, rolnictwo i sztuki piękne. Dopiero wystawa wiedeńska rozszerzyła ten zakres i wprowadziła wszelkie utwory i zdobycze, zarówno ducha ludzkiego jak rąk ludzkich. Wystawa paryska 1878 poszła jeszcze dalej; urządzono wtedy po raz pierwszy podczas wystawy różne zjazdy i kongresy, polityczne, naukowe, filantropijne.

Przy najmniej przyjaznych warunkach odbyła się wystawa paryska 1889 r. Miała ona upamiętnić rocznicę Rewolucji, to też rządy wszystkie większych państw odmówiły udziału. Pomimo to rezultat wypadł świetny pod każdym względem. Żadna wystawa nie przyciągnęła tylu gości; liczba wystawców, a nawet zysk przewyższyły liczby wszystkich wystaw poprzednich.

\* \* \*

Francuzi obiecują, że świeżo otwarta wystawa prześcignie wszystko dotychczas widziane. Zajmuje ona przestrzeń 108 hektarów, więc ustępuje wiedeńskiej, filadelfijskiej i chicagoskiej, ale o wiele przewyższa wszystkie dotychczasowe paryskie. Bierze w niej udział 50 państw, a 100 tysięcy wystawców. Koszta poniesione doszły do 100 milionów, czyli więcej, niż dwukrotnie przewyższyły nakład ostatniej wystawy. Katalog w r. 1889 zawierał się w 9-u

tomach, teraz zappełnił trzydzieści. Przygotowano biletów dla 65 milionów gości!



Pawilon Szwecji.

Pawilon ks. Monaco.

Ponieważ powodem jej urządzenia był koniec wieku, więc ma ona charakter historyczny, starano się odtworzyć

bieg i postępy stulecia całego, jest obszerny dział antropologii i etnografii. Odtworzono część starego Paryża, który opisywał Dumas i inni twórcy powieści historycznych.

Wogóle wystawa dzieli się na 18 grup i 121 klas następujących:

- Grupa I Wychowanie i oświata (klasy 1 do 6-ej).
- „ II Dzieła sztuki (kl. 7—10).
- „ III Przyrządy i środki ogólne literatury, nauk i sztuk (kl. 11—18).
- „ IV Materiały i środki ogólne mechaniki (kl. 19—22).
- „ V Elektryczność (kl. 23—27).
- „ VI Inżynierja i środki przewozowe (kl. 28 — 34).
- „ VII Rolnictwo (kl. 35—43).
- „ VIII Ogrodnictwo (kl. 44—49).
- „ IX Lasy, myślistwo, rybołówstwo (kl. 50—55).
- „ X Żywność (kl. 56—62).
- „ XI Kopalnie, metalurgja (kl. 63—65).
- „ XII Ozdoby i sprzęty gmachów publicznych, oraz mieszkań (kl. 66—75).
- „ XIII Przędze, tkaniny, odzież (kl. 76—86).
- „ XIV Przemysł chemiczny (kl. 87—91).
- „ XV Różne rodzaje przemysłu (kl. 92—100).
- „ XVI Ekonomia społeczna, hygiena, miłosierdzie (kl. 101—112).
- „ XVII Kolonizacja (kl. 113—115).
- „ XVIII Armje lądowe i morskie (kl. 116—121).

Wystawa została otwarta już w pierwszy dzień Wielkanocy, ale budynki jeszcze niepowykończane, w wielu miejscach wznoszą się rusztowania. To też do dziś trudno było o dobre fotografie. Dajemy czytelnikom naszym rysunki najważniejszych budynków i osobliwości, jakie tymczasem zdołaliśmy zebrać.

Zwykle na każdej z wystaw ostatnich znajdowały się prócz okazów przemysłu i sztuki różne osobliwości, specjalnie urządzone dla wystawy, a przeznaczone do ściągania widzów. Taką osobliwością była nawet wieża Eifla. Obecnie takich osobliwości jest dużo. Należą do nich: wioska



szwajcarska; olbrzymie globusy, olbrzymia huśtawka, których dokładne wizerunki mogą czytelnicy nasi oglądać.

\* \* \*  
 Mężowie stanu francuscy wystawie obecnej pragną nadać cechy dzieła pokoju.

Decyzja urządzenia wystawy zapadła w r. 1891 dekretem, który podpisał prezydent Carnot. Ówczesny minister handlu i przemysłu Jules Roche, tak wtedy pisał w akcie urzędowym:

„Wystawy są nie tylko dniami odpoczynku i radości, dla pożądzonych w pracy narodów: wznoszą się one od czasu do czasu niby wierzchołki, z których mierzymy



Pawilon Niemiec.



Pawilon syberyjski.

i badamy drogę przebytą. Człowiek schodzi z nich pokrzepiony, podniesiony na duchu, pełen wiary głębokiej w przyszłość.



Pagoda indyjska.

braterstwa. Jako przedsiębiorstwa, wystawy zalecają się mniej przez zyski materialne wszelkiego rodzaju niż przez

Wiara ta, która w wieku przeszłym była udziałem kilku zaledwie umysłów szlachetnych, dzisiaj szerzy się coraz dalej, coraz głębiej; staje się religją powszechną czasów obecnych, owocnym kultem, w którym wystawy odgrywają rolę uroczystości solennych, pełnych majestatu; są one nieodzownymi objawami istnienia narodów pracowitych, ożywionych nieprzepartą chęcią

podniecie potężną, której udzielają duchowi ludzkiemu"...  
Data wystawy, przypada w ostatnim roku stulecia, w którym  
odbył się nadzwyczajny postęp naukowy i ekonomiczny; przy-  
pada na progę nowej ery, opromienionej prorocत्वami filo-  
zofów i uczonych: wielkość jej prześcignie bezwątpienia  
marzenia wyobraźni naszej.

Odpowiada temu mo-  
wa Prezydenta Repu-  
bliki Francuskiej, wy-  
głoszona w dniu otwar-  
cia wystawy:

„Zapraszając rządy i  
ludy do odtworzenia  
wszechstronnego obra-  
zu pracy ludzkiej, repu-  
blika francuska chciała  
nie tylko wywołać  
współzawodnictwo cu-  
dów przemysłu i odno-  
wić nad brzegami Sek-  
wany starą sławę wy-  
tworności, uprzejmości  
i gościnności francu-  
skiej. Zmierzaaliśmy wy-  
żej. Celem naszym jest  
nie tylko przepych prze-  
mijających uroczy-  
stości, zaspokojenie du-  
my patriotycznej, którą  
dziś jesteśmy przepę-  
nieni, i zadowolenie mi-  
łości własnej lub inte-

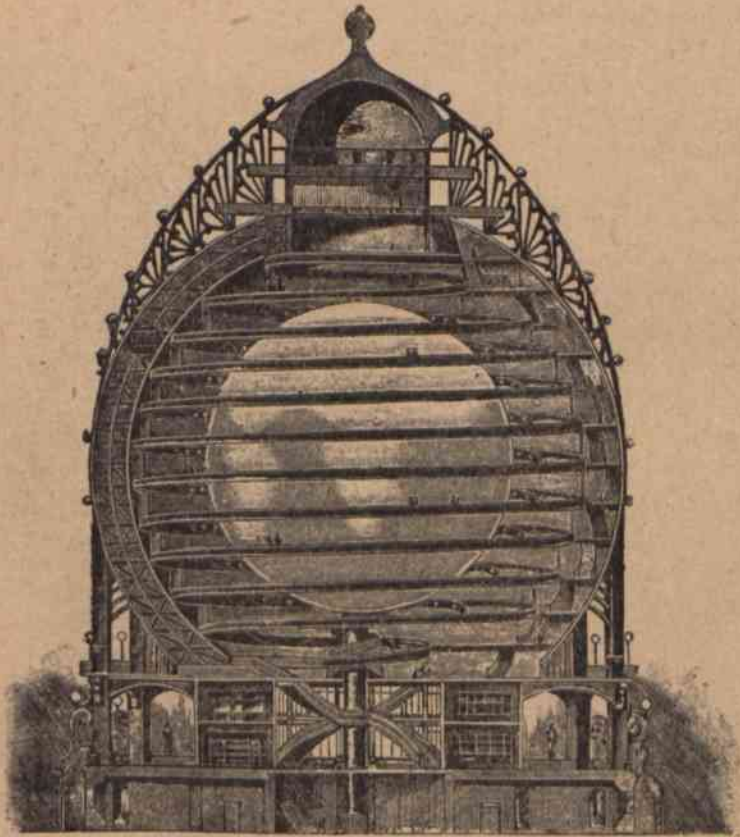


Obok placu wystawy odtworzono całą wioskę  
szwajcarską, niezapomniano nawet o wodospa-  
dzie, który tu widzimy.

resu. Francja chciała przede wszystkim przyczynić się do wy-  
tworzenia zgody pomiędzy narodami i żywi świadomość, że  
pracuje dla dobra całego świata na schyłku tego wspaniałe-  
go stulecia, które wprawdzie nie zdołało niestety odnieść  
zupelnego zwycięstwa nad błędem i nienawiścią, ale pozos-  
tawia nam jednak żywą wiarę w nieustanny postęp. Dla-



tego też urządzenia ekonomiczne zajmują tu najwięcej miejsca i pozwalają rozpoznać dążenie każdego państwa do udoskonalenia sztuki życia społecznego. Nadają one charakterystyczne znaczenie tej wystawie, która ma być świetną i wielką szkołą dla wzajemnej nauki. Nie pozwalają nam



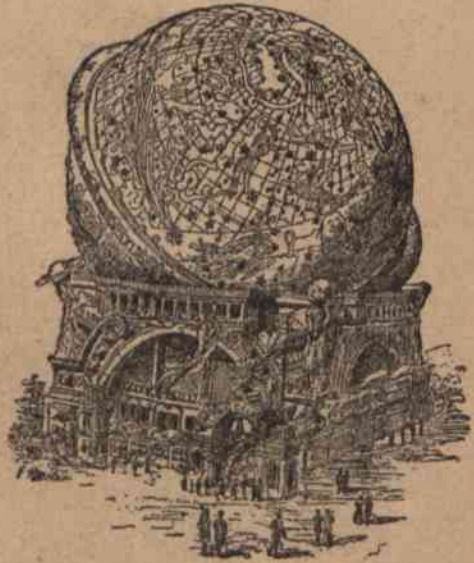
Olbrzymia kula ziemaka, wynosi w średnicy 28 metrów; na niej wszelkie wypukłości i zagłębienia ziemskie—jak w naturze. Dokoła urządzone rusztowania dla pragnących dokładnie jej się przyjrzeć.

one oczywiście zapominać o odkryciach wiedzy, ani o arcydziełach sztuki i przemysłu, ale wskazują nam niejako cel cywilizacji, są niejako uzasadnieniem naszego dzieła. Zaiste, jest to widok godny podziwienia, spoglądać, jak intelligen-



cja bierze w karby siły fizyczne świata i poddaje naturę najróżniejszym kombinacjom, z których wynika dla nas powiększenie dobrobytu i zadowolenia estetycznego.

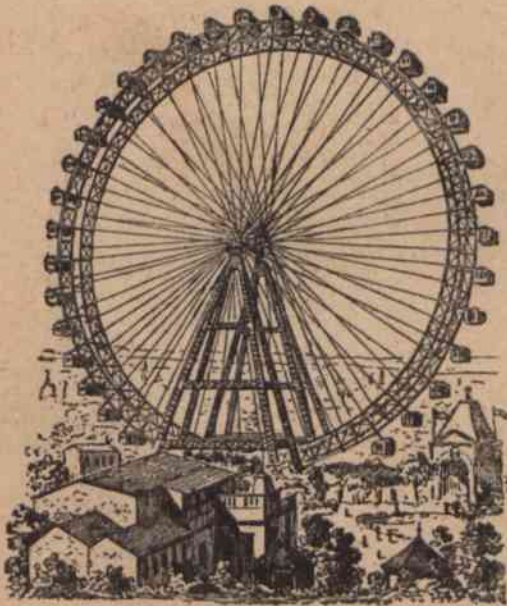
„W jakimkolwiek jednak stopniu geniusz opanował martwą naturę, wyższą od niego jeszcze jest sprawiedliwość i dobroć. Najwyższą formą piękności nie jest ta, którą można oznaczyć numerem w katalogu; jest ona tylko widoczna dla oka duszy i znajduje swe rzeczywistnienie, gdy najróżnorodniejsze wybitne inteligencje, jednocząc swe siły, są ożywione wspólnym duchem—jak maszyny naszych galerji wystawowych wspólnym motorem, a mianowicie duchem solidarności. Z zadowoleniem mogę stwierdzić, że wszystkie rządy hołdują temu najwyższemu prawu, i fakt ten jest jednym z najważniejszych wyników tego wielkiego konkursu ludów. Mimo ciężkich walk, które narody toczą ze sobą na polu



Olbrzymi globus nieba.

przemysłowem, handlowem i ekonomicznem, pracują one przede wszystkim wytrwale nad wyszukaniem środków, przeznaczonych na zmniejszenie niedoli ludzkiej, nad zorganizowaniem urządzeń dobroczynnych, szerzeniem oświaty, umoralnieniem pracy i zabezpieczeniem pracujących w wieku sędziwym. Przesyłam rządowi, którego współpracownictwo było dla nas tak pożądane, najserdeczniejsze pozdrowienie. Witam ich szlachetnych pełnomocników. Byli oni wybitnymi współpracownikami przy tem wspólnem dziele, i na nich spada wielka część zasługi. Nie mogę też zapomnieć o naszych inżynierach i architektach, o naszych ar-

tystach i budowniczych, o naszych przedsiębiorcach i robotnikach, którzy pod kierownictwem tego wybitnego męża, którego imię słusznie słauił minister Millerand, przeprowadzili to ogromne dzieło przez niezliczone trudności i oddali nam je w terminie oznaczonym. Szanowni Panowie! To dzieło harmonji, pokoju i postępu nie pozostanie bez śladów, jakkolwiek przemijające są jego objawy zewnętrzne.



Olbrzymie koło-hustawka. Amatorzy wsiadają do wagonów, przymocowanych do koła i wznoszą się w górę. Oko ich ogarnia coraz większą przestrzeń, coraz rozleglejszy widok. Interesujące to, ale nie dla każdego przyjemne.

To pokojowe współdziałanie rządów całego świata nie będzie bezowocne. Jestem przekonany, że dzięki stałym zapewnieniom niektórych wspaniałych mocarstw, które rozbrzmiewały pod koniec wieku ubiegłego, w wieku dwudziestym nad mniejszą niedolą będzie przyświecać nieco więcej miłości bratniej, i że może niezadługo wstąpimy w ważne stadium w powolnym rozwoju pracy, poświęconej szczęściu ludzi i ludzkości. W tej nadziei ogłaszam

Wystawę r. 1900 za otwartą“.

Jest to może pierwsza wystawa paryska, pozbawiona politycznego celu i charakteru. To też obok 50-ciu innych narodów wzięły w niej udział Niemcy, nieobecne z pobudek politycznych w latach 1878 1889. Nietylko stawily się teraz, ale prasa niemiecka powitała gorąco wystawę paryską jako wielkie święto ludów, święto pracy i pokoju. Nastę-

pujące wiersze wyjęliśmy z „Frankfuter Zeitung“: „Dziela tego, można Francuzom szczerze powinszować, nietylko dla myśli samej, ale i dlatego zasobu sił i wytrwałości, której do wykonania go zużyto. Można powinszować i wyrazić nadzieję, że powodzenie wystawy przysporzy w pierwszym rządzie rzeczpospolitej powagi i wpłynie na jej wzmocnienie. Wystawa ma jednak również i inne, wychodzące poza ten zakres, znaczenie. Jest ona dziełem pokoju i pracy. Wskazuje ona ludom pole, na którym nadal walczyć mają dla wspólnego dobra i zwiastuje całemu światu, jakie błogosławieństwo spoczywa w zogniskowaniu pracy i zdolności. O pokoju i pracy, tych wielkich zbawcach ludzkości, mówi każdy kamień wystawy. Oby mowa ta szerokiem odbiła się po całym świecie echem“.

L.



Po tej drodze przeszła wojna!

## Obraz wojny, jej ślady, jej skutki.

*Żadne z dzieł, żaden z czynów ludzkich, nie miały tyłu chwalców, co wojna. Opiewali ją najwięksi poeci świata, malowali mistrze namiętni. Jedni gwałt krwawy sławili z popędu własnego, innym zwycięscy potężni kazali uwieczniać swe czyny. Gdy dziś patrzymy na te świadectwa sławy, zgroza zdejmując włos na głowie wstaje—to mord i krzywda, to krew i cierpienie.*

*Przyjrzyjmy się obrazowi wojny, jej śladom, jej skutkom—silniejszego dowodu znaleźć niepodobna, iż trzeba ją na wieki z dziejów usunąć, trzeba ją ścierać, jak wroga śmiertelnego.*

### **Co wojna narodom zabiera i niszczy.**

Uczony francuski, Karol Richet, w dziele „Les guerres et la Paix“, obrachował, jakie ofiary pochłonęły ważniejsze wojny w wieku bieżącym—zabrały one narodom i rodzinom około 15 milionów ludzi, co daje mniej więcej 300 trupów na dzień każdy. Gdyby codziennie zdarzały się pożary wiel-





Po zwycięstwie! Obraz Yvona.

kie, rozbicia się statków i pociągów, trzęsienia ziemi i t. d., liczba ofiar nie była by większa.

W okresie od r. 1853—66 statystyka wojen daje liczby takie:

wojna krymska . . . . .	784,991 ofiar
„ włoska . . . . .	45,000 „
„ duńska . . . . .	3,500 „
„ amerykańska . . . . .	900,000 „
„ austro-pruska . . . . .	45,000 „
wyprawy pozaeuropejskie . . . . .	65,000 „
	<hr/>
	1,743,491 ofiar



Wbity na pal.

Liczba ta równa jest męskiej ludności Hollandji, a także ilości robotników, zajętych we Francji przy przemyśle i handlu.

Jednocześnie straty pieniężne były następujące:

wojna krymska . . . . .	8	miljardów	500	miljonów
„ włoska . . . . .	1	„	500	„
„ duńska . . . . .	0	„	180	„
„ amerykańska . . . . .	35	„	000	„
„ austro-pruska . . . . .	1	„	650	„
wyprawy pozaeuropejskie . . . . .	1	„	000	0
	<hr/>			
	47	miljardów	830	miljonów



Obraz wojny w wieku XVII (u nas wojny szwedzkie, korackie)  
z współczesnego rysunku.

*Gravé par Louis de La Planche*





Ślady wojny



Dom zburzono, mieszkańców wymordowano.



Suma ta równa się całemu bogactwu Francji, ruchomemu i nieruchomemu, zaś sześciokrotnie przenosi wartość wszystkich kolei francuskich.

Wojna francusko-pruska roku 1870—71 zabrała Francji 156,000 ludzi zabitych i 143,000 rannych. Niemcy stracili 44000 zabitych, rannych było 127000. Prócz tego klęski wojny dotknęły około 800000 ludzi cywilnych.

Straty pieniężne wojny tej wyliczają dla samej Francji na 11—15 miliardów — objęcie tej sumy przechodzi siły naszej wyobraźni.



Z pomiędzy trupów niby żywy kościotrup dźwignął się raniony biedak, którego zapomniano na pobojowisku!...

### **Co mówią i myślą o wojnie wielcy ludzie.**

Gdy mi przyjdzie na myśl słowo *wojna*, doznaję zawrotu, jak gdyby mówiono mi o czarnoksiężnictwie, o inkwizycji, o rzeczy odległej, minionej, potwornej, wstretnej, przeciwnej naturze.

Gdy mowa o ludożercach, uśmiechamy się z dumą, głosząc wyższość swoją nad ludami dzikimi.

Ale gdzie są dzicy, prawdziwi dzicy? Czy ci, co się biją, aby zjeść zwyciężonego, czy ci, którzy się biją, aby zabijać, nie więcej, jedynie zabijać.

Ten długi szereg ludzi, którzy tam maszerują, przeznaczony jest na śmierć, niby stado baranów, które pędzi rzeźnik po drodze.



Po bitwie! Obraz Wereszczagina.



Pomnik wojny! Szkielet utana francuzkiego, wbitego na pal w Dahomeju. Idą na rzeź, padną z głową rozciętą albo z przestrzeloną piersią: a wszystko to młodzież, która by mogła pracować, wytwarzać, przy-

nosić pożytek. Ojcowie ich starzy są i biedni; matki, które przez lat dwadzieścia miłowały swych synów, jak to matki miłują—umy-



Ci szli zwyciężać,—teraz wracają!



Jużem gotów!



słem, sercem, wyobraźnią—po upływie 10 miesięcy, może roku dowiedzą się, iż dziecko ich, ukochane dziecko, wychowane kosztem tylu ofiar, zostało rzucone do dołu, niby pies zdechły; a przedtem je kula przeszła, kopyta końskie stratowały, poszarpały, zmiażdżyły. Dla czegoż zabili jej chłopca, takiego dzielnego chłopca, jedyną jej nadzieję, jej dumę, jej życie? Nie wie, dla czego.



Trofea!

Wojna!... bić się!... napadać... mordować! I my dzisiaj, w epoce wysokiej cywilizacji, w epoce tylu tryumfów wiedzy i myśli ludzkiej, mamy szkoły, gdzie uczą zabijać, zabijać z daleka, dokładnie, odrazu wielu ludzi i to ludzi nieznanych, niewinnych, obarczonych rodziną, zabijając bez sądu, bez wyroku.

*Guy de Maupassant.*



Codziennie widzimy osoby, mające pozór i opinię ludzi rozsądnych, które tonem pełnym powagi dowodzą, że największymi mężami na ziemi byli: Hannibal, Aleksander, Cezar i Napoleon! Jakto, w naszym wieku, wśród ludzi wykształconych mogą być wygłaszane bzdurstwa podobne inie wywoływać śmiechu!—Zachowane stare, bałwochwalcze uwielbienie dla zdobywców, podziw ślepy i dziecinny dla tego, co nazywają genjuszem wojennym!

*P. Leroy-Beaulieu.*

Tymczasem jest rzeczą bezużyteczną i próżną deklamować przeciwko wojnie, albo organizować sądy rozjemcze. Pierwsza rzecz, jaką uczynić należy, to zmienić istniejące przeświadczenie, jakoby najwyższym obowiązkiem narodów było rachowanie się z własnym jedynie interesem.

Tu, jak we wszystkich sprawach postępu społecznego, zmiana musi się dokonać przedewszystkiem w opinji, potem w obyczajach i nałogach, a wreszcie dopiero na instytucjach. Błąd większej części reformatorów na tem polega, że próbują zmienić ten porządek.

*E. S. Beesly.*

Wojna każda, najbardziej nawet łagodna, ze wszystkimi swemi zwykłemi następstwami: ze zniszczeniem plonów, z kradzieżą, z gwałtem, rozpustą, mordem; z uzasadnieniem swej konieczności i słuszności, z przesadną chwałbą czynów wojennych, z udaną troską o ranionych, w ciągu roku jednego znieprawi więcej ludzi, niż tyśiące grabieży, rabunków, pożarów, zabójstw, dokonanych w ciągu wieku przez jednostki, popychane namiętnościami.

Przepowiedzieć można chwilę, kiedy wszyscy ludzie zaniechają wojny, miecze przerobią na pługi, a szable na sierpy; do tych czasów, do tej nowej postaci życia ludzkość posuwa się z coraz to większą szybkością.

*L. Tolstoj.*

# Jan Gabrjel Borkman.

Dramat w czterech aktach przez Henryka Ibsena.

Mało chyba jest mocarzy w dziedzinie pracy umysłowej, którzyby tak sprzeczne, jak Henryk Ibsen wywoływali o sobie sądy. Autor ten norweski, pochodzący z drobnego, położonego gdzieś na krańcu Europy państwa, tworzący w języku, zrozumiałym, poza granicami jego ojczyzny, szczerzej tylko garście jednostek, znany jest we wszystkich cywilizowanych krajach. Utwory jego, tłumaczone niezwłocznie na wszystkie główne języki, przedstawiane bywają i w Paryżu i w Petersburgu, w Berlinie i w Nowym Jorku, w Rzymie i w Warszawie. Pojawienie się zaś każdej jego sztuki stanowi pierwszorzędny wypadek w dziejach współczesnej literatury, roztrząsany i omawiany na wszystkie tony i sposoby. Zdania jednak są podzielone. Obok hymnów pochwalnych odzywają się głosy surowej krytyki. Jedni upatrują w utworach norweskiego mistrza nieledwie objawienie wszelkiej mądrości, drudzy widzą w nich jedynie majaczenia chorej czy chorobliwej wyobraźni. Tak zw. ibseniści traktują jak półgłówków lub idjotów tych, którzy ośmielają się nie uznawać ich bożyszcza, przeciwnicy zaś Ibsena zarzucają jego wielbicielom gonienie za niezdrową sensacją, schlebianie modzie, nie mającej z rzeczywistością sztuką nic wspólnego.

Różnica ta zapatrywań, o ile jest szczerą, tłumaczy się odmiennymi poglądami na zadanie sztuki dramatycznej. Kto w teatrze szuka wyłącznie rozrywki, kto przedewszystkiem domaga się od utworu scenicznego pogodnych wrażeń, ten nigdy nie pogodzi się z twórczością Ibsena. Cechą bowiem znaną tej twórczości stanowi czarny, beznadziejny, nie-

przejednany pesymizm. Ktoby sądzić chciał życie i jego obławy podług utworów tego autora, doszedł by do przekonania, że świat cały jest jednym wielkim kryminałem lub szpitalem warjatów. Tło tych utworów stale jest ponure, a ożywają je bez wyjątku prawie figury, obarczone umysłowemi jakimiś lub fizycznymi zбочzeniami.

Ostatecznie na tem tle i z tych figur wytworzyć by można, ponury wprawdzie i przygnębiający, lecz zawsze dramat, czyli obraz walki człowieka z zewnętrznemi przeciwnościami lub własną namiętnością. Ibsen jednak, obracający się bezustannie w zaklętym kole rozbierania duszy a niekiedy i ciała swych figur, lekceważy najkardynalniejsze zasady dramatu: intrygę i akcję, i tworzy dzieła, będące więcej obrazami duszy niż obrazami życia, więcej studjami psychologicznemi a nawet fizjologicznemi, niż utworami scenicznemi. Zagadnienia norweskigo dramaturga są zawsze poważne i głębokie, do ich poruszania i rozwiązywania nie nadaje się jednak teatr, lecz szpital lub katedra uniwersytecka.

Po części pomieszanie to pojęć jest wynikiem zbyt daleko posuniętej tendencyjności. W zasadzie trudno autorowi dramatycznemu odmawiać prawa poruszania najżywoźniejszych kwestji, najpotężniejszych prądów, nurtujących w danej chwili społeczeństwo czy ludzkość. Zważyć jednak należy, że autor dramatyczny w pierwszej linii nie jest, a przynajmniej nie powinien być socjologiem ani politykiem, lecz artystą, tworzącym dzieła sztuki; że wolno mu pouczać, moralizować i agitować jedynie za pomocą piękna. Tendencja więc może być wyłącznie środkiem, nigdy zaś celem sztuki. Zresztą i pod innym względem tendencyjność zagraża poważnem niebezpieczeństwem produkcji dramatycznej. Niebezpieczeństwo to wypływa z samej istoty sztuki tendencyjnej. Niepodobniństwem jest bowiem przy odtwarzaniu na scenie pewnych stosunków, kwestji, potrzeb i zapatrywań współczesnych, ustrzedz się zależności od tego czy owego stronnictwa, od tej czy owej mody. Wrażenie, jakie wywołują tego rodzaju sztuki, zależy wyłącznie prawie od stopnia prawdy, w jakim przedstawiają one danych ludzi i dane wypadki. Pomimo wszelkich wysiłków poety, aby nadać swym obrazom cechę prawdy wiecznej, nosić one będą zawsze na sobie barwę swego czasu. W przeciwieństwie do komedji fantastycznej i do tragedji, dramat tendencyjny oderwać się nie może od ściśle określonej widowni, od stosunków znanych, wracających stale i typowych dla życia, zwyczajów i obyczajów ludzkich w danym okresie. Skoro więc minie ten okres, skoro się zmienia zwyczaje

i obyczaje, zniknie też interes do malujących je utworów. Na trwałe uznanie liczyć jedynie mogą dzieła, odtwarzające zrozumiałe we wszystkich czasach sprawy, uczucia i namiętności ogólnoludzkie.

Niestusznym jest zresztą dość rozpowszechnione mniemanie, jakoby Ibsen był twórcą współczesnej sztuki tendencyjnej. Autor norwecki budował tylko dalej na podwalinach, założonych we Francji, głównie przez Aleksandra Dumasa syna. Pod tym jednak względem Ibsen przewyższa francuzkich swych poprzedników i nauczycieli, że obdarzony jest umysłem daleko głębszym, większą odwagą i szczerością. Gdy paryscy komedjopisarze ślizgają się po wierzchu kwestji, wykręcają się sianem czy dowcipem, dramaturg skandynawski stara się dotrzeć do dna każdej sprawy, wyczerpuje w obronie swej tezy wszelkie argumenty. Gruntowność ta ma jednak i ujemne swoje strony. Autor, chcąc dowieść zbyt wiele, dowodzi za mało. Pod nadmiarem argumentów ginie myśl przewodnia i powstają utwory niejasne, zawiłane i niezrozumiałe. Miary złego dopełnia mnóstwo symbolów, zaciemniających jeszcze bardziej i tak już niezbyt jasny obraz. Na dobrą sprawę w każdej figurze Ibsena, w każdym wypadku, rozgrywającym się w jego dramatach, domysleć się można jakiegoś symbolu.

Ibsen uchodzi za najwybitniejszego przedstawiciela współczesnego realizmu czy naturalizmu w teatrze. Opinia ta do pewnego tylko stopnia jest słuszna. Realizm jego ujawnia się przeważnie tylko w dodatkach zewnętrznych. Środowisko odznacza się zdumiewającą prawdą życiową. Autor rysuje z drobiazgową starannością tło, na którym rozgrywać się ma akcja, przepisuje dokładnie nie tylko dekoracje sceny, ale i ubiór, a niekiedy i ruchy pojedynczym wykonawcom. DIALOG dalej odwzorowany jest tak niewolniczo na mowie potocznej, toczy się do tego stopnia w zdaniach urywanych, że razi formalnie swym realizmem i sprawia wrażenie czegoś wymuszonego i sztucznego. Jeżeli jednak ciało utworów Ibsena jest na wskroś realistyczne, to dusza ich jest idealna, o tyle przy najmniej, o ile idealnym nazywamy to, co nie zgadza się z warunkami rzeczywistego życia.

Żaden ze współczesnych, a może i dawniejszych autorów dramatycznych nie posiada do tego stopnia co Ibsen zdolności ubierania w ciało pojęć abstrakcyjnych. Wszystkie prawie jego figury są w gruncie rzeczy formułkami czy zagadkami psychologicznymi lub fizjologicznymi. Dzięki jednak niepospolitemu talentowi autora, formułki te przybierają postać ludzi z krwi i ciała, pochwyconych na gorącym



uczynku. Lecz ludzie ci są bez wyjątku prawie ludźmi niezwykłymi. Każdy z nich obarczony jest jakimś zajęciem, żywi jakieś marzenia, ściga jakieś plany, kombinuje jakieś projekty, wykraczające po za zwykłą sferę pojęć dzisiejszej ludzkości. Pojedynczo każda z tych figur może się nawet zgadzać z prawdą życiową; zebranie jednak w jednym środowisku całej galerji tego rodzaju typów wypowiada otwartą wojnę warunkom rzeczywistego życia. Niezależnie od tego Ibsen obdarza wszystkie prawie swe figury nie tylko pesymistycznym swym poglądem na życie, ale i głębokim swym filozoficznym umysłem. Sędziwy starzec i kilkunastoletnia dziewczyna, uczony pastor lub doktor i prosty robotnik—wygłaszają jedne i te same, nacechowane imponującą mądrością, zdania. Oczywiście, że z realizmem uniwersalna ta filozofja nie wiele ma wspólnego.

Tak się przedstawia w głównych zarysach twórczość poetycka Ibsena. Wyjaśnijmy ją teraz przykładem, a mianowicie, rozbiorem świeżo odegranego na naszej scenie dramatu norweskiego autora p. t. „Jan Gabrjel Borkman“.

W przytoczeniu treści trzymać się nie będziemy kolei, zastosowanej w dramacie. W przeciwieństwie bowiem do zwykłych autorów dramatycznych, którzy na początku sztuki zapoznają widza z ogólną sytuacją i ożywiają ją figurami, Ibsen wkracza od razu w sam środek rzeczy, a w dalszym dopiero przebiegu dramatu daje nam potrzebne wyjaśnienia.

Bohater dramatu, Jan Gabrjel Borkman, jest doskonałym typem tak licznych w dzisiejszych czasach wszechwładnego panowania złota we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach korsarzy finansowych, którzy, aby dojść do swego celu, nie przebierają w środkach, nie krępują się żadnemi moralnemi względami. Borkman nie jest jednak zwykłym zbrodniarzem. Pragnie on zbierać za każdą cenę bogactwa, w tym jedynie celu, aby następnie przy pomocy olbrzymiego majątku nie tylko panować nad światem, ale i zmienić podstawy społeczne, „uczynić szczęśliwymi wiele, wiele tysięcy innych“. Jak wszyscy prawie bohaterowie Ibsena, tak i Borkman jest do pewnego stopnia maniakiem, opanowanym jedną ideą. Pomimo to nie jest on czystym wytworem wyobraźni poetyckiej. Cechy znamienne tego bohatera dramatu spotykamy oddane z zdumiewającą wiernością u niektórych smutnej pamięci bohaterów tak głośnych w ostatnich czasach procesów finansowych. Każdy z tych bohaterów przytaczał na swoje uniewinnienie szlachetne, idealne jakieś cele; jeden z nich powoływał się na potrzebę

wytworzenia przemysłu krajowego, drugi na uszczęśliwienie ludzkości i t. p.

Za pierwszy szczebel do swej wielkości Borkman uważa swą nominację na dyrektora banku. Ponieważ zaś nominacja ta zależy od człowieka, zakochanego na zabój w dziewczynie, z którą Borkman jest zaręczony, ten ostatni nie waha się ani chwili, zręka się na korzyść współzawodnika ręki ukochanej kobiety, żeni się z jej siostrą, poświęciwszy miłość swej ambicji. Poświęcenie to nie wyszło jednak na korzyść Borkmanowi. Owa dziewczyna pozostała wierną pierwszej swej miłości i odrzuciła względy zastępcy, który mszcząc się za zawiedzione swe nadzieje na Borkmanie, zdradza go i wydaje w ręce sprawiedliwości, gdy jako dyrektor banku roztrwoił powierzone sobie fundusze. Norweżki sąd przysięgłych, kierując się zwykłą moralnością filisterską, nie chciał, czy nie umiał ocenić należycie górnołotnych planów Borkmana i skazał go jak zwykłego zbrodniarza na pięć lat więzienia. Po odbyciu kary bohater wraca do domu, do swej żony, która przebaczyć mu nie może złamanych swych nadziei i hańby, jaką okrył nazwisko Borkmanów. Żyją więc odtąd obok siebie, lecz dalecy sobie myślą i uczuciem. Ona pociesza się nadzieją rehabilitacji swego nazwiska za pomocą syna; on, jak dziki zwierz, zamknięty w klatce, krąży od wczesnego rana do późnej nocy po swym pokoju, snując w dalszym ciągu wielkie projekty i wierząc ślepo w blizki swój powrót do bogactw i panowania. Straszliwa katastrofa nie odebrała mu nic z dawnej jego pewności i wiary w siebie. Ani na chwilę nie powstała w jego sercu myśl skruchy i wątplenia; jego, jako człowieka niezwykłego, nie obowiązują karby zwyczajnej uczciwości; jemu, jako geniuszowi, wolno było poświęcić miłość, uczciwość, honor, szczęście nie tylko własne ale i swej rodziny. Powołując się na swe prawa „nadczołowieka“, rozgrzesza on się w zupełności ze wszystkich swoich win, i nie wątpi w swą przyszłość. W ten sposób upłynęło lat osiem.

Wszystkie te wypadki rozegrały się przed rozpoczęciem sztuki. Dowiadujemy się o nich z rozmów pomiędzy pojedynczemi osobami, biorącemi udział w akcji. Właściwy dramat rozpoczyna się od rozmowy żony Borkmana z jej siostrą. Siostra ta ocaliła swój majątek z katastrofy, dała w jednym ze swych domów schronienie żonie Borkmana, a następnie i jemu samemu, po wypuszczeniu go z więzienia, niezależnie od tego, wychowywała przez lat piętnaście jego syna. Obecnie zjawia się, aby swego dorosłego już siostrzeńca wyzwolić z pod przynębiającego wpływu

matki, która pragnie zeń zrobić narzędzie rehabilitacji nazwiska, splamionego winą ojca. Pomiedzy temi dwiema kobietami, które pomimo węzłów najbliższego pokrewieństwa, rozdziela głucha nienawiść, rozpoczyna się walka o serce młodego Borkmana. Spór ten kończy się w zupełnie niespodziewany sposób. Syn Borkmana nie chce towarzyszyć swej ciotce, dotkniętej ciężką chorobą, ani żyć dalej przy boku matki i pracować nad przywróceniem nazwiska Borkmanów dawnego blasku. Pragnie on jedynie żyć, a życie to uśmiecha się mu w objęciach wielkoświatowej awanturnicy, która go też uwozi z sobą w dalekie kraje.

Tymczasem u starego Borkmana, pod wpływem długoletniego, najpierw przymusowego, a następnie dobrowolnego odosobnienia oraz bezustannych a niespełnionych marzeń, mania wielkości przeradza się w rzeczywiste obłąkanie. Po raz więc pierwszy od lat ośmiu opuszcza swe mieszkanie, aby szukać w górach urojonych swych skarbów. W tej wycieczce kładzie kres jego marzeniom i nadziejom śmierć niespodziewana, a nad jego zwłokami podają ręce do zgody dwie siostry, którym on złamał życie, a które obie kochały go tak głęboko.

Zbyt bogatą w wstrząsające momenty nie jest treść „Jana Gabrjela Borkmana”. Widocznie autorowi nie chodziło o namalowanie drgającego życiem obrazu, lecz o przedstawienie wizerunku duszy niezwykłego człowieka w rozmaitych jej przejawach. Wizerunek ten narysowany jest z olbrzymim talentem i imponującą siłą dramatyczną. Najciekawszy może wytwór współczesnej cywilizacji tak zw. nadczołowiek, stanowi nadzwyczaj ponętny przedmiot dla powieściopisarzy i autorów dramatycznych. Wielu też kusilo się o jego odtworzenie. Nikt jednak ani w części nie dorównował Ibsenowi, który w swym Borkmanie stworzył doskonały typ tak częstej w dzisiejszych czasach jednostki, pomiatającej, w przekonaniu o swej wyższości, wszelkimi względami moralności i uczciwości. Zresztą „Jan Gabrjel Borkman” jest nie tylko studjum psychologicznem, ale i psychopatycznem. Autor nie ogranicza się na samem odkryciu duszy bohatera, ale rozciąga przed naszymi oczyma cały przebieg choroby tej duszy, stopniowe zamienianie się nadczołowieka i maniaka w skończonego warjata. Jest to przebieg w swoim rodzaju niewątpliwie bardzo ciekawy, wolelibyśmy go jednak badać w szpitalu niż na scenie.

Jak inne utwory Ibsena, tak i jego „Jan Gabrjel Borkman” nie zdobył sobie na naszej scenie trwałego powodzenia. Dziwić się temu nie trudno. Znamionną cechą tych utworów stanowi niepoprawny pesymizm. Tymczasem publicz-



ność, jak słusznie zaznaczył jeden z najwybitniejszych krytyków francuskich, nie jest pesymistą. Nie rozumie ona nigdy szczególnej fantazji niektórych umysłów, które widzą w świecie jedynie zło i pragną to swoje zapatrywanie narzucić innym. Pogodzić się ona nie umie z tak przygnębiającym poglądem na życie. Przenosi najtragiczniejsze okrucieństwa wypadków nad okropności obserwacji. Nie chce wynosić z sobą z teatru wrażenia ponurego i przykrego. Wrażenie zaś rozpaczliwego zwątpienia wywołują utwory norweskiego dramaturga. Dalej pełen oryginalnych myśli i głębokich, lecz po części trudno zrozumiałych spostrzeżeń djałóg Ibsena, domaga się skupienia uwagi, na jakie nie każda zdobędzie się publiczność. Jedna chwila roztargnienia, a ginie wątek całej sceny. W takich warunkach przyglądanie się sztuce przestaje, przynajmniej dla przeciętnego widza, być rozrywką, a zamienia się w zaciąg męczący i denerwujący. Specjalnie wreszcie naszą publiczność rażą dziwaczne zwykle, a niezrozumiałe typy, jakie stawia jej przed oczy autor skandynawski. Typy tego rodzaju mogą być regułą, lub bardzo częste na mglistej północy, nas jednak odpychają swym egzotyzyzmem.

Do pewnego stopnia zapewnić by mogło Ibsenowi powodzenie i na naszej scenie wyjątkowo dobre wykonanie jego utworów. Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie. Aktorowie nasi, nawet zkadınad najzdolniejsi, nie umieją sobie radzić z temi postaciami, nie przypominającemi w niczem znanych im wzorów. Wskutek tego w ich interpretacji giną właśnie główne i najciekawsze rysy twórczości Ibsena i wytwarza się całość, w której niema ani śladu owego nastroju, będącego najważniejszym warunkiem powodzenia dramatu ibsenowskiego. Tak więc w „Janie Gabrjelu Borkmanie“, jedna tylko panna Barszczewska, dzięki specjalnej swej organizacji artystycznej, utrafiła w ton właściwy, odegrała swą rolę zgodnie z intencjami autora, reszta zaś nie odpowiadała najskromniejszym nawet wymaganiom. A jednak w skład tej reszty wchodzili artyści tej miary, co pp. Frenkiel i Ładnowski, oraz p. Lüde. Winić ich za to trudno. Zadanie nie przerastało ich sił, lecz nie zgadzało się z ich indywidualnością. W figurach tych, pochodzących z mglistej Skandynawji, nie czuli się oni, że użyjemy trywialnego porównania, w swej skórze, odtwarzając je, zadawać musieli gwałt swemu usposobieniu i temperamentowi, co z samej natury rzeczy odbiło się ujemnie na ich grze, nadając jej cechę czegoś sztucznego i wymuszonego.

*Kazimierz Puffke.*



# Zamiast Polityki.

## Francja a Niemcy.

Artykuł poniższy pisał Francuz dla nauki rodaków swoich i zatytułował: „*Jak naród zdobywca w. elkość.*”

Stosunek dwu tych narodów i ich siły, a przez to wpływów na bieg spraw światowych, posiada dużą domoskość. Jest też pouczający.

Francja i Niemcy to dwa odmienne pierwiastki, dwie dusze różne. Od tego, który z dwu narodów ma przewagę w Europie zachodniej, zależy duch czasu. Widzieliśmy to dobitnie po Sedanie w r. 1870—71: po epoce ideałów przyszło praktyczne uwielbienie siły z ks. Bismarckiem, jako wcieleniem politycznej i narodowej doskonałości. To też, aby rozumieć stan rzeczy na Zachodzie, trzeba znać stosunek zasobów dwu przodujących i rywalizujących z sobą narodów.

Artykuł ten z innego też względu interesować powinien. Na tym padole niedoskonałości tak się dzieje zawsze, że gdy człowiek czy naród jest z siebie zadowolony, uważa się za wyższego od innych, za zdolniejszego, cnotliwszego, już przez to samo pochyła się ku upadkowi.

Kłęski Francji były niewątpliwie skutkiem pewności siebie i zarozumienia, po którym przyszło, przyjsie musiało zaniedbanie. Lekceważyli Francuzi Niemców, a przez to widzieć nie mogli wzrostu współzawodnika i wynikającego stąd niebezpieczeństwa.

Cechą mądrości i warunkiem dzwignięcia się jest zdolność uznania swej winy i wyciągnięcia nauki z klęsk. Francuzi myśleli i pracowali nad odrodzeniem wewnętrznym, przyznano się nawet do grzechów, ale uznanie wyższości Niemiec długo nie chciało im przechodzić przez gardło. Duma to potęga, do pokonania trudna!

Artykuł poniższy jest jednym ze świadectw, że i tego ostatniego wysiłku Francuzi dokonac zdołali. Głośne, otwarte powiedzenie sobie: „*Niemcy są od nas wyżsi*”, świadczy lepiej, niż cokolwiekbydż innego, iż Francja zrobiła duży skok naprzód; każe się spodziewać, że Francuzi dotrzymają kroku Niemcom.

*Sila duszy jest pierwsza z potęg!*

### **Zdumiewający postęp narodu niemieckiego.**

Wielu we Francji jeszcze dziś przypuszcza, że nie istnieją inne pola bitew od tych, na których ścierają się armje. Nie ma Francuza, któryby nie wiedział, że zostaliśmy pokonani w r. 1870, iluż niema pojęcia, jak dalece jesteśmy pokonywani dzisiaj na polach bitwy przemysłowo-handlowej?

Przedewszystkiem wielu dobrowolnie zamyka oczy i za nic otworzyć ich nie chce. Inni znowu, jeszcze liczniejsi, być może — czują naszą niższość ekonomiczną, ale się pocieszają myślą, że zajmujemy wciąż wśród ludzkości miejsce przodujące na polu polityki, literatury i sztuki. Inni wreszcie wyrzekają się walki, uważając upadek, ku któremu dążymy, za wynik jakiejś fatalności historycznej, lub też nieuleczalnej choroby, a wszyscy chętnie powtarzają zwrotkę: „Nie na to poradzić nie można“.

Otóż nie, dużo jest do zrobienia i do zaradzenia. Czytelnicy nasi przekonają się o tem dowodnie, gdy im przedstawimy obraz groźnej działalności naszych sąsiadów po tamtej stronie Renu.

Wy, obojętni, którzy o sobie tylko myślicie i nie chcecie widzieć, co się dzieje za granicą, raczcie na chwilę skupić uwagę. Zastanówcie się, czy pod pozorami pokojowemi, nie jesteśmy w wojnie ustawicznej

Nikt dzisiaj nie może być na nie obojętnym, straszna walka toczy się na wszystkich morzach, we wszystkich portach, we wszystkich kantorach, we wszystkich fabrykach, we wszystkich domach handlowych świata całego. Wynikają ztąd nowe i doniosłe obowiązki dla tych wszystkich, którym leży na sercu słuzenie swemu krajowi, obowiązki podobne tym, od których żołnierz nie może się wyzwolić bez dopuszczenia się zdrady.

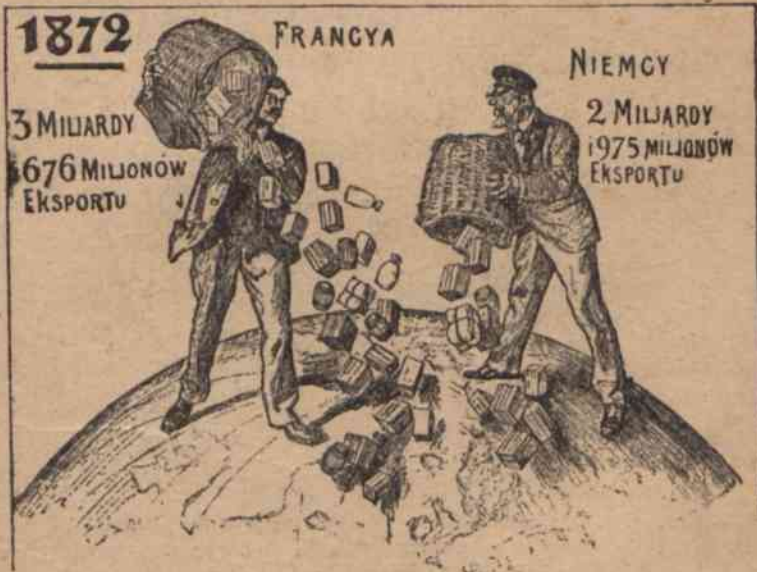
Wy, wielbiciele ducha, idealisci, esteci, którzy nie raczycie zajmować się przewrotami ekonomicznemi ludzkości, nie sądzcie, że wpływ literacki i artystyczny danego narodu trwać może z pominięciem bogactwa materialnego i rozrastania się na zewnątrz! Pomyślność ekonomiczna danego narodu nie jest zapewne miarą jego wartości, i cywilizacja zbyt utylitarna przedstawia także pewne niebezpieczeństwa, lecz, koniec końców, najszczytniejsze przymioty i zalety potrzebują punktu oparcia na ziemi. Naród, chcąc być wielki duchem, nie może się obejść bez silnego ciała, a potęgą zdobywa się nietylko orężem: istotne bitwy w tej wojnie bez zawieszenia broni, wojnie, w której wszystkie narody świata biorą się za bary, toczą się dziś wszędzie, gdziekolwiek inicjatywa, pokojowa na pozór, państw lub jednostek podnosi flagę i towary, język i ducha danego narodu.

Niechże fatalisci, niech ludzie, przy lada przeszkodzie dający za wygraną, niech tacy starają się przynajmniej nauce energii, pracy systematycznej, wytrwałości, niech nabiorą zaufania do siebie. Niech zobaczą, czego dokazali inni, nie posiadający świetnych zalet Francuzów, zamieszkali w kraju mniej bogatym i żyznym, i niech się zastanowią.

jakimi drogami należy kroczyć dla dojścia do celu. Zobaczą, że dziś mniej niż kiedykolwiek powodzenie zależnem jest od trafu, lecz że się je kupuje kosztem zasługi. Fortuna zgubiła już swoją opaskę i swoje koło; stała się osobą patrzącą trzeźwo, przenikliwą i rozsądną.

### **Zwycięstwa Niemiec w walce ekonomicznej.**

Żaden naród w Europie nie uczynił w ciągu lat 15—20 tak szybkich postępów, jak Niemcy. Niedawno jeszcze mówiono z politowaniem o „tych biednych Niemczech“, o tych Prusach, dla których „jedynym przemysłem narodowym była wojna“. Czasy się zmieniły. Niemcy pozostały niewątpliwie wielkiem mocarstwem militarnem, lecz stają się także pierwszorzędnem mocarstwem przemysłowem. Ich zwycię-



Towary, wywiezione przez Francuzów i Niemców w r. 1872.

stwa ekonomiczne zaczynają być nawet pod wielu względami daleko donioślejszemi od tryumfów oręża. Niemcy dążą do wypierania narodów współzawodniczących ze stanowisk, na których tamte trzymały się mocno od wiek wieków, dążą do podboju na drodze pokojowej rynków świata całego dla różnorodnych wyrobów swego przemysłu... Poznać to należy, jeśli się chce zrozumieć obecne zmiany w równowadze europejskiej, a właściwie mówiąc, w równowadze wszechświa-



towej. Kilka wiadomości wykaże siłę tego potężnego prądu.

W r. 1872, zaraz po wojnie, Francja znajdowała się jeszcze w lepszym położeniu od swoich zwycięzców. Ogólny obrót handlu francuzkiego z zagranicą i z kolonjami wynosił wówczas  $7\frac{1}{2}$  miliardów franków; Niemcy przeciwstawili temu zaledwie sumę 5 miliardów 960 milionów marek \*). Dopiero w r. 1877 wyprzedziły Francję i odąd postępowaly naprzód krokami olbrzyma: teraz mają nad Francją przewagę przeszło  $3\frac{1}{2}$  miliardów! Wszystkie niemal gałęzie przemysłu,



Wywóz towarów przez Francję i Niemcy w r. 1898.

z wyjątkiem przemysłu tkackiego, rozwijają się nadzwyczaj pomyślnie. Produkcja węgla w ostatnim dziesięcioleciu zwiększyła się o  $\frac{1}{3}$  pod względem ilości i prawie o  $\frac{1}{2}$  pod względem jakości. Produkcja rudy żelaznej, w r. 1870 wynosząca zaledwie 3,839,000 ton\*\*), wartości 25,113,000 mar., dziś przewyższa 15 milionów ton, wartości około 60 milionów marek.

Od lat piętnastu wywóz maszyn niemieckich podwoił się. Zwłaszcza przemysł elektryczny jest na drodze zdobycia na rynkach wszechświatowych pierwszorzędnego miejsca.

\*) Różnica między frankiem a marką jest niewielka; marka =  $1\frac{1}{4}$  franka.

\*\*) Ton, tonna, beczka morska = 2505 funtów.



Fabryki przetworów chemicznych zrobiły od lat kilku tak znaczne postępy, że dziś już Niemcy wywożą rocznie za 300 przeszło milionów marek farby anilinowej. Zbytecznym dodawać, że większość towarzystw przemysłowych jest w stanie kwitnym: od lat dziesięciu liczba towarzystw akcyjnych wzrosła z 825 (z kapitałem 403 milionów marek) do 4200 z kapitałem przeszło 8 miliardów; udzielają one swym akcjonariuszom dywidendy po 10—12—15—a nawet 18 proc. W fabrykach farb anilinowych owa dywidenda dochodzi do 23 procent.

### ***Nadzwyczajny rozwój marynarki handlowej w Niemczech.***

Rozwój handlowy znaczniejszy jest jeszcze od rozwoju przemyślowego; zdumiewająco zwłaszcza wzrósł handel morski. Stanowi on dziś przeszło połowę handlu zewnętrznego Niemiec. „Nasza przyszłość jest na wodzie“ — mówił przed paru miesiącami cesarz Wilhelm, odśaniając nowy port wolny w Szczecinie.

Już dziś siła przewozowa parowców niemieckich przewyższa taką siłę francuzkich parowców o 30 procent. Francja zajmuje w marynarce wszechświatowej piąte miejsce zaledwie. Od r. 1893 do 1898 imatrykulowano w Niemczech 88,000 ton (w tem 715,000 dla nowych okrętów), podczas gdy imatrykulacje we Francji w tym samym okresie wykazały zaledwie 253,000 ton.

Dwie kompanje niemieckie „Hamburg-Amerika“ i „Norddeutscher Lloyd“ są dziś dwoma przodującymi towarzystwami żeglugi wszechświatowej. Pierwsza, licząca 75 wielkich okrętów, odbyła w roku zeszłym 365 podróży. Przewiozła z górą 75,000 pasażerów i 2½ miliony metrów sześciennych towaru.

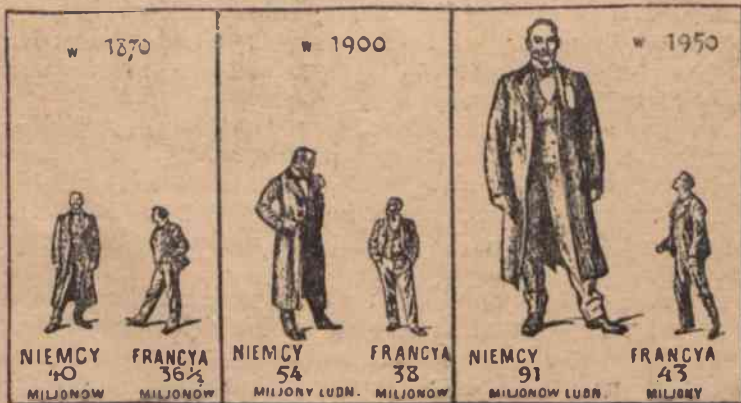
Komunikacja z dalekim Wschodem, zaprowadzona dopiero w roku 1887, została niedawno powiększona w dwójnasób. „Deutsche Lewante-Linie“, przed laty dziesięciu licząca zaledwie cztery okręty, ma ich dziś ośmnaście. Warsztaty okrętowe podwajają swą działalność.

Zachęcony powodzeniem okrętu „Kaiser Wilhelm der Grosse“, który niedawno przepłynął Atlantyk w ciągu 5 dni, 22 godzin i 35 minut, warsztat okrętowy „Wulkan“, w pobliżu Szczecina, zbudował świeżo parowiec „Deutschland“, który ma 685 stóp długości i dwie maszyny o sile ogólnej 23,000 koni parowych; przewozi 23,000 ton i może płynąć z szybkością 23 węzłów na godzinę. Zdolność wytwórcza Niemiec, oraz ich rozwój handlowy wzrastają tak szybko, że

wedle orzeczenia najlepiej poinformowanych francuzkich konsulów, mogłyby za lat trzy osiągnąć tej samej cyfry obrotów, co Anglja.

### **Przyrost ludności — pierwsze źródło pomyślnego rozwoju.**

Jakież są zatem przyczyny tej niebywałej pomyślności? Przyczyny jej są zapewne bardzo liczne, ale w pierwszym rzędzie należy postawić przyrost ludności. W r. 1840 Francja liczyła więcej mieszkańców niż ogół państw, stanowiących dzisiejsze cesarstwo niemieckie. Dziś zaś ludność Niemiec wynosi 54 miliony mieszkańców, zaś Francja nie doszła nawet do 39 milionów; średni przyrost w ostatnim dziesięcioleciu wyniósł we Francji zaledwie 29,000 ludzi; zaś w Niemczech doszedł do 700,000 ludzi, po odliczeniu emigrantów. Już dziś ludność Francji do ludności Niemiec tak się ma jak 1 do 1,35, czyli na 100 Francuzów przypada 135 Niemców. Jeśli stosunek narodzin i śmierci pozostanie niezmiennym, to za lat 100, będzie 256 Niemców na 100 Francuzów. Taki silny przyrost zmusza Niemców do wychodźstwa.



Porównawczy wzrost ludności we Francji i w Niemczech w latach 1870 i 1900, a także w r. 1950, jeśli wzrost liczby obu narodów będzie dalej taki, jak dziś.

Obecny rozwój handlowy zawdzięczają Niemcy po części falam swoich emigrantów, pozbawianych środków do życia, którzy się rozleli po świecie całym i dzięki niestrudzonemu uporowi, zdolali wcisnąć się do urzędów administracyjnych, do hotelów, do fabryk, do firm handlowych, pracując dzielnie i wytrwale i przyczyniając się skutecznie

do rozwoju handlu swej ojczyzny. Niemcy, osiedleni po za morzami, zaopatrują się w znacznej mierze w produkty narodowego przemysłu i krzewią dokoła upodobanie do wyrobów niemieckich.

Swoją pomyślność ekonomiczną zawdzięczają Niemcy znakomitemu poczuciu systematyczności i dyscypliny, nie mniej pożytecznej w sprawach przemysłowych, jak i na gruncie wojskowości. Nie można dość wysławiać dbałości, z jaką Niemcy śledzą upodobania, obyczaje, przewroty eko-



1.250 000 EMIGRANTÓW NIEMIECKICH.

250 000 EMIGRANTÓW FRANCUZKICH

Niemcy emigrują tłumnie wskutek wielkiego przyrostu ludności i zalewają świat cały. Wychodzą rzemieślnicy, rolnicy, kupcy, opanowują handele, hotele, zakładają domy pośrednictwa, fabryki i t. d. Z Francji emigruje ludzi niewiele, przeważnie ze sfer zamożniejszych, szukając przedewszystkiem wygodnych posad.

nomiczne obcych narodów. Starają się stosować do życzeń tych wszystkich, z którymi chcą zawierać interesy i nie pragną bynajmniej narzucać im swoich upodobań. Ktokolwiek zwiedzał jaką fabrykę płócien lub perkalów, musiał być zdziwiony rozmaitością nagromadzonych wzorów. Tu cały szereg odcieni i rysunków do użytku Japonji; tam inny wzór specjalny dla Brazyliji; dalej uwzględnione są gusta Wenezueli, Meksyku, Stanów Zjednoczonych, albowiem Niemiec w żadnej swej robocie nie pozostawia nic trafowi. Pojmuje on, że w okresie, w którym, nagabywany zewsząd nabywca daje pierwszeństwo zazwyczaj temu, który przedstawia swój towar z największą natarczywością, przedewszystkiem trzeba dać się poznać.



### **Siła narodu, czerpana ze szkoły.**

Dbając o swoją przewagę przemysłową i handlową, Niemcy postarały się zorganizować naukę w sposób, sprzyjający temu celowi. Niemiec przy swojej systematyczności uczyć się lubi. Od lat 15—20 powiększyła się liczba szkół przemysłowych z jednej, zaś handlowych z drugiej strony. Szkoły przemysłowe są trzech typów: tak zwane *Technische Hochschulen* czyli politechniki, właściwe *Industrieschulen* i szkoły zawodowe *Fachschulen*.

Wyższe szkoły techniczne (politechniki) w liczbie dziesięciu kształcą inżynierów, budowniczych, mechaników wszelkich specjalności. Liczba ogólna uczniów, wynosząca przed laty dziesięciu 2,500 zaledwie, dziś dochodzi do 12,000, a liczba profesorów podwoiła się. Z tych zakładów wychodzą setkami młodzieńcy, niekiedy wcale nieświetni napozór, lecz dobrze przygotowani do obowiązków, które mają spełniać w przyszłości, zdolni budować i organizować, kierować nawet poważnie i naukowo największe fabryki, bądź w Niemczech, bądź zagranicą.

Szkół przemysłowych niższych istnieje tam i zakłada się bez liku.

„Wielkiemu rozpowszechnieniu wiedzy technicznej—pisał niegdyś nasz konsul generalny w Lipsku—zawdzięczać należy tak ogólne w Niemczech użycie maszyn i dbałość o ciągłe udoskonalenia w materjale fabrykacji... Znaczna liczba inżynierów, wychodzących rok rocznie ze szkół niemieckich, sprawia, że główne firmy mają ich niekiedy po jednym lub dwóch, dla studjowania, a czasem i odkrywania nowych sposobów fabrykacji“.

Wykształcenie zawodowe uczyniło także wielkie postępy w ostatnich latach. Wszystkie rządy państw Rzeszy rozumieją jego doniosłość. I tak naprzykład wielki rozwój przemysłu elektrycznego i chemicznego należy po części zawdzięczać doskonałym robotnikom, wykształconym w szkołach zawodowych, jak to słusznie powiada p. Pyfferoen, profesor belgijski, któremu powierzono niedawno urzędową ankietę w tym przedmiocie: „Jeśli Niemcy zwyciężają na polu handlowem, to szkoły zawodowe są koszarami, w których ćwiczą się żołnierze, sprawcy tych zwycięstw“.

Rozwój wykształcenia handlowego kroczy równomiernie z rozwojem wykształcenia przemysłowego. Francja ma zaledwie jedenaście wyższych szkół handlowych i ze trzynaście szkół średnich, z ogółem 3,000 uczniów. W Niemczech jest dziś 365 szkół handlowych, z ludnością szkolną przeszło 31,000 uczniów, nie licząc 112 sekcji handlowych,



włączonych w wielu miejscowościach do *Realgimnasien* i *Realschulen*. Zestawcie cyfry. Porównajcie. Porównanie jest przerażające.

Seminarjum języków wschodnich, założone w r. 1887 i przyłączone do uniwersytetu berlińskiego, sprzyja też bardzo rozpowszechnieniu języka niemieckiego na Wschodzie. Jest też mowa o założeniu dwu szkół kolonialnych, które mają uformować—nie administratorów lub urzędników, ale kolonistów, ofcjalistów, dyrektorów i kontrmajstrów do eksploatacji rolnej.

Niemiec dawniej uchodził za człowieka, pozbawionego inicjatywy i pomysłów. Pomysły przychodzą mu powoli, stopniowo, dzięki naukom, otwierającym mu głowę, dzięki temu trenowaniu, któremu zresztą poddaje się dobrowolnie.

Rozumie się także, iż ugruntowanie studjów naukowych nie polega na przeładowywaniu naukami programów szkolnych, lecz raczej na uczynieniu *naukowemi* umysłów, to jest na wszczępieniu w nich „onej dbałości równomierniej o teorię i praktykę, dbałości, którą przemysł niemiecki jest tak bardzo przejęty i która stanowi tajemnicę jego siły”.

Czując, że znaczenie wiedzy w przemyśle z dniem każdym wzrasta, Niemcy powiedzieli sobie, że zwycięstwo na polu ekonomicznem winno, koniec końców, przypaść w udziale temu, kto zdobędzie najlepsze narzędzia i pozyska najbardziej udoskonalone sposoby fabrykacji.

Wykształcenie techniczne uzupełniają oni wykształceniem praktycznem, które się zdobywa przez podróże. Podróżują dziś dużo nawet ludzie średniej zamożności, podróżują oszczędnie, ale dla pouczenia się badają systematycznie kraje zwiedzane i niewątpliwie z podróży swych osiągają większy pożytek od większości podróżujących Francuzów.

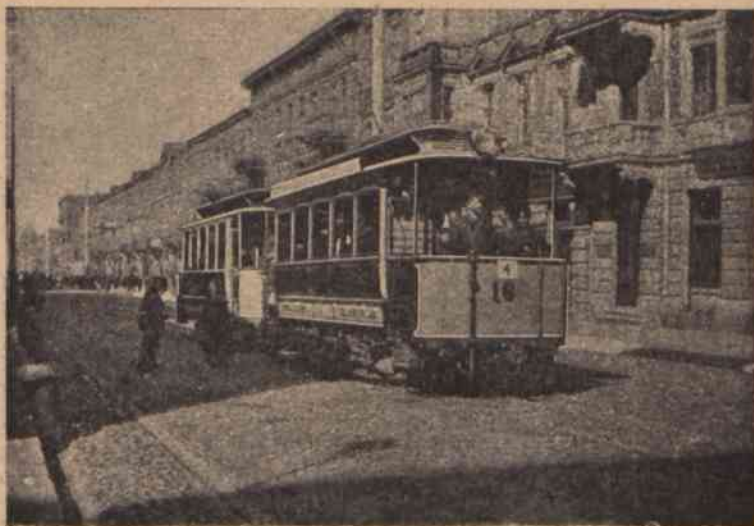
A przytem — powiedzmy to szczerze i głośno—młodzi Niemcy są daleko lepiej od naszych młodych Francuzów wychowani do pracy, do życia czynnego, do ciągłych, nieustannych trudów i wysiłków; rodzice dbają bardziej o uzbrojenie ich do walki o byt, niż o uchronienie od trudu. Starają się daleko mniej dla nich oszczędzać niż we Francji, nie dają do ułatwienia im życia, do usłania wygodnego gniazdka. Nie robią z nich zasobnych kapitalistów, lecz starają się uczynić z nich ludzi, którzyby umieli sami zabiegać o swoje utrzymanie. Dlatego to tysiące młodych ludzi, synów niekiedy bogatych kupców, opuszcza co roku kraj rodzinny, aby przez pewien czas obznajmiać się z interesami, z fabrykami, rozsianymi po całym świecie. Wyruszają często, jako ochotnicy, bezpłatnie, na czas krótszy lub dłuższy, a za lat kilka powracają do kraju ze znajomością języków obcych, ze znajomością nowych systemów prowadzenia interesów, często i z ważnemi tajemnicami technicznemi.

## **Rozwój przemysłu i handlu jest zadaniem państwowym.**

To też słusznie powiadają, że pomijając zbyt małą liczbę narodzin, która jest przyczyną główną naszej stagnacji, przyczynami drugorzędniemi, utrudniającemi nam walkę z sąsiednimi narodami, jest panosząca się wśród nas ociążałość, nieuctwo, z którego nie staramy się otrząsnąć, obojętność tyłu Francuzów na sprawy, mające jednak pierwszorzędną doniosłość dla wielkości ojczyzny. Czy nie należy postawić w rzędzie tych przyczyn: braku systematyczności i poczucia naukowego u większości tych, którzy się owemi sprawami zajmują?

Dziś jeszcze, mimo alarmu, podniesionego przez ludzi przezornych, czyż wielu Francuzów rozumie, że życie ekonomiczne idzie u nas wolniejszym tempem, dlatego, żeśmy nie potrafili zastosować się rozsądnie do nowych prądów cywilizacyjnych, unoszących świat cały? Nasze dyskusje polityczne i nasze nędzne współzawodnictwa przyczyniły się do zacieśnienia pojęć, do spaczenia sądów, zastąpiły nam wyższe interesy kraju. Niemcy ciągną korzyści nie tylko ze swoich zalet przyrodzonych, ale także z naszej opieszałości, z naszych wewnętrznych niesnasek, z naszego nieuctwa. Rozpoczynający się okres wyznaczy na długo, a może i na zawsze, stanowiska odnośnie różnych narodów w świecie. Nadeszła więc chwila działania. Pracujmy, aby sobie utworzyć miejsce należne. Zrozumiemy, jak ważną rzeczą jest sposobności nie omijać. Albowiem nieprawda, że już jest zapóźno, ale prawda, że niema już ani chwili do stracenia. Nieprawda, że już nie pozostało nic do zrobienia, ale prawda, że winniśmy rozwinąć naszą energję. Posiadamy pierwszorzędne zalety umysłowe, tak, jak nasz kraj posiada niezrównane zasoby. Umiejmy z nich skorzystać. Skoro opinja publiczna jest we Francji wszechwładną, niechże użyje tej potęgi dla dobra kraju. Niech żąda odpowiedniejszego wykształcenia! Niech popiera poloty naszej młodzieży! Przyszłość Francji będzie taką, jaką ją uczynimy. Nie potrzebujemy się niczego obawiać, ani liczyć na traf szczęśliwy. Powinniśmy pracować systematycznie, odważnie wykazywać siłę woli.

Czas już zrozumieć, że rozwój przemysłowy i handlowy jest zadaniem państwowym, tak, jak świętem zadaniem jest obrona ziemi rodzinnej w chwili grożącego jej niebezpieczeństwa. W czasie pokojowym obowiązują powinności obywatelskie. Winni je spełniać ci wszyscy, którzy nie chcą być pomówieni o tchórzostwo i o zdradę.



Tramwaje elektryczne.

## Łódź.

Na pograniczu Mazowsza, nad dwiema strugami Łódką i Jesienią, rozsiadło się wielkie, fabryczne miasto—Łódź. Przed 80-u laty nikt prawie o istnieniu tej, wówczas nędznej miejsciny, nie wiedział. Przypadkowo też zupełnie nosiła ona miano miasta, liczyła bowiem zaledwie 112 domów, a w nich 800 mieszkańców.

Zdawało by się na pozór rzeczą nieprawdopodobną, aby osada, nie mająca żadnych warunków rozwoju, mogła się, w krótkim stosunkowo czasie, przekształcić na tak potężne ognisko życia przemysłowego. Ani położenie geograficzne, ani bliskość spławnej rzeki, ani sąsiednie bogactwa kopalniane, ani urodzajność okolicznej gleby—nic tu nie przyszło z pomocą, bo tego wszystkiego nie było. Łódź zawdzięcza swój rozwój i bogactwo rozporządzeniom rządowym, które osiedlających się w pewnych punktach Królestwa Polskiego zagranicznych poddanych, przemysłowców, otoczyły specjalną opieką, oraz wyposażyły w wyjątkowe prawa i przywileje. Pierwszorzędną też rolę w danym wypadku odegrały pracowitość, oszczędność i zapobiegliwość owych przybyszów.



Pomimo to wszystko Łódź nie jest wcale miastem tak młodem, za jakie bywa powszechnie poczytywana.

Kroniki wspominają o Łodzi już za panowania Władysława Łokietka. Była to wówczas wioska, stanowiąca własność biskupów kujawskich, która przez nich w początkach XV-go wieku przekształconą została na miasto. Jednakże w ciągu całych stuleci, jakby przez ironję, do godności miasta powołana, nie rozwijała się zupełnie i niczem na kartach historii istnienia swego zaznaczyć nie zdołała.

W roku 1793 ta część kraju, w której obecnie znajduje się powiat łódzki, przeszła w posiadanie Prus. Rząd pruski powziął projekt odjęcia Łodzi tytułu miasta, gdyż liczyła tylko 44 domy, zajęte przez 190 mieszkańców. Niebawem jednakże Prusy utraciły wspomniane terytorjum, czemu też Łódź zawdzięcza utrzymanie się na stanowisku miasta.

Historja Łodzi, jak twierdzi dr. Janzuł w swojej broszurze „Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem“, to historia całego przemysłu polskiego.

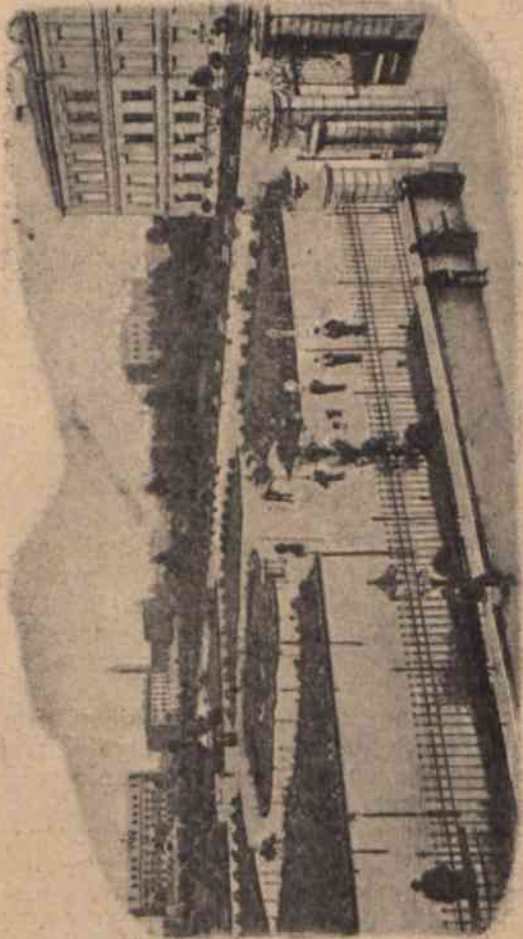
Przemysł łódzki powołany zostaje do życia dopiero od r. 1820. Przystępując do pobieżnego scharakteryzowania jego historii, chcielibyśmy wyjaśnić, dla czego powyższe zapatrywanie dra Janzuła uważamy za zupełnie zgodne z rzeczywistością. W tym celu zwrócimy się w paru słowach do odleglejszej nieco przeszłości.

W dawnej Polsce przemysł, powiedzieć można, nie istniał. Wprawdzie niektórzy historycy wspominają, że około XIV-go wieku znajdowały się w różnych częściach państwa Polskiego zakłady przemysłowe, trudniące się przeważnie wyrobem sukna, jest rzeczą jednakże pewną, że był to przemysł nierozwinięty, mający wszelkie formy wytwórczości, zwanej dziś drobnym przemysłem. Po wojnach szwedzkich, które doprowadziły miasta do zupełnej prawie ruiny, i ten drobnny przemysł ustaje. Odtąd, przez dwa z górą wieki, żadnych śladów rozwoju przemysłowego w Polsce nie spotykamy. W ostatnich dopiero latach panowania Stanisława Augusta powstaje rodzaj instytucji państwowej: „Kompanja wyrobów wełnianych“, mająca za zadanie popieranie przemysłu.

Równocześnie niektórzy magnaci zakładają fabryki luster, porcelany, dywanów, szkiele kolorowych, muślinów, chustek indyjskich i t. p. Jak widzimy, są to przedmioty zbytku, dostępne tylko dla bogatych jednostek. Ogół zaś i państwo wszystkie swoje potrzeby zaspakaja wyrobami, sprowadzanemi z zagranicy. Okres ten działalności przemysłowej, wywołany modą, istniejącą podówczas we Francji, raczej za rodzaj zabawki, niż za poważną pracę przemysłową



uważać należy. To też wszystkie wspomniane zakłady przemysłowe, powołane do życia magnacką fantazją, nie zaś rzeczywistymi potrzebami kraju, niebawem istnieć przestają. Nie można jednakże powiedzieć, aby te zabawki prze-



Park miejski.

mysłowe nie wywarły pewnych dodatnich skutków. W Polsce nie miano podówczas prawie pojęcia, że można się wogóle zajmować przemysłem. Pierwsze próby, choć niefortunne, przekonały, że fabryki zakładać i prowadzić można z wielką dla kraju korzyścią. Należy tylko z większą oglę-

dnoscia wybierać przedmioty fabrykacji, i staranniej prowadzić samo przedsiębiorstwo. Wielu też ludzi dobrej woli zaczęło poważnie nad tym przedmiotem rozmyślać. Niestety, okoliczności nie sprzyjały im.

Okres czasu od r. 1793 do 1807, ze względu na wypadki polityczne, nienadaje się zupełnie do rozwoju ruchu przemysłowego, lub wogóle jakiegokolwiek bądź gospodarczo-ekonomicznej pracy. Dopiero władze Księstwa Warszawskiego w dwa niespełna lata po utworzeniu tego krótkotrwałego państewka, mianowicie w r. 1809 zaczynają zwracać bacniejszą uwagę na stworzenie w kraju ruchu przemysłowego. Zarządzona zostaje rewizja taryfy celnej, co pociąga za sobą zupełne zniesienie ceł wywozowych, a natomiast wprowadzenie łagodnej, protekcyjnej taryfy, która niewielkie stosunkowo cło nakłada na produkty, jakie wówczas w kraju nie mogły być wyrabiane. Produkty zaś, dostarczane przez wytwórców miejscowych, według pomienionej taryfy, winny były opłacać cła stosunkowo wysokie. Dalej rząd Księstwa Warszawskiego stara się wszelkimi siłami ściągnąć zagranicznych rękodzielników i przemysłowców, zapewnijając im znaczne ulgi i przywileje. Zamierzone jednakże reformy nie mogły żadnych prawie wydać rezultatów, z powodu wypadków politycznych, przecinających istnienie Księstwa Warszawskiego.

Kongres Wiedeński w r. 1815 stwarza Królestwo Polskie. Na czele władz autonomicznych staje wielu ludzi światłych i energicznych, którzy, podobnie jak kierownicy rządu Księstwa Warszawskiego, rozumieją doskonale, że dla ekonomicznego podniesienia kraju trzeba mu koniecznie dać przemysł.

Prawie też równocześnie z powstaniem Królestwa, bo już w r. 1816, rozpoczyna się okres całego szeregu reform i rozporządzeń, mających na celu stworzenie polskiego przemysłu i opiekę nad nim.

W tym też dopiero czasie, powiedziec można, rodzi się w Królestwie przemysł i nabierając coraz więcej sił żywotnych, udoskonalając się i postępując bez przerwy, z małemi tylko wahaniem, dochodzi do obecnej swej potęgi. Szczęśliwa przemysłowa gwiazda wschodzi przedewszystkiem nad Łodzią i jej okolicami. Rozporządzenia, dotyczące przemysłu, następują szybko jedno po drugim w latach 1816, 1820, 1822, 1823 i 1824, stosując się głównie do cudzoziemców. Streszczają się one mniej więcej w następujący sposób: „Niemcy fabrykanci i rzemieślnicy, życzący pracą swoją i umiejętność przenieść do Królestwa Polskiego, otrzymywali, je-

żeli o to prosili, pieniądze na przesiedlenie; po przybyciu na miejsce i załatwieniu pewnych formalności, w tym punkcie, gdzie się osiedlić pragnęli, wybierali miejsce (bezpłatnie), otrzymywali darmo drzewo budulcowe i za bardzo niską cenę cegłę; na zawsze byli zwolnieni od służby wojskowej i na dłuższy lub krótszy czas od obowiązku kwaterunkowego i wszelkich innych podatków; niektórzy w dodatku otrzymywali zapomogi na pierwsze potrzeby, słowem mieli tylko pracować i zbierać owoce swojej pracy. Cudzoziemcy—oddać im trzeba tę sprawiedliwość — tak też postępowali, i w ciągu kilku lat wiele mało zaludnionych i zapadłych zakątków Królestwa ożywiło się tak, że poznać je było trudno. W tym czasie przybyło do Królestwa Polskiego z górą 10,000 rodzin rzemieślników — cudzoziemców\*).

Taki był początek przemysłu Łodzi, Zgierza, Pabianic, Zduńskiej Woli, Ozorkowa, Tomaszowa i innych osad tego rodzaju. W tym też mniej więcej czasie Łódź przestaje należeć do biskupów Kujawskich i przechodzi na własność rządu. Opisany okres

to dopiero zarodek przemysłu łódzkiego i samej Łodzi, jako miasta fabrycznego. Łódź jest ciągle jeszcze małą osadą, a jej mieszkańcy rękodzielnikami; o fabrykach, w właściwym tego słowa znaczeniu, nie ma jeszcze mowy.

Rozwój Łodzi, a zarazem jej przemysłu, podobnie jak wogóle rozwój przemysłu w Królestwie Polskiem, da się podzielić na trzy zasadnicze okresy: 1) Przygotowawczy, czyli okres



*Róg ulicy Piotrkowskiej i Pasażu Meyera.*

\*) Dr Janzull „Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem“.



wytwórczości rękodzielniczej od r. 1807 (pokój w Tylży utworzenie Księstwa Warszawskiego), mniej więcej do 1850—55 (otwarcie kolei Wiedeńskiej 1848, zniesienie granicy celnej z Cesarstwem 1850 r., wprowadzenie pierwszych maszyn parowych i t. p.), 2) okres przejściowy od rękodzielnictwa do wielkiej produkcji. Ciągnie się on mniej więcej do lat 1870—77, gdy szerszy rozwój komunikacji kolejowych, oraz państwowa polityka celna powodują ostateczne skrytowanie się przemysłu wielkiego, i szeroki i szybki jego rozwój w okresie trzecim i 3) właściwej wielkiej produkcji kapitalistycznej. \*)

Pomijając początek pierwszego okresu, nie przedstawiający nic prawie bardziej zasługującego na uwagę, przejdźmy od razu do r. 1840, na który przypada może najświetniejszy moment w rozwoju przemysłu łódzkiego. Wyroby bowiem jej fabryk pojawiają się wówczas na wszystkich rynkach Królestwa Polskiego i znajdują nawet zbyt zagranicą, pomimo, że w roku pomienionym panuje zastój w handlu, że ceny na wyroby fabryczne są niskie i że wielu kupców ucieka się do podstępnych bankructw. Widocznie przemysł łódzki głębokie już zapuścił korzenie, jeżeli wszystkie te niesprzyjające okoliczności wywierają nader nieznaczny wpływ. W tej epoce najwięcej zwraca na siebie uwagę przędzalnia Ludwika Geyera, która posiada już lokomobilę o sile 60 koni parowych.

Ogólne jednakże przesilenie w handlu i przemyśle zupełnie bezkarnie dla Łodzi przejść nie mogło. Łódzkie fabryki muszą w tej epoce również nieco ograniczyć swoją wytwórczość, a niektóre nawet ją zawiesić. Jedną z przyczyn tego przesilenia było rozwinięte do niemożliwych rozmiarów przemysłnictwo. Zagraniczne towary, nieopłacające cła, musiały być od łódzkich tańsze. Fabrykanci łódzcy, nie mając żadnych środków przeciwdziałania przemysłnictwu, walczyć poczęli jakością swoich wyrobów, które też w prędkim stosunkowo czasie bardzo udoskonalili, i mogli już skutecznie z wyrobami zagranicznymi współzawodniczyć. Na tem polu przodowały założone w r. 1846 przędzalnie Samuela Landę, Burzliwy rok 1848 nie powstrzymał bynajmniej rozwoju łódzkiego przemysłu. Przeciwnie, przyczynił się nawet do jego wzrostu. Wzmocnione bowiem strażni na granicach państwa poskromiły w znacznej mierze kontrabandę. W r. 1851 ilość robotników w Łodzi tak wzrasta, że władze uważają już za stosowne zaopiekowanie się ich dolą i rze-

\*) Stanisław Koszutski „Gazeta Handlowa“



czywiście założoną zostaje pierwsza kasa oszczędności dla robotników. W r. 1852 wartość wyrobów fabryk łódzkich dochodzi do poważnej cyfry rs. 175,000. Między fabrykantami zaś odznaczają się w tym czasie Geyer, Gromann, Moes, Freimund i Müller. Przędzalnia Ludwika Gejera, założona w r. 1832, w r. 1852 zatrudniała 520 robotników, 85 podmajstrzych, 14 majstrów i 30 uczniów. Trzy wielkie lokomobile wprowadzały w ruch maszyny. Wartość maszyn wynosiła przeszło 400 tysięcy rubli.

Wypadki polityczne lat 1863 i 64 również nie wstrzymały przemysłowego rozwoju Łodzi. Uwłaszczenie zaś wło-



*Róg ulicy Spacerowej (Promenady) i św. Andrzeja.*

ścian, które wtedy nastąpiło, bardzo dodatnio na przemysł łódzki wpłynęło, poprawiając bowiem byt materialny ludności włościańskiej powiększyło ilość odbiorców na wyroby fabryczne. Zastój w przemyśle niemieckim, wywołany wojną francusko - pruską, nader dodatnio oddziaływa na rozwój fabryk łódzkich i stwarza nową gałąź wytwórczości. W tym czasie powstaje cały szereg fabryk wyrobów jedwabnych i pół jedwabnych. W r. 1895 ilość fabryk i zakładów przemysłowych w Łodzi dochodzi do cyfry 417, wyroby tych fabryk przedstawiają wartość przeszło 70 milionów rubli, ilość pracujących robotników wynosi około 45,000. W ro-

ku tym zamknięto tylko 6 fabryk, otworzono zaś nowych 43.

W miarę rozwoju przemysłu wzrastała też bardzo szybko ilość mieszkańców w Łodzi. W r. 1793 liczy Łódź zaledwie 200 dusz w 1820—800. Rok 1827, kiedy już zaczyna się budzić działalność przemysłowa, wykazuje w Łodzi 2,800 mieszkańców. Liczba ich w r. 1833 podnosi się do 5,700, w 1837 do 10,000. W r. 1840 cyfra ta się podwaja, w r. 1860 mamy już w Łodzi 32,000 ludności. Wielki fabryczny przemysł, zapoczątkowany w Łodzi w 7 dziesiątku bieżącego stulecia, podnosi ilość mieszkańców do 100,000. W r. 1893 Łódź liczy 150,000. Spis jednodniowy w styczniu 1897 roku znalazł w Łodzi 315,209 dusz.

W tym samym, a może w większym jeszcze stopniu, wzrastała zamożność Łodzi, dziś jest ona bowiem miastem bardzo bogatym, które niebawem może stanąć z Warszawą do współzawodnictwa i w niejednym ją zwyciężyć.

W ogniskach bogactwa zazwyczaj przychodzi kiedyś i okres życia umysłowego, zakwita literatura, znajdują przytułek sztuki piękne. Tymczasem jednak tego wszystkiego w Łodzi jeszcze niema. Daremnie też trudziłby się ten, ktoby chciał odszukać tu jakieś poważniejsze dążności, do czegoś innego niż do zdobywania pieniędzy, zmierzające. Łódź robi wrażenie, jak gdyby wszyscy mieszkańcy przybyli do niej tylko na czas krótki, dla zdobycia pewnej ilości rubli i po za tym celem, na wszystko inne byli zupełnie obojętni. Historia Łodzi nie wykazuje ani jednego nazwiska, które by czemkolwiek się odznaczyło, co nie jest w bezpośrednim związku z wzmoczeniem własnej fortuny.

Trudno jednakże przypuścić, aby stan taki mógł trwać ciągle. Miejmy nadzieję, że uspięne siły wnet się rozbudzą i działalność swą zamanifestują. Oby siły te nie chciały się wówczas rozpraszać, oby do bezprodukcyjnego współzawodnictwa ze swą starszą siostrzycą, Warszawą, nie stanęły, lecz oby idąc razem i wzajemnie się uzupełniając, pracowały na ogólny dla kraju pożytek.

*Esteb.*

# W OJCÓW ŚLADY...

POWIEŚĆ

przez Kazimierza Laskowskiego.

*(Ciąg dalszy).*

Biały, gorzki dym, warcząc w snopach zboża i warstwach paszy, strzelił słupem i przysłonił strugę płomieni.

Na drodze, gdzie przy sprzętach siedziały lamentujące dzieci, zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Działwa zaczęła piszczeć trwoźnie. Pani Głębocka z Bronią i panią Pitzburg, która ujrzawszy pożar, również zawróciła z drogi, zaczęły odprowadzać małeństwa w dalsze miejsca, gładząc je po rozczochranych główkach i uspokajając. Nie było to łatwym, bo przestraszone dzieciaki czepiały się gratów i prawie siłą trzeba je było odciągać. A z mężczyzn przy paniach nie było nikogo, gdyż wszyscy, nie wyłączając kanonika, znajdowali się w środowisku ognia. Ksiądz Rzut z Wilkoszem, chwyciwszy za wiadra, podawali wodę siedzącym na dachach, stary Głębocki zasapany biegał od zgliszcza do zgliszcza, zachęcał, prosił, sam kierując dostawioną z gminy sikawką. Kanonik ze słowami: „Bóg pocieszy! Bóg pocieszy!“ zęgnął Krzyżem Świętym wijące się płomienie.

Wiatr znowu zmienił kierunek, cofnął się i z zdwojoną

wściekłością rzucił się na objęte poprzednio pożogą chaty. Ale ratunek był już owocniejszy. Chłopi szli w ogień. Nadto Tadeusz obsadził dworskimi zdrowe jeszcze budynki. Parobcy, siedząc na dachach, chlustali podawaną w wiadrach wodą, dusili padające żużle i popieliszcza. Dym nad zgliszczami rzedł w miarę, jak ogień, pożarłszy słomiane strzechy, ścian i zrębów się chwycił.

Mimo to wiatr gnał żagwiami bez ustanku, zamiatając płomienną różgę naokół.

Właśnie Tadeusz, zauważywszy, że rozgrzane powietrze przenosi skry na dalekie przestrzenie, rozkazał kilku chłopom zasypywać ziemią dopalające się zgliszcza, gdy o kilkanaście staj, w pośrodku całych jeszcze zabudowań zahuczało i piana dymu wytrysła nad jedną z dalszych chałup.

— Berek się pali!—wrzasnęli chłopci.

Młody Głębocki skoczył na drogę. Jednocześnie z tłumu wynurzył się łzawy, przejmujący do szpiku jęk:

— Mamele! mamele! aj waj mir!

I młody żyd w zlanym wodą, osypanym popiołem chałacie popędził wihrem przed siebie.

Młody Głębocki pędził, mijając krzyczące kupy.

Dymy były coraz gęstsze, coraz to szersze zataczając kręgi i szły w olbrzymich skokach strzech z chaty na chatę, rozścielając się nad rumianą ścianą płomieni w kłębach, zwyczajach, tumanach.

Widać było, jak wiatr niosąc skry, szczepi pożogę, jak éma płomyków, obsiadłszy zręby, żre belki, krokwie i ściany, jak schodzi w dół do jałowcowych płotów i mknie ziemią, wijąc się wężem ognistym od budynku do budynku.

Żar i trzask wiały już powietrzem.

Do wsi było niedaleko. Nim jednak dopadli, już nad jedną z chat dach runął, a nad kilkoma tarzały się fale krwawe, kurząc dymem i sycząc.

— Do dworu! Po siekiery!—wrzasnął Głębocki, rzucając lejce stangretowi.—Płoty rozrywać! strzechy zdzierać—krzycał, biegnąc środkiem drogi.

I sam dopadłszy najbliższej z objętych pożarem chałup, jął rwać koly i żerdzie z opłotków.



Ludzi w tej chwili była we wsi garść zaledwie, większość nie zdążyła jeszcze nadbiec z kościoła. Kilka kobiet i dzieci, wrzeszcząc w niebogłoso, wypędzało gadzinę z płonących zagród, jeden z chłopów, siwy, trzęsący się starzec, wyrzucał wyważonem oknem statki i sprzęty z izby, kilku innych biegało bez celu, patrząc osłupionym wzrokiem i drżąc jak w febrze.

Na wszystkich twarzach malowała się drętwa rozpacz, ale nikt właściwie nie ratował.

Więc straszliwy żywioł, szedł z dachu na dach, potrząsał płomienną grzywą i palił.

Pożar wybuchł w samym prawie środku wsi i gwałtownie dwoma skrzydłami.

Wreszcie nadbiegło kilkudziesięciu chłopów i kobiet i rozleciało się po chatach. Drogę zasłały sprzęty, łóżka, stoły, pościel. Krzyk potężniał, wrzawa rosła. Co chwila z odmetu głosów wybiegało nowe:

— Jezus! Marja! Rety! Ludzie! chrześcijany! Dolaż moja! O Jezu! Jezusie!

Kobiety ikając, chwytaly obrazy świętych, padały na kolana, dzierżąc wzniesione w górę wizerunki. W krzyku zadzwoniły słowa: modlitwy, prośby... i wzbily się z pióropuszem skier ku niebu.

Nadażyli przybiec i ludzie dworscy, a niebawem i cały tłum z kościoła i pół przyciągnął z wyciem bolesnem. Wszystko leciało na oślep, każdy do swej chaty, ratując bezładnie, co pod rękę popadło.

Tadeusz, ochryply od krzyku i dymu, z pomocą dworskich, rozrywał płonące płoty. Kilku parobków, zachęconych przykładem, jęło się drapać po zrębach na strzechy i zrywać poszycia.

Na chwilę zdawało się, że ogień ustaje. Nagle wiatr zmienił kierunek, wionął kłębem dymnej kurzawy silniej, z drzew przydrożnych zaczęły padać otrącane żarem liście i na rozłożonej po drugiej stronie drogi połeci chat i stodoł, ukazał się ognisty grzebień.

Właśnie dojeżdżali starzy Głęboccy z obu duchownymi, Wilkoszem i Bronią, którą w połowie drogi dopędzono.

Straszny krzyk rozdarł znowu powietrze. Nie było w nim już ani skargi, ani prośby o zmiłowanie, tylko jakaś mściwa zawziętość na niszczący żywioł. Część ludzi rzuciła się ku stołom. Nawet ci, co stali dotychczas, zawodząc w odrętwieniu, porwali się, biegnąc z groźnie zaciśniętymi rękoma, z wyrazem klątwy w pobladłych twarzach i wpadli w wir ognia. Zaczęto otwierać gorączkowo wrótnie, wytaczać stojące na boiskach wozy, chwycono za rydle, za osęki, za wiadra... I rozpoczęła się walka gnębionej duszy chłopskiej z rozszalałym żywiołem.

Jakiś głos z tłumu warknął:

— Co ta żyda żałować!

Lecz inni zaczęli karcić:

— Stulta pysk! Żyd nie żyd a ratować trza! Dalej za młodym dziedzicem! Berek a no laż w ogień nie pytał... Pawlakom cielaka z obory wywłókt... Dalej!

Kilku parobczaków pobiegło w cwał za Tadeuszem.

Ktoś przypomniał:

— A tam w izbie bogdaj stara Ryfka ruszać niemo-gąca.

— Rany Boskie! dyć prawda!

— Paralusz jej moc odebrał, jeszcze chudzina zgorzeje!—odezwały się litością brzmiące głosy i znowu paru chłopów i bab ruszyło ku płonącej chacie.

Ogień objął już dach cały. Wiatr, jakby rad nowej pastwie pożogi, zatrzymał się i miotał wytryskiem płomieni po przepalanej już strzesze. Z pod popielonej słomy, świeciły za każdym podmuchem głównie łat i krokwi. Dym buchał już szczelinami lepionych gliną ścian. Zamieć skier i żuzła siekła naokół piekącym żarem. Już i z małego okienka zaczęły wybiegać z sykiem języki ognia...

W wnętrzu izby wrzał płaczliwy krzyk Berka, i przejmujący do szpiku jęk kwilił..

Biegnącego Tadeusza doleciały wykrzykniki śpieszących na nim włościan:

— Stara Ryfka w izbie!

Zrozumiał, że tu o życie ludzkie idzie. Zagrała w nim

dobra krew szlachecka. Bez namysłu osłonił twarz rękoma i runął przez płynące odrzwiami kłęby dymu do środka...

Z piersi nadlatującej gromady wyrwał się krzyk przerażenia:

— Jezusie! Marjo!

Najbliżsi zatrzymali się na chwilę w trwożnym osłupieniu, spoglądając jedni na drugich...

W tem dach zaczął się trząść, chwiać i wielki spław ognia zapadł do wnętrza.

Nieludzki krzyk rozdarł powietrze, a jednocześnie z izby rozległ się stłumiony głos Tadeusza:

— Do mnie! do mnie! Oknem!

Dwóch parobczaków poskoczyło... Maleńkie szyby przysły. W mig wyważono otwór, wywłócząc kilka okrajków ściennych.

— Do mnie! do mnie!—wołał Tadeusz.

Teraz stojący na zewnątrz rzucili się jak jeden mąż. Przytomniejsi zaczęli lać wodą do środka, inni osękami rwać płonący już zrąb. W izbie zrobiło się jaśniej. Po chwili w rozwalonym wyłomie ukazało się głów kilka, czarnych od dymu, osmalonych...

I młody Głębocki, złożywszy omdlałą z przestachu żydówkę o kilka kroków dalej, chwycił podane mu wiaderko z wodą i pił chciwie.

Zrobiło mu się jednak słabo, przytem twarz i ręce piekły boleśnie.

Siadł na cembrzynie pobliskiej studzienki. Otoczył go wianek lamentujących kobiet. Chłopi rozrzucali dogorywającą chałupę, ile, że na szczęście wiatr ustał i dalszym budynkom przestało grozić niebezpieczeństwo.

Do dyszącego ciężko Tadeusza przypadł Berek i przycisnął uwęgloną twarz do jego kolan, łkając, rzczerząc... Kobiety szeptały z troskliwym podziwem:

— Oj! panosku wielmożny! Toć my struchlały ze wszystkim! Jezusie miłosierny! kto to widział leżeć tak w żywym ogniu przez niczego... Panienko Częstochowska! Dla rodzzonej nie każdy-by się ważył! Jezu! Jezusie!

I kłaniając się nagabywały co chwila: czy mu co nie jest?

W nim zaś, mimo osłabienia, serce rosnęło i duszę miał pełną dumnej radości, nigdy dotąd niezaznawanej.

Stało się to wszystko tak szybko, że zajęci w drugim końcu wsi ratunkiem, o całym wydarzeniu nie wiedzieli, zwłaszcza, że przez gęste kłęby dymu nic z oddalenia dojechać nie było można.

Tymczasem z chwilą uciszenia się wiatru, pożar zmalął. To co miało spłonąć spłonęło, ogień dogryzał resztki, nie czyniąc nowych spustoszeń. Tylko w miarę jak groza nieszczęścia mijała, podnosił się coraz większy lament. Nad zgłiszczami skupiały się gromadki, rozprawiając, łzawo zawodząc. Obaj księża z Głębockim, krążąc wśród pogorzelnika, starali się pocieszać dotkniętych srogiem nieszczęściem włościan.

— Bóg dał, Bóg wziął — uspakajał ksiądz Rzut. — Nie trzeba tylko rąk opuszczać...

— Oj! ojciec duchowny! Cóż my biedne sieroty teraz poczniewa?

— Więcej Bóg ma, jak rozdał... Znajdzie się jakaś rada.

— Tymczasem dam wam dworski czworak na posiedzisko... A jutro niech kilku zajdzie do mnie... Pogadamy. No, no! jakoś to będzie—odzywał się od czasu do czasu stary Głębocki, na którego twarzy malowało się przygnębienie i współczucie szczere.

Biegali tak od jednej kupy popiołów do drugiej, gdy na pagórku, gdzie stały panie, rozbrzmiał krzyk nowy, krótki, urywany...

Głębocki drgnął i jął biedz szybko w tę stronę.

Dzieliło go już kilka tylko kroków.

Rzucił wylekłym wzrokiem. Dojrzał staniającą się Bronię, podtrzymywaną przez Wilkosza i panią Pitzburg.

Straszna trwoga objęła mu serce, wrogie przecucie przeszybowało w myślach.

— Gdzie Tadeusz?!—wzasnął przeraźliwie. — Gdzie Tadeusz?!

— Idzie pan młodszy! idzie! — odezwały się z różnych stron głosy.



W samej rzeczy Tadeusz, wypocząwszy, szedł wolnym krokiem, przeprowadzony przez gromadkę włościan.

Staremu nogi odmówiły posłuszeństwa. Chciał pobiedz naprzeciw. Nie mógł. Odetchnął ciężko i spytał głucho:

— A co się tu stało? Co Broni?

— Nie! nie! zemdląca z gorąca—odpowiedziała pospiesznie, wybiegając do męża Głębocka.

Stało się zaś to, że wieść o poświęceniu się Tadeusza i o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdował, obiegała już z ust do ust, i właśnie przed chwilą jedna z dziewczyn donoszących wodę, przelatując mimo, wołała: „Panicz się o mało nie spalił“!...

W tym momencie z ust Broni wydarł się krzyk i padła zemdlona.

Ale teraz otwierała już oczy, rumieniec wracał na twarzyczkę pobladłą. Tylko mówić nie jeszcze nie mogła.

Stary Głębocki, przełamawszy odrętwienie, pospieszył ku synowi. Słów mu zbrakło, tylko oczy mówiły rodzicielską trwogą i czułym wyrzutem. Za mężem wybiegła Głębocka i rzuciła się synowi na szyję:

Ten zaś powtarzał raz poraz:

— Nie mi się nie stało! nie a nie!

— Narobiłeś wszystkim strachu!—odezwał się po chwili Głębocki.—Oj! ty! ty! A Bronia zemdląca! z gorąca — dodał ciszej. I spojrzął znacząco na żonę.

W tej chwili dał się słyszeć głos pani Pitzburg:

— Otóż i pan Tadeusz!

Na te słowa Bronia, zdobywając się na wysilek, odsunęła podtrzymujące ją ramie Wilkosza, i zaczęła iść ku Głębockim.

Pani Pitzburg uczyniła toż samo.

W oczach starego Głębockiego odbił się kłopotliwy namysł. Poskoczył ku siostrzenicy i niby karcąc mówił:

— Ładne mi tu historie panienka wyprawia! kto to widział! Nie potrzeba nam takich strażaków, co mdleją! Bo też nie mają tu panie co dłużej robić—zwrócił się do żony.— Najlepiej zrobicie, jak pojedziecie do domu. Trzeba będzie pomyśleć o jedzeniu dla tych biedaków. — Skłonił się przed

panią Pitzburg.—A może i pani dobrodziejka będzie łaskawa na nasz dom, chociaż w takich okolicznościach?...

Pitzburgowa odrzekła coś niewyraźnie, powtórzył więc zaprosiny i nie czekając odpowiedzi wysłał jednego z parobczaków po konie.

Zamieniono jeszcze słów parę, poczem panie odjechały do dworu, obaj zaś Głęboccy ruszyli z powrotem ku dymiącemu pogorzeliisku. Stary Głębocki chciał w pierwszej chwili wyprawić i Tadeusza. Ten jednak oparł się stanowczo.

Wrócili dopiero w parę godzin później z księdzem kanonikiem, księdzem Rzutem i Wilkoszem, nie zastawszy już pani Pitzburg, która po półgodzinnej bytności odjechała do siebie.

Natomiast nad wieczorem nadjechali państwo Boczkowsy z córką, sędzia Tarcza i przywałował konno Rodowski.

Zaczął się opowiadanie o pożarze.

Tadeusz mimo zmęczenia, przebrawszy się na prędcę, dotrzymywał placu towarzystwu.

Był bohaterem chwili; sam jednak, zażenowany usłyszanemi pochwałami, rzadko mięszał się do rozmowy. Natomiast rzucał ukradkowe spojrzenie na Bronię, z którą panna Boczkowska z widoczną lubością rozmawiała. Zauważył przytem, że kuzynka ma bardzo strapioną minkę i że usilnie unika jego wzroku. I bezwiednie uczynione rankiem przypuszczenie, zaczęło znowu świtać w myślach pytaniem: „Czyżby“?

Zemdlenie Broni, którego przyczynę odgadywał, dawało mu poniekąd odpowiedź i utwierdzało w domysłach. Uczuł niepokój i to go do reszty skrepiowało.

Za to stary Głębocki opowiadał szeroko i długo o przebiegu wypadku.

— Dziękować Bogu—mówił—że się na tem skończyło. Szczęściem, że to wypadło dzisiaj... w święto... Ludzie się zaraz zbiegli. Ratunek był prędszy... Przytem wiatr ustał. Ale z początku myślałem, że cała wieś pójdzie z dymem. Budyńki stare... jeden tuż obok drugiego, a pali się to jak hupka!

— Ogień musiał być ogromny! — wtrącił Rodowski. --

Właśnie wybierałem się do pana Tarczy, gdy lokaj wpadł z krzykiem, że się Głębokie pali! Nie wiele myśląc, na koń i pędzę... Jechałem najwyżej kwadrans... dajmy na to...

— Dajmy na to półtorej godziny—przerwał Tarcza.

Rodowski skrzywił się.

— Sędziego w najpoważniejszej chwili trzymają się żarty.

— Bój się Boga, panie Teofilu! Przecież to dwie mile z okładem.

Rodowski nieodpowiadając Tarczy, zwrócił się znowu do gospodarza.

— Ciężar spadł mi z serca, gdy spostrzegłem, że to nie dwór... Nie mniej boleję nad tymi biedakami...

— Zwłaszcza, że niektórzy stracili całą chudobę — zauważył kanonik.

— Z chałup zaledwie co nieco gratów wyniesiono—napomknął Głębocki—a co najgorsza, że tyle ludzi zostało bez dachu i niewiem, czy się będą w stanie przed zimą odbudować.

— Gotowi się jeszcze porozchodzić, bo to teraz ciągle werbują robotnika za granicę — odezwał się milczący dotąd Wilkosz.

— Do tego niedopuszczę! — rzekł żywo Głębocki—choćbym miał z własnej kieszeni dołożyć. Nim „fajerkasę“ dostaną, dam drzewa i cegły... Tymczasem przytulą się po czworakach.

— Bóg zapłać w imieniu pogorzalców—przemówił ksiądz Rzut.

Zaś pan Boczkowski wtrącił:

— Pozwolę sobie na ręce księdza kanonika przysłać parę korcy zboża dla najbiedniejszych... A te parę rubli — dodał podając dwudziestopięciorublowy banknot — możnaby zaraz panie tego...

— Niech-że i mnie wolno będzie przyłożyć rękę do dobrego uczynku — rzekł z kolei Rodowski, a i sędzia zaczął szukać po kieszonkach.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać — dziękował wikary, przyjmując pieniężne datki.

A właśnie zjawił się lokaj z zawiadomieniem, że ze wsi przyszedł sołtys i kilku gospodarzy.

Głębocki przeprosiwszy gości chciał wyjść, ale po namyśle skinął na Tadeusza.

— Pogadajże z nimi i rozporządź, jak uznasz za stosowne.

Tadeuszowi polecenie ojca było bardzo na rękę. Jakoż skłoniwszy się wyszedł bezwłocznie.

Po chwili jednak wrócił z nadmienieniem, że musi się udać do wsi w celu rozstawienia straży przy pogorzeliiskach, i zarządzenia środków ostrożności, ile że już zmierzchało.

Nie zatrzymywano go, a że sędzia zrobił uwagę, „że gość nie w porę, gorzej tatarzyna“, mimo protestów gospodarstwa zaczęto się zaraz rozjeżdżać.

Po chwili zostali sami Głęboccy z Bronią. Dłuższy czas panowało milczenie.

— Jakże ci się podobała Helenka? — spytał wreszcie zwracając się do siostrzenicy Głębocki.

— Ach! ogromnie milutka!

— Milutka... milutka—mruknął.

— A czemu to Bronia z panem Wilkoszem jakoś nie tego... Porządny człowiek. Zawołany gospodarz—rzucił znowu po chwili.

Broni stanęły łzy w oczach. Skraśniała po same białka.

— Daj-że jej pokój—ujęła się Głębocka.

— O! o! cóż w tem złego... Przecież pytać wolno—dogaadnął jeszcze. Ale żal mu się zrobiło dziewczęcia. Więc jął ją gładzić po zarumienionej twarzy i przechodząc w ton żartobliwy zanucił: „Nie przebieraj panno! żebyś nie przebrała...

„Figa“ porwała się z płaczem i wybiegła z pokoju.

Głębocki zaczął kręcić głową.

Nachmurzył się i chodząc dużemi krokami po pokoju mruczał:

— Trzeba „małą“ wziąć na spytki. Krew nie woda! Gotowe z tego jakieś bałamuctwo wyniknąć!

Przyśiadł się do żony i rozmawiali w dalszym ciągu po cichu, a nie bez troski.



Tymczasem Tadeusz, przeprowadzany przez gromadki osowiałych włości, obchodzi pogorzelsko, wydając polecenia stróżowania noc całą, słuchając żalonych skarg i utyskiwań.

Zapadał wieczór. Z nieba wyjrzały pierwsze gwiazdy, ale w powietrzu było parno i duszno. Śwąd spalenizny unosił się nad wsią całą, Zgliszczą dymiły jeszcze, błyskając niekiedy skrami. Czasem z kupy popiołu zrywał się płomień i świecił łuną po smutnych twarzach snujących się około unicestwionej chudoby.

Tadeusz chodził długo wśród ryhoczącej żalem gromady. Chłopstwo witało go przez łzy, ale z radosnem rozczuleniem, wieśniaczki chwyciły za kolana i całowały po rękach.

Było mu dziwnie dobrze a zarazem i dziwnie boleśnie. Parokrotnie chciał odejść i zawracał z pół drogi...

Trzymała go niedola ludzka.

#### ROZDZIAŁ IV.

— Spisałem się! nie ma co mówić! Kazano mi ciebie wykopać, wpadłem niby na jeden dzień, a siedzę już tydzień przeszło! Ziemia z Przystawskim wyklną mię! dalibóg wyklną! Niech tam! Dobrze mi i nie ruszę się ztąd, póki nie skończę tego... arcydzieła!

— Choćbys chciał Lucku, nie puszcze...

— Jeszcze ze dwa posiedzenia i „Słoneczniki“ gotowe! Żart, żartem... bazgrała jestem, ale pomysł mam... Jakże ci się wydaje, Tadku? Tylko te oczy! te oczy! Jak żyję takich nie widziałem!

Ostatnim słowem Lucjana Opeckiego towarzyszył śmiech szczery i zamaszty ruch pędzla po zawieszonem na improvizowanych stalugach płótnie.

— Tylko te oczy! te oczy! — powtórzył znowu. — Nie mogę i nie mogę!

Dotknął pędzlem płótna i zanucił półgłosem:

„Któż mi powie? kto odgadnie?  
Z głębi ocznych zwierciadełek?  
Co u dziewcząt siedzi na dnie  
Czy aniołek? czy... djabełek?

Pszytyknał w palce.

— No co? co siedzi? Ty powinieneś lepiej wiedzieć Taduchna! — Bo widzisz — mówił, chwytając podchodzącego Tadeusza za rękę i sadowiąc go na krzeselku tak, aby światła nie przyciemniał. — Bo widzisz... Że ciebie tu zatrzymują... prawda! Lecz entre nous soit dit ty się i sam troszkę trzymasz! No przyznaj się!

Młody Głębocki uśmiechnął się zlekka.

— Zrobili cię ustawodawcą powiatowym — mówił w dalszym ciągu z lekkim odcieniem sarkazmu Opecki — zgoda! Zostałeś budowniczym wiejskim... Nic nie mam przeciwko temu! Lecz gdyby tak poruszyć głębiej... hm...

Tadeusz nie odpowiadając przyglądał się malowidłu. Obrazek przedstawiał krajobraz wiejski: chatę z ogródkiem pełnym malw i słoneczników. Pod żółtymi baldachimami kwiatów stała „Głowieńka“. Kwiaty zwracały się żółtymi koronami ku jej twarzy, jak to zwykły czynić ku słońcu. Było w tem dużo światła i smaku.

— Lucku! masz na prawdę talent! — przemówił po chwili Głębocki.

Opecki uklonił się z przesadą.

— W łaskawych oczach pana dobrodzieja! W gruncie rzeczy nie nie umiem... Szkoda poprostu czasu i atłasu. Nie malowałem też oddawna. Ale tu nawróciłem się znowu do sztuki... Wiesz dlaczego?

Zmrużył błyszczące czarne oczy.

— Jak to u was na wsi śpiewają? Aha!

„Gdybym był malarzem  
Tobym cię malował  
Cobym ruszył pędzlem  
Tobym pocałował!“

Poczem patrząc na Tadeusza wesoło, dodał:

— Widzisz, że i ja już wsią nasiąkam.

Ten jednak miał twarz poważną i oczy jakby przysłonione chmurą.

— Uraziłem cię czem, Tadku?

— Zkądże?

— No... no...

— Bynajmniej, mój drogi! Trzpiotem byłeś i trzpiotem zostaniesz. Jeśli jednak mam być szczerym, to mię jedna rzecz dziwi niezmiernie.

— Cóż takiego?

— Mówisz o wsi z przekąsem przeciętnego bourgeois, a przecież i ty Lucku, jeżeli o to chodzi, z krwi i kości jesteś wieśniakiem—odpowiedział Głębocki.

Opecki, odłożywszy pędzle, pokręcił głową. Stał wprost Tadeusza i zamyślił się. Wreszcie po chwili przemówił:

— Namyslałem się, co ci odpowiedzieć. Masz i nie masz racji. Między tobą a mną jest wielka różnica. Ja prawie że wsi nie znam. Rodzice sprzedali majątek i wyprowadzili się do miasta, gdy jeszcze byłem dzieckiem. Wspomnień nie posiadam żadnych, a to co słyszałem, nie zachęcało mię bynajmniej do wiejskich kątów. Później, sam wiesz najlepiej, że nasze pojęcia nie rozbudzały tęsknoty... Gotów jednak jestem przyznać, że to, co w ciągu tych paru lat widziałem, ogromnie podkopało dotychczasową moją opinię...

Mówił dotąd poważnie, ale widocznie nie łatwo mu było utrzymać się w tym tonie, bo w końcu zaczął mrugać oczyma i przybrawszy płacziwą minę, szepnął, ujmując rękę Tadeusza, jak uczeń przed profesorem:

— Już nigdy nie będę!

Roześmieli się obaj.

Opeckiemu zaświeciły znowu oczy weselem. Wziął się do pędzla, ale rozmawiać nie przestawał.

— Tak, tak, Tadku! inaczej sobie przedstawiałem wieś. Przedewszystkiem nasłuchiłem się tyle o biedzie, o kłopotach, a tu wcale tego nie widzę. Nie mówiąc już o waszym domu, wszyscy zdają się mieć dobrze.

— Istotnie, z małymi wyjątkami.

— Znać to. Tacy państwo Boczkowscy muszą być grubo bogaci ludzie.

— Zamożni.

— Znać to — powtórzył Opecki.

— Nie wiedziałem, żeś taki materjalista!

— Materjalista?... hm... może.

Przeszedł się po pokoju. Po niejakiem przerwie dodał:

— Dobrobyt daje swobodę... Trzeba mieć najpierw kawałek szczęścia w sobie, nim się zacznie uszczęśliwiać drugich.

— Czy to z teki aforyzmów Ziembry?

— Z mojej własnej.

— Powtarzam, że nie wiedziałem, żeś taki materjalista. Opecki spowaźniał.

— Nazywaj to jak chcesz — odparł po chwili — niemniej zgodzisz się na jedno, że i Salamon z próżnego nie należy. Dobre chęci bez środków, plewa! Panna Boczkowska nie założyłaby szpitalika, ani szkółki, gdyby nie miała na to, pogorzelnicy w Głębokiem siedzieliby na zgliszczach, gdyby nie wasza pomoc. A chcąc to uczynić, trzeba mieć!

Zabrał się do malowania, mrużąc półgłosem: „te oczy! te oczy“!

Tadeusz zapalił papierosa i przyglądał się obrazowi. Po chwili spytał od niechcienia:

— Jakże ci się wydała panna Helena?

Opecki popatrzył nań uważnie.

— Pod jakim względem?

— W ogóle.

— De gustibus non est disputandum — odrzekł sentencjonalnie Opecki, patrząc w płótno.

— No! no! — nagabywał Tadeusz.

— Ma dużo wdzięku i dystynkcji i olbrzymią zaletę, że jest sobą. Z początku miałem ją, nie gniewaj się, za „niebieską pończoszkę“, zabłąkaną przypadkiem na prowincję. Przekonałem się jednak, że tak nie jest. Szczera to dusza i dobra! — dokończył pokręcając wąsą.

Tadeusz uśmiechnął się przelotnie.

— Wiesz co, Lucjan? Zamaluj „słoneczniki“ i... żeń się!

Opecki zrobił wielkie oczy.

— Kostyczny jesteś — rzucił z odcieniem niezadowolenia.



— Mówię zupełnie na serjo.

Opecki zmarszczył brwi.

— Jezeliś łaskaw, zmieńmy temat rozmowy.

— Dlaczego? — spytał z dziwnym jakimś uporem Głębocki.

— Choćby dla tego, że „słoneczników“ nie zamaluję! a...

— A?...

— Ciągniesz mię za język. Dowodzi to, że domyślasz się przyczyny.

— Więc...

— Jakie tam „więc“! Mam oczy i uszy...

Tadeusz powstał z krzeselka i tonem zniecierpliwienia pytał:

— Mówiono ci, że ja się staram o Helenę? Co?

— Nikt mi nie mówił. Ale to widoczne. Nie dotykałbym tej sprawy, lecz sam mię upoważniłeś—odrzekł Opecki.

Głębocki rozśmiał się ironicznie i nie bez goryczy mówił:

— Daję ci na to słowo honoru, że w mojej głowie nawet myśl podobna nie powstała, i osobiście nie dałem najmniejszego powodu do jakichkolwiek domysłów. Że rodzicom się to uśmiecha, nie taję. Jest to jeden z licznych powodów, dla których chciałbym corychlej z Głębokiego wyjechać.

— Więc jedź ze mną—doradził Opecki.

— Nie mogę. Narzucono mi to i owo, rad nie rad muszę się z tej misji obywatelskiej wywiązać. Gdybyś jednak ty zabawił dłużej? Co Lucku?

— Ja? Skończę „Słoneczniki“ i macham choćby z Ziembą do Parany.

— Zostałbyś Lucku! Zrób to dla mnie — prosił pogodniejąc Tadeusz.

Opeckiemu zaczęły oczy błyszczeć, policzki drgać śmiechem:

— Kiedy się boję!

— Przestań kpić i nie odmawiaj!

— Otóż właśnie, że nie kpię! I nademną zawisło groźne niebezpieczeństwo! Wiesz ty — mówił — że musiałem dziś

własnoręcznie przyszyć guziki u tużurka. Dajecie jeść co pół godziny... Utyłem! — Objął się rękoma w biodrach. — Spójrz, co się z mojej talji zrobiło! Ale to jeszcze bagatel. Nie mam serca z kamienia, a tu o miedzę, w Czarnowodach pani Emma... Och! Skończę „Słoneczniki“ i mamcham, gdzie pieprz rośnie!

Padł na kanapę, śmiejąc się na cały głos.

Miał ten rodzaj szczerej udzielającej się wesołości, że Tadeusz, którego poprzednia rozmowa podrażniła nieco, rozchmurzył się zupełnie i wtórując niejako koledze zaczął:

— Nie drwij z Pitzburgowej, bo w twoim guście... Pulchna, biała, jak wydarzony baumkuchen...

Opecki wzruszył ramionami.

— Kiedyś może... ale dziś...

Stanął przed obrazem i przyglądał się płótnu pod światło.

— A propos pani Emmy — mówił w dalszym ciągu Tadeusz. — Pojutrze w Czarnowodach „Schnitzeljagd“. Przyrzekłeś wziąć udział...

— Dawno nie dosiadałem konia!

— Dam ci spokojną, wybornie wyjeżdżoną, wierzchówkę. Zrobimy dziś próbę. Przejedziesz się ze mną do miasta? Mam parę interesów ojca do załatwienia. Z powrotem moglibyśmy po drodze wstąpić do Boczkowskich.

— Wolałbym malować... Po południu światło najlepsze i panna Bronisława ma więcej czasu. W jakim stopniu pokrewieństwa jesteście? — spytał od niechcienia.

— Jest córką ciotecznej siostry mojej matki, nieboszczki Karoliny Lipskiej.

Opecki zrobił gest, jakby chciał powiedzieć: „szkoda“ i zaczął znowu malować.

Tadeusz spojrzął na zegarek.

— Diesiąta. Zjemy drugie śniadanie i pojedziemy. Zgoda?

— Bój się Boga! Dopiero była kawa...

Ukazał oczyma na stojący na stoliku serwis.

Do pokoju wszedł stary Głębocki, wołając z progu:

— Jak się ma malarza? Dzień dobry Tadeuszu!

Przywitał się, i stanąwszy przed sztalugami, jął wodzić oczyma po płótnie chwaląc:

— Pysznie! Zwłaszcza „Figa“! Wykapana! Zrobiłbym tylko jedną uwagę...

— Słucham pana dobrodzieja—odezwał się Opecki.

— Gdy słoneczniki kwitną, to już malwy kaput!

— Słuszna uwaga pana dobrodzieja.

— I ta chałupa, na drugim planie, nieco za wysoka.

— Obetniemy ją, panie dobrodzieju!—zaśmiał się Opecki.

— Ale Bronia wykapana! Przewróćcie do reszty w głowie dziewczynie! Wiesz pan co? Zamiast tego krza malw, wartałoby... Ale pan nie znasz Wilkosza?

— Nie mam przyjemności...

— Szkoda! Byłby paradny figiel!

Zatarł ręce.

Opekiemu nazwisko Wilkosza nie było obcem; słyszał je już parokrotnie przytaczane w rozmowie, na czym jednak ów figiel miał polegać, domyślić się nie mógł. Chciał już pytać, ofiarując zastosować się do życzenia, ale stary Głębocki, zmieniając temat rozmowy, zwrócił się do syna:

— Jedziesz do miasta?

— Jedziemy obaj z Lucjanem!

— Doskonale! Odprowadzę was kawałek. Muszę zajrzeć do buraków. Czas będzie zacząć kopanie. Zdaje mi się, że już śniadanie podali. Kropniemy „starki“ i jazda! Zbierajcie się zatem.

Wyszedł.

Opecki spytał teraz Tadeusza:

— Co to za Wilkosz?

— Upatrzony konkurent dla Broni — odrzekł sucho zapytany.

Opekiemu twarz się wydłużyła.

— Nie wiedziałem—mruknął.—Może już po słowie?

Tadeusz drgnął nerwowo i udał, że nie słyszy pytania.

Opecki zmierzył go przelotnie spojrzeniem i zaczął świstać przez zęby.

— Zrazy stygną! — rozległ się z drugiego pokoju głos starego Głębockiego.

— Chodźmy — odezwał się Tadeusz, biorąc za klamkę i puszczając przodem kolegę.

Pań w jadalni nie było. Opecki zauważył, że Tadeusz często spogląda ku drzwiom.

— Żona przepasza, że wyjść jeszcze nie może, ale mają z Bronią jakieś pilne kuchenne sprawy — objaśnił stary Głębocki. — Zresztą, bo nam to źle samym? W pańskie ręce — zwrócił się do Lucjana, nalewając kieliszek.

— Prosi t, Tadziu — rzekł Opecki.

— Dalibyście pokój tej niemczyźnie!

— Dawne przyzwyczajenie z szkolnych czasów, panie dobrodzieju!

— Ale! ale... Jakże z tem polowaniem w Czarnowodach? Będiesz? — zapytał Głębocki, zwracając się do Tadeusza.

— Wybieramy się obaj z Lucjanem.

— Także wymyśl! Gonić na złamanie karku za jakimiś papierkami — mruknął. — Rozumiem z chartami... ze strzelbą...

— W Anglii i na zachodzie tego rodzaju sport w powszechnem użyciu — napomknął Opecki.

Głębocki wrzucił ramionami.

— Dziwowisko! nic więcej! Ale otóż i konie!

— Zatem jedziemy — przynaglił Tadeusz, wstając od stołu.

— Mamy zamiar z powrotem wstąpić na chwilę do państwa Boczkowskich.

— A, to dobrze! to bardzo dobrze — przemówił ze szczególnym naciskiem Głębocki, podnosząc się również z krzesła.

Mieli już siadać na koń, gdy przed ganek wybiegła Bronia z kartką papieru w ręku.

— Jest i „litanijska,” jak zwykle — zażartował Głębocki. Bierz Tadeusz i zmykajmy!

Obaj młodzi powitali przybyłą ukłonem. Tadeusz przechyliwszy się nieco z siodła, wyciągnął rękę w jej stronę. Podąła trzymaną kartkę, mała jej rączka spoczęła na chwilę w jego dłoni.

Ścisnął z lekka drobne paluszki, pytając oczyma.



— Ciocia prosi, żeby wstąpić do apteki po proszki dla Jędrzejowej...

Niedawno wzięty pod wierzch gniadosz wspiął się i dał w bok potężnego szczupaka.

— Ach!—rozległ się trwożliwy głosik Broni.

— Jedź! jedź przodem, bo się koń gorącuje! — przyna-glał Głębocki.

— Do widzenia, kuzynko!—zawołał Tadeusz, puszcza-jąc rwącego się wierzchowca. Koń pomknął w lansadach. Opecki z Głębockim pokłusowali z tyłu.

Jakiś czas jechali w milczeniu.

— Nieźle się trzyma — zauważył wreszcie Głębocki, — ukazując oczyma na galopującego w pewnej odległości Tadeusza.

— Żeby tak na mnie padło, byłbym zaraz pod gankiem buchnął u nóg panny Lipskiej—odezwał się żartobliwie Opecki. W słowach tych był bezwiedny dwuznacznik.

Stary Głębocki spojrzał mu badawczo w oczy, a widząc, że Tadeusz wstrzymuje konia, aby się z nimi zrównać, jął wołać:

— Jedź! jedź! Niech się bestja wyszarpie! Przy koniach będzie się bardziej gorączkował. A my zwolnijmy — dodał, zwracając się do towarzysza, kierującego ostrożnie krępą kasztanową kłaczą.

Jechali teraz stępa, mając przed sobą o dość znaczną odległość Tadeusza.

— Dawno już chciałem z panem pogawędzić na osobności — odezwał się znowu po chwili Głębocki — zapytać o wiele rzeczy.

— Służę panu dobrodziejowi.

— Bo to widzi, kochany pan, mam z Tadeuszem trochę kłopotu! Ciągłe jakiś nieswój... Ja go przecież w niczem krępować nie mam zamiaru. Jest panem swej woli. Pisa-łem, żeby przyjechał, bo czas-by już było i nam odpocząć... Nie mówiliście przypadkiem o czem... Wy młodzi, prędzej się rozumiecie...

— Szlachcic chce mię zażyć z mańki—pomyślał Opecki. Potrząsł przecząco głową.

— Radbym go miał przy sobie—ciągnął, zwierając się Głębocki—jeśliby jednak miało to być ofiarą z jego strony... Westchnął.

— Nie sędzę — zaprzeczył Opecki. — Uważam nawet, że go wieś bardzo interesuje...

— Mówiliście o tem?

— Wprost nie. Ale to się przecież widzi...

— Tak pan uważasz? Bo właściwie, czego znów gwałtem szukać szczęścia po świecie? Jest, chwała Bogu, niezły kawałek ziemi, jakie takie stanowisko...

— Zapewne — potaknął Opecki.

Wjeżdżali do wsi.

— Patrz pan! to dzieło Tadeusza—przemówił weselej Głębocki, ukazując rozjaśnionem okiem na rząd świeżo stawianych budynków.—Mieliśmy przed paru tygodniami duży pożar...

— Słyszałem.

— Otóż Tadeusz zajął się pogorzelniami. Zrobił a b r y s s, dałem drzewa... Porządniej to będzie teraz wyglądało, lepiej niż przed pożarem. Budynki pod sznur, w każdej chacie po dwie stancje — chwalił. — Jeżeli jesień dopisze, to na zimę przynajmniej domy mieszkalne staną pod dachem.

Mówił to z nietajoną radością, z niejakim odcieniem dumy spoglądając na wznoszącą się z ruin wioskę.

Przejeżdżali właśnie obok stosu obrabianego przez cieśli drzewa.

Smolne pnie starodrzewu stękały pod uderzeniem toporów. Wielkie trzaski spadały z łoskotem, odsłaniając rdzeń żywiczny. Robota szła żwawo i wprawnie.

— Czy to tutejsi robotnicy? — spytał Opecki.

— Miejscowi chłopci — brzmiała odpowiedź.

— Myślałem, że sprowadzeni majstrowie.

— A po co! Nasz chłop, panie, trochę próżniak, ale bardzo walny i w potrzebie wszystko sobie zrobić potrafi. Trzeba ich tylko zachęcić i przypilnować. Z początku miał Tadeusz z nimi trochę kłopotu. Chcieli się koniecznie budować na starą modłę. W końcu jednak dali się przekonać, a tak mu, panie wierzą że teraz, panie, jednego kołka żaden bez jego wiedzy nie wbije!

— Słusznie zatem twierdziłem, że Tadeusza interesuje wieś bardzo — napomknął Opecki.

— Tak-by się zdawało. Istotnie nawet, ja sam jestem tego zdania. Tylko, że mi czegoś ciągle smutny...

— Ja tego nie widzę. Nigdy nie był zbyt wesołego usposobienia.

— Przecież młody jest u licha! zdrów i na niczem mu nie zbywa. Chyba...

Zniżył głos i nachylając się ku Opeckiemu spytał od niechcienia:

— A nie zostawił on tam przypadkiem kogo?

— Nie rozumiem pana dobrodzieja.

— No! no! Ja sam byłem przecież młodym! Miało się różne grzeszki na sumieniu...

Opeckiemu zaczęły się śmiać oczy.

— Powiedz mi pan prawdę! Miał Tadzio jaką damę? — nalegał przyjacielskim tonem Głębocki — Co? hm?

— Dalibóg niewiem!

— Baj! baj! znamy się wilczku! Nie wie!

Roześmiał się na całe gardło.

— Założyłbym się, że była i to niejedna!

Opecki zrobił minę jakby chciał powiedzieć: „kto wie?“ i po chwilowym namyśle odrzekł półzartem:

— Najgorzej podobno w takich razach, gdy jest jedna!

— Otóż mnie właśnie o taką jedną idzie. — podchwycił Głębocki.

— Takiej nie było! — zapewnił z całą powagą Opecki.

— No! to chwała Bogu! bo mnie już i to przychodziło do głowy. A tego rodzaju stosunki zazwyczaj dla młodego bardzo niebezpieczne...

Tak rozmawiając dojechali do miejsca, gdzie za wsią krzyżowały się drogi. Jedna wiodła w pola, druga do miasteczka.

Na skrócie stał Tadeusz, oczekujący na kolegę.

Zrównali się niebawem.

Głębocki rzucił okiem na pokrytego słatką żyłek gnidosza.

— A co, dobrze chodzi? — spytał syna.

— Doskonale! Zadługo tylko stał w stajni — odpowiedział Tadeusz. — Jak się dziś przekłusuje, będzie spokojniejszy. Dalej, Lucku — zwrócił się do Opeckiego.

— Tylko nie siedźcie długo. Wieczory ciemne — przestrzegł na rozjezdnem stary Głębocki. — Do widzenia!

Podjechał jeszcze do Opeckiego i szepnął:

— A wspomnij pan Tadziovi o naszej rozmowie.

Ten skinął twierdząco głową.

Rozjechano się w przeciwne strony.

Tadeusz z Opeckim ruszyli klusem strzemię w strzemię.

Dzień był pogodny; w powietrzu, jak na jesienną porę, ciepło, dość sucho a dziwnie cicho. Ziemia, urodziwszy płody, zdawała się wypoczywać, jak matka.

Droga prowadziła wskroś wązkich poletek chłopskich. Czarne skiby podorywek tuliły się do płowych płacht ugoru, te do czerwonawej uni wschodzącego żyta lub jaskrawej zieleni posianych pszenic, tworząc całość do starego gobelinu podobną.

Lśniący oprzęd „babiego lata“ migotał na równej przestrzeni, rzekłbyś: sieć lita srebrem nad uśpioną skronią zagonów rozciągniona. Pola leżały nieme, bez letniego kłósów i źdbeł szelestu, drzewa przestały gwarzyć. Nadmiedzne grusze drzemały bez szmeru, zamyślane, niejako zatroskane o przyszłą dolę; na przydrożnych brzozech chwiały się zlekka nagie różgi, spływając ku wysłanemu zamarłym, rdzawym liściem, podłożu; z wierzbnych czubów sterczały odarte z kiści i ptasząt świergotu pędy.

Zaden ton nie przerywał tej nuty spokoju. Nawet zwykle niespokojne stadka wróble przelatywały teraz bez krzykliwego ćwierkania, osowiałe, nastraszone. Czasem tylko zrywał się z oddali głos ludzki smętną piosenką i wstęgą dymu, oderwana z pastuszego ogniska, kładła się siną smugą nad polami.

Opeckiego uderzył ten bezruch natury.

— Spokojnie tu u was, ale martwo — przemówił do Tadeusza. — W mieście nie odczuwa się tak silnie zmian, zachodzących w przyrodzie. Nie mniej ma to swój urok i piękno.

— Podoba ci się?



— Do pewnego stopnia. Nie ma tej szarej jednostajności, co w murach.

— Ale i żywszego tętna nie ma. Człowiek staje się naprawdę częstką tej ziemi, jak kamień lub drzewo, i poddając się bezwiednie przyrodzonemu prawu, mniej wykazuje chęci twórczej, ograniczając swe pragnienia do spokojnego bytowania. Do szerszych lotów wieś nie usposabia.

Po półgodzinnej jeździe zarysowało się na horyzoncie miasteczko.

— Zwolnijmy trochę — zaproponował nienawykły do konia Opecki.

Tadeusz wstrzymał konia.

— O czym rozmawialiście z ojcem? — spytał po chwili.

— Tak sobie...

— Nie żalił się przypadkiem na mnie?

— Bynajmniej — zastrzegł się gorąco Opecki, i jakby unikając dalszych pytań, zaczął:

— Patrz! Jak tu już odmiennie. Byle dziura — ukazał ręką w stronę mieściny — a zaraz i ruch inny, gwarniej, nie powiem weselej, ale bądź co bądź uczuwa się jakiś pospiech życia, jakiś ukształt wola człowieka nadany.

Istotnie ruch był większy. Gościńcem, na który teraz z bocznej skręcili drogi, snuły się gromadki włościan, podążające do miasta. Z białawej linii szosowego traktu biegł turkot wozów i gwar, echa wykrzykników i nawoływań na pędzone sztuki bydła i chlewni.

— Zdaje mi się, że dziś dzień targowy. Może kogo spotkamy — zauważył Tadeusz i zapytał o to jednego z włościan, borykającego się z prowadzoną na parcianym powrozie krową.

— A juści jarmark, wielmożny panie — odpowiedział wieśniak, odkrywając głowę.

Wiśniowej maści bydłatko zaczęło się kręcić niecierpliwie, chłop szarpnął sznurem silniej.

— Sta! sta!

Opecki wdał się w gawędę.

— Ładna krówka. Czy to wasza?

— Najprzód Boska, wielmożny panie.

Popędził końcami powroza opierającą się wiśnioszkę.

— Szkoda sprzedawać.

— Cóż, kiej o podatki wołajom — brzmiała odpowiedź.

— A ileżbyście chcieli?—zapytał z kolei Tadeusz.

— Czy ja wiem, wielmożny panie...

— Któż ma wiedzieć?..

— To się ta na jarmarku pokaże...

— Możebym ja kupił — zażartował Opecki.

Chłop spojrział nań z pod oka.

— E... wielmożny pan! to chyba nie...

— Dlaczego?

— Bo wielmożny pan, to pewnikiem z miasta.

— Poczem że poznajecie?—spytał zaciekawiony Opecki, powstrzymując przyspieszającą chodu kasztanekę, aby nie mijać chłopka.

Chłop podrapał się swobodną ręką w głowę.

— E... to się ta zaraz miarkuje — rzekł ośmielony. — Nasze panowie i naksze — dodał, przenosząc spojrzenie na Głębockiego.

Zniewalane do zbyt powolnego chodu konie, zaczęły się niepokoić. Gniadosz wysunął się naprzód. Ruszono żwawiej, pozostawiając chłopka w tyle.

— Nie wiem, co on sobie do mnie upatrzył, na czem właściwie polega w jego oczach różnica między mną a tobą— odezwał się Opecki — ale zadziwia mię ów separatyzm między wsią a miastem, odczuwany nawet przez takiego prostaka.

Tadeusz uśmiechnął się.

W tej chwili z bocznej drożyny, dotykającej bitego gościńca, doleciało gromkie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Tadeusz rozpoznał głos ks. Rzuta i, ku wielkiemu zdziwieniu, ujrzał księdza idącego piechotą w pośrodku kilkunastu włościan i włościanek, spieszących, jak się domyślić było można, na jarmark.

— Na wieki wieków—odpowiedział kłaniając się. — Ale dlaczegoż to tak po apostolsku? — zapytał, powstrzymując wierzchowca.

— Czas ładny, a chodzić lubię. Idąc pieszo, więcej się widzi—odrzekł ksiądz, zbliżając się z wyciągniętą na powitanie dłonią ku jeźdźcom.

— Kolega i przyjaciel, Lucjan Opecki—przedstawił Głębocki.

— Bardzo mi przyjemie. Panowie do miasta?

— Tak, na chwilę... Jeżeli ksiądz pozwoli, będziemy towarzyszyć..

Zeskoczył z konia, toż samo uczynił Opecki, mówiąc:

— Rad jestem tej propozycji, bo mię już w kolanach skurecz chwycił.

— Ksiądz wikary z samych Czarnowód pieszo?—spytał po chwili Tadeusz. — Kawalek drogi...

— To mój zwykły kurs. Nawykłem z młodych lat do chodzenia, i robi mi to nawet przyjemność. Przytem nie idę bez celu...

W oczach obydwu młodych ludzi odmalowało się zaciekawienie.

Ksiądz, obejrzał się poza siebie. Gromada chłopska szła o kilka kroków za nimi, trzymając się przez uszanowanie w pewnej odległości. Rozmawiano również.

Ksiądz, zniżywszy cokolwiek głos, mówił:

— Wiedźcie, moi panowie, szaty duchowne wkładają na mnie obowiązek obcowania z tymi oto młodszymi braćmi. Do tego kościół ani plebanja nie wystarcza. Kto chce chłopca pouczać, musi go znać, a poznać go można jedynie przez ciągłą styczność, przez ustawiczne baczenie na jego sprawę. Trzeba żyć z nimi, inaczej, one hasła rzucane z ambony, będą jak wiara bez uczynków, martwe.

Opecki trącił ukradkiem Tadeusza, wyrażając w ten sposób swoje zdziwienie, głośno zaś z serdecznym entuzjazmem zawołał:

— A dajże się ksiądz za te słowa uściskać! Bodaj-by się tacy na kamieniach rodzili!

I schwyciwszy rękę wikarego, potrząsł nią po przyjaciel-sku. Ten niemniej serdecznie odplacił uściskiem za uścisk, i zatracając z mazurska, ciągnął:

— Bo widzita, moi panowie, ten nasz lud, jak każ-

den zresztą, kiedy idzie do kościoła, kiedy przed ołtarzem Pańskim uklęknie, to nietylko ciało, ale duszę odświętnie przystraja. Inny on w chałupie, inny w świątyni, inny z Bogiem, inny z ludźmi, taksamo jak każdy z nas. W kościele nie ma go co poprawiać, modli się gorąco, kazania słucha, tu go nic do grzechu nie przywodzi... Ale w tygodniu jedna tylko niedziela! Co z tego, że go się w ten jeden dzień zdrowem ziarnem posili, dobrą drogę ukaże, jeśli by potem samopas ostawić? Zapomni, wywietrzeje mu z głowy wszystko... A zresztą, o czembym ja na kazaniu prawić, nie wiedząc, co ich boli? co cieszy? czego im potrza? Gadałoby się, aby gadać i jak przez wody przejechał! I słusznieby niejednen mógł pomyśleć: a skąd ksiądz wie o tem, skoro u mnie w chałupie nie postał? będzie mój żywot sądził, a nie wie jako żyję, bo nie widział...

Przerwał i zaczął otrzępywać zakurzoną od dołu sułtanę.

— Bodajby się tacy na kamieniach rodzili — powtórzył Opecki.

— Nie chwał pan! nie chwał, bo nie ma za co! Robi się swoje i koniec.

— Niezwykły człowiek — szepnął Tadeusz, i zwracając się do wikarego, zagadnął:

— A cóż lud na to? Czy też oni oceniają zabiegi i troskliwość księdza wikarego?

— I jak! O... o... chłop nasz nie jest głupi! Zrazu nieufny i trudno go przekonać, ale gdy komu zawierzy, to choć na grzanekę smaruj!

Zamyślił się. W twarzy Głębockiego odmalowało się również zaduma. Szli parę kroków w milczeniu. Wreszcie Opecki, którego oczy pytały ciekawie, przemówił, nawiązując przerwana rozmowę:

— Nietatwem to jednak musi być zadanie, rozumie się, kto je pojmuje tak, jak ksiądz dobrodziej.

— Z początku... tylko z początku! Ale nie trzeba się zrażać. Kiedy przed rokiem nastąpiłem do Czarnowód, ani mi przez myśl nie przeszło, że pójdzie tak gładko. W parafji jakiś czas nie było księdza, bo proboszcz staruszek za-



niemógłszy, wyjechał na kurację do Warszawy, w dworze ludzie obcy... Włościanie prawie że odwykli od życzliwego słowa. Ale jak zacząłem im deptać po piętach, do chałup zaglądać, o to i o owo dopytywać, złamały się pierwsze lody i dziś z pociechą mogę stwierdzić, że nienadaremnie pukałem... Łatwiej mi to może przyszło jak innym, bo sam pochodzę z chłopów, w chacie urosłem... Ale kto chce, to i wiele może...

Zwrócił życzliwie uśmiechniętą twarz na Tadeusza.

— Ot, niedaleko szukając, pan Głębocki! Byłem kiedyś na jarmarku... Żebyście wiedzieli, że w okolicy chłopi o niczem nie mówią, tylko o tem, jak e ś c i e pogorzalców odbudowali... Rozniosło się o tem...

Tadeusz, poczerwieniawszy zlekka, przerwał:

— Cieszę się słowa księdza wikarego. Więcej w tem jednak zasługi ojca niż mojej...

I trochę zażenowany pochwałą, zażartował:

— Ale, jak słyszę, to ksiądz częstym gościem na jarmarkach.

— A jakże. Bylem czas miał, trzcina w garść, i do miasteczka! bo w i d z i c i e, nigdzie się chłopą lepiej nie pozna, jak właśnie na jarmarku, w drodze, na targowisku...

— Dlaczegoż-to?—spytał Opecki.

— Bo w i d z i c i e — tłumaczył przekonywającym tonem — tu on znowu inny, niż w chałupie. W domu to się jeszcze czasem przyczai, czasem coś ukryje, nie zawsze widać go całego. Bo kto idzie na jarmark, temu albo smutek, albo wesele, i czy to w jednym czy w drugim wypadku potrzebuje się wygadać. Posłuchajcie i n o, brzęczą jak pszczoły w ulu!

Ukazał ręką po rozsianych na gościńcu gromadkach włościan.

— Ten wie dzie krowę na sprzedaż — mówił w dalszym ciągu — bo grosza potraza. Markotno mu wyzbywać się gądziny, to i rad o swem strapieniu pogwarzy; drugiemu szkapą zdechła, inny wytyrał się z przyodziewku, a inny jeszcze ma sprawę w sądzie i po to tylko na jarmark idzie, aby się ludzi poradzić. Każdy coś z sobą i w sobie niesie i dość

zagadać, a zacznie się wywnętrzać i dowiesz się często niejednego, czegobyś gdzieindziej w rok nie wymacał.

Dochodzili do tak zwanych rogatek. Tu kończył się gościniec wozowy, a zaczynał nierówny, wyłobiony kołami bruk. W wąskiej uliczce było tłoczno od ludzi. Tłum rozstępował się przed idącymi, kłaniając się nisko. Kilka kobiet, co bliższych, ujrzawszy księdza, podchodziło i całowało go w rękę. Zatrzymywał się czasem, pytając o to i owo.

W rynku z trudnością przeciskali się pomiędzy szeregiem wozów i tłokiem żydowskiej gawiedzi, otaczającej każdą furmankę. Krzyk, gwar, niekiedy śmiech, a nawet klątwa dzwoniły w powietrzu. Żydzi darli się prawie gwałtem na fury, dobierali się do worków zboża, chwytali garść ziarna, oglądali, cmokali, pytając o cenę i handrycząc się w niebogłosy. Chłopi opędzali się jak mogli łapczywości handlarzy, pokrzykując nawzajem z wozów, i potrzaskując z batów, dla odstraszenia zbyt natarczywych kupców.

Robiło to wrażenie obleganego taboru, zwłaszcza, że w pogwarze podniesionych głosów ludzkich rozbrzmiewało niekiedy rżenie koni lub krzyk pędzonego na targ bydła.

W dalszej części rynku, ku oberży, do której zmierzali, tłok był niemięjszy. Do ustawionych rzędem kramów i budek o płóciennych dachach, pchała się ciżba narodu: kramarze zapraszali kupujących, wychwalając towar; niektórzy, zanurkowawszy w tłum, ciągnęli opierającego się chłopka, namawiając do kupna, prawie prosząc, inni targowali się zawzięcie, bijąc w wyciągnioną dłoń i opuszczając za każdym uderzeniem po parę groszy od naznaczonej pierwotnie ceny.

Czapnicy i krawcy handlowali najzawzięciej, był też przy kramach z czapkami i odzieżą ruch i harmider największy. Szamotano się poprostu z przypuszczalnymi nabywcami. Czapnicy nakładali gwałtem czapki na głowy brojących się parobków i gospodarzy, podsuwali lusterka krzycząc:

— Przejrzyjcie się gospodarzu! Rodzona kobieta was nie pozna, tak wam ładnie!

Krawcy obcesowo zmuszali do przymierzania wszelkiej

odzieży, klepiąc po ramionach, obracając chłopem jak wrzcionem dokoła i drąc się raz po raz nad uchem:

— Jak ula! Szlachecki ubiór! Ja wam każę kupić! Będziecie mi kiedyś dziękować! Ja wam każę!

Oszołomieni krzykiem chłopci, po chwilowym oporze w milczeniu poddawali się wymowie krawca, czasem jednak zakłócała nad głowami pięść ściśniona, tłum przy kramie zaczynał falować i przeraźliwy wrzask: „gwałtt! rozbójnik!“ przerzywał powietrze.

Opecki nigdy czegoś podobnego nie widział, więc, co chwila przystając, rozglądał się ciekawie.

— Jakie tu mnóstwo żydów!—odezwał się do wikarego.

— O! jest ich! Ludność miasteczek przeważnie żydowska.

— Muszą wyzyskiwać chłopów?

— Wyzyskują... Choć i wśród nich bieda. Spójrzaj pan na te wybladłe twarze...

W tej chwili kilku żydków, stojących pod drzwiami oberży, dojrawszy idących, podskoczyło, wołając:

— Jaśnie pan pozwoli! ja potrzynam konia!

— Gaj weg! — wołali nadlatujący później.

Tadeusz rzucił cugle najbliższemu. Drugi co prędzej dobrał się do uzdy kasztanowatej wierzchówki Opeckiego.

— Wprowadźcie do zajazdu — rozkazał Głębocki i zwracając się do ks. Rzuta, zaproponował:

— Ks. dobrodziej dotrzyma nam towarzystwa. Przekąsimy, pogawędzimy...

I ruszył przodem.

W progu oberży powitały go przyciszone głosy:

— A purec von Głębokie! a junge Głębocki!

Stojący w drzwiach, różnego wieku izraelici pokłonili się z uszanowaniem.

W oberży pełnej dymu tytoniowego, zastali kilkunastu ziemian, między innymi Styczyńskiego.

Ten zaciągnął przybyłych do swojego stolika.

Zjawił się sam gospodarz z jadtospisem w rękę.

Żydzi zaczęli również podchodzić bliżej, szwargocąc z cicha między sobą.

Podano zakąski.

Rudy, o suchotniczym wyglądzie żydek, skorzystawszy z oddalenia się właściciela oberży, który karcącym wzrokiem trzymał ich dotąd na uboczu, coprędzej zbliżył się do Głębokiego.

— Czy jaśnie pan co niekaże? — spytał, czapując przy każdym słowie.

Tadeusz przypomniał sobie o poleceniu matki.

— Jeżeli masz ochotę — rzekł wyjmując kartkę z kieszeni — to skocz do apteki. Możesz wstąpić także na pocztę. Listy i gazety do Głębokiego...

— Wiem, jaśnie panie! Wiem! Ktoby nie znał.

— To i dla mnie zabierz — wtrącił Styczyński.

Jeden z ziemian siedzących w drugiej salce zaczął wołać:

— Berek! a chodźno-tu! pokaż się!

Rudy żydek znowu podbiegł z niskim ukłonem.

— Wstąpisz do Fajbusia i weźmiesz dla mnie: dwa garnce oliwy do maszyny, pół centnara kratówki na brojniaki... Czekać... i... Zapomniałem... No to pójdiesz drugi raz, bo się gdzieś konotatka zapodziała — dysponował szlachcic.

— A wstąp po drodze do Majer-Kaczki, żeby mi przyniósł z piętnaście funtów zrazówki. Tylko ładnej! — odezwał się drugi.

— To ja sam przyniosę, jaśnie panie!

— Rypaj!

Berek wybiegł, pozostali współwyznawcy zaczęli marmotać półgłosem.

— Z czego to jednak żyje? — spytał, zwracając się do księdza Opecki.

— Ze mnie, z pana, z tych tam — odrzekł wikary, prowadząc oczyma po sali.

— Takich typów już się zagranicą, a bodaj w Warszawie nie spotyka — zauważył w dalszym ciągu Opecki, przyglądający się z widocznym zaciekawieniem chałatowemu otoczeniu.

Styczyński wtrącił:

— Zasywilowali się. A i na tych przyjdzie z czasem kolej.



— Zasymilujmy najpierw chłopca — mruknął jakby do siebie wikary.

Drzwi otwarły się z trzaskiem. Do oberży wszedł ubrany w nieprzemakalny płaszcz Rodowski.

Poprawił monokla i jął wołać:

— Kogo widzę? Pan Tadeusz! Niespodziewałem się nigdy, a zwłaszcza dziś.

— Cóż w tem tak nadzwyczajnego? — spytał Głębocki, podając mu rękę.

— Przecież dziś w Głębokim goście! uroczystość. Sędzia pojechał deklorować pana Wilkosza. Nic pan o tem nie wie? Musieliście się rozminąć w drodze.

Tadeusz pobladł.

Ogarnęła go nagle duszność, i tępy ból fizyczny zaświdrował pod czaszką. Próbował ostatnim wysiłkiem woli zapanować nad wzruszeniem, ale myśli zaczęły mu się wicherzyć coraz bezładniej, nieuchwytniej, a coraz boleśniej. Do fizycznego osłabienia przyłączyło się teraz stokroć przykrzejsze uczucie, jakby wielkiej straty, której mógł uniknąć, a na którą z zupełną samowiedzą się zgodził, uczucie pełne ciężaru, a zarazem groźnej pustki i próżni. Działo się w nim coś, co było i żalem i skrucą i gniewem wzgardliwym i odrzuceniem i prośbą gorącą i prawdą i kłamstwem, co złorzeczyło i lkało, co, mając słodycz bez granic, truło jadem bezlitośnym, piekło, szarpało, co tworząc, niweczyło, a zniweczone zmartwychwstawało skargą, wyrzutem, winą.

W tej rozterce zastygł prawie i była chwila, że wydało mu się, że jest sam, sam jeden w jakimś chaotycznym kłębowisku oskarżających głosów, bez słów usprawiedliwienia, bez obrony—tylko z piękącym żalem w piersiach.

Szczęściem w pierwszej chwili nie zauważono wrażenia, jakie przyniesiona przez Rodowskiego wiadomość na Głębockim wywarła. W sali, pełnej dymu tytoniowego, było ciemno, nadto stolik stał w najdalszym okien kącie.

Przytem Rodowskiemu, jego zwyczajem, nie zamykały się usta. Wszczął zaraz dysputę ze Styczyńskim, następnie z ks. Rzutem na inny znów temat, wreszcie Opeckiego, który mu się na wstępie zaprezentował, jął wypytywać

o ostatnie wypadki polityczne, o stanowisko „koła polskiego“ w Berlinie i tym podobnie.

Dało to Tadeuszowi możność ochłonięcia o tyle, iż zrozumiał, że pozostawać dłużej wśród bądźco bądź obcego otoczenia nie może, że mu odetchnąć powietrzem trzeba i w samotności szukać spokoju i zatraconej równowagi myśli. Ciężyły mu oczy ludzkie.

Po krótkim wahaniu zwrócił się półgłosem do Opeckiego:

— Posiedź tu chwilkę, ja zaraz wrócę. Muszę odebrać plany od budowniczego.

Opecki skinął głową. Zastanowiła go jednak niezwykła bladość Tadeusza, który powstawszy miał teraz twarz zwróconą do światła.

— Co ci jest, Tadziu? — Czyś słaby? — spytał powstając również.

— Trochę mi niedobrze. Wypiłem parę kieliszków wódki, a tu takie gorąco...

— Może wyjść z tobą?

— Nie! nie! Pocóż? ja zaraz wracam.

Co rzekłszy, skierował się pospiesznie ku drzwiom.

*d. c. n.*

# Dusiciele w Bengalu

POWIEŚĆ

tłomaczyła Eugenja Żmłjewska.

(Ciąg dalszy).

Fakir przemówił parę słów w języku Tamul, drzwi otworzyły się na oścież.

Za niemi był znowu korytarz, prowadzący do fosy szerokiej i pełnej wody. Trzeba ją było przebyć po moście zwodzonym.

Fakir gwizdnął przeciągle. Na ten sygnał, po przeciwnej stronie ukazał się drugi strażnik. Zamienili ze sobą słów parę; spuszczone most z wielkim chrzęstem.

Za mostem była żelazna krata; otworzył ją trzeci strażnik.

Gdy podróżni minęli tę zapórę, z piersi ich wyrwał się okrzyk zachwyty.

Przed oczyma ich był klasztor wspaniały, jego krużganki, misternie rzeźbione wychodziły na śliczny ogród. Z tych murów biła moc potężna, lecz zarazem i spokój.

Na śniadej, nieprzeniknionej twarzy fakira wykwił uśmiech.

— Wszystko to twoje, sahibie—rzekł. Dopóki zechcesz zaszczycać te mury swą obecnością, dopóty żyć w nich będziesz w najzupełniejszym bezpieczeństwie, albowiem nawet władza wicekróla rozbija się o progi Świętego Domu. Będziesz w nim otoczony służbą dyskretną a wierną... znajdziesz cały wykwił europejskiej cywilizacji i liczne roz-

rywki. Jestem szczęśliwy i dumny, że cię doprowadził szczęśliwie do schronienia punditów.

— Ja zaś, fakirze — odparł kapitan z godnością — dziękuję tobie i tym wszystkim, którym moje ocalenie zawdzięczam.

Wzruszony do głębi, fakir ukląkł, chwycił rękę kapita-  
na, ucałował ją i rzekł:

— Oni raczyli powierzyć mi staranie o twe wygody, dopóki bawić będziesz w tych murach. Jestem twoim niewolnikiem.. umrę szczęśliwy w dniu, w którym ręka ich na mnie zacięży za to, że zgwałcił przysięgę krwi. A teraz pozwól zaprowadzić się do apartamentów, przygotowanych dla ciebie.

Krużgankiem, wykładanym mozaiką, doszli do pawilonu z oknami, wychodzącymi na ogród.

Istotnie, już od progu bił przepych. Pokoje zasłane były dywanami, zastawione przedmiotami sztuki. Każdy z gości miał swój apartament osobny z łazienką, biblioteką, fajczarnią.

Marjusz i Johnny widzieli w lustrach odbicie swych postaci w przebraniu indyjskiem.

— Człowiek się nie znudzi w tym klasztorze — mówił prowansalczyk. — Moznaby przysiądz, że to jaki jacht magnacki.

— Well, well, ten klasztor nie ustępuje naszym dwudziesto-piętrowym kamienicom z telefonami, elektrycznością, parą i wodą, ciepłą i sełcerską... na wszystkich piętrach—odrzekł Jankes.

— To forteca, do której żaden z naszych wrogów nie zdoła przeniknąć—wtrącił kapitan.

— Będziemy mogli żyć tu szczęśliwie i kochać się serdecznie. Wszak prawda, drogie dziecię—zakonkludowała mistress Klaudja.

— O tak, pani—szepnęła Mary, rzucając jej się na szyję.



## ROZDZIAŁ VII.

Rekonwalescencja Mary. — Bezsenności, halucynacje, zmory. — Sztuczny sen. — Suggestja. — Posłuszeństwo ślepe. — Nieczułość fizyczna. — Uzdrawienie. — Odzyskany spokój. — Dzieci majora piszą do ojca. — Odjazd wysłańca. — Szczekanie wśród nocy. — Pies. — To Bob! — Konający Hindus.

Życie zbiegów ułożyło się niebawem. Nagłe przejście od niebezpieczeństw do zupełnego spoczynku miało swój urok dla tych ludzi czynu.

Bez Szeląga i jego towarzysze jedli, pili, kąpali się, odbywali drzemki, palili hukias, czyli wonny tytoń, przechadzali się w cieniu drzew niebotycznych, słowem, wypoczywali po trudach ciężkiej podróży.

Mistress Klądjka pielęgnowała Mary, wracającą do zdrowia i powoli starała się uspokoić jej dziwne podniecenie nerwowe.

Mary miewała okropne halucynacje, które ją dręczyły nawet we śnie.

Śmierć lady Richmond wstrząsnęła całym organizmem dziewczeczki, pozbawionej w pełni szczęścia matki ukochanej.

Mary mieszkała z hrabiną, która jej nie opuszczała na chwilę. Pierwsze noce były ciężkie. Zaraz po uśnięciu, Mary to rzucała się konwulsyjnie, to sztywniała, z ust jej wylewał się potok słów, świadczących, że przeżywa tę straszną chwilę we śnie.

— Mamo!... strzeż się — wołała — nic mu nie mów... nie potrącaj go... on się zaczaja... O Boże!... litości!... Nie, to niemożliwe! Podnosi sztylet... Krew... Mamo! Mamo! Już mnie nie słyszy!.. Moja matka nie żyje... Umarła!

Hrabina tuliła dziewczeczkę do piersi, przemawiała do niej kojąco. Jej słodki głos uspakajał ją, odganiał na chwilę te straszne widziadła.

Ale niebawem Mary wydawała okrzyk przeraźliwy, popadała w rodzaj katalepsji i całemi godzinami leżała sztywna, nieruchoma, jak martwa.

Biedna pani Klaudja nie wiedziała, co z nią począć. Zwierzyła się ze swym niepokojem przed mężem. Kapitanowi przyszło na myśl zasięgnąć rady fakira.

Po przybyciu do klasztoru, usunął się on z przed oczu Europejczyków. Na wezwanie kapitana przybył jednak zaraz.

— Przyjacielu—rzekł mu tenże bez ogródek—ufam twojej wiedzy i twojemu poświęceniu i odwołuję się do obu.

— Jesteś moim władcą... rozkazuju.

— Chodzi o dziewczeczkę, którą na moje prośby wyleczyłeś z febry dżungli. Otóż miewa ona sny okropne, zmory ją trapią... Czy możesz ją wyleczyć powtórnie?

— Z łatwością.

— Kiedy?

— Bodaj zaraz, jeśli taka twoja wola.

— Chodźmy więc do niej.

Po drodze kapitan opowiedział szczegóły fakirowi, tak iż ten mógł działać natychmiast, bez badania chorej.

Od swego przybycia do pagody, Mary nie widziała go ani razu. Ujrzawszy go nagle, wzdrygnęła się ze wstrętem i trwogą, ale zapanowała nad tem wrażeniem, wyrzucając je sobie, jako niewdzięczność.

On uklonił się nisko, podniósł głowę i ogarnął nagle dziewczeczkę spojrzeniem ostrem, jak stal.

Chciała spuścić oczy, uniknąć tego wzroku, który jakby przygniatał ją.

Trwało to parę sekund za ledwie, poczem źrenice dziewczeczki drgnęły, powieki opadły.

— Śpisz, prawda? — spytał ją fakir.

— Śpię — odpowiedziała Mary głosem zmienionym, prawie bezdźwięcznym.

— Skoro śpiesz, będziesz mi posłuszną.

— Tak, będę.

— A więc rozkazuję ci zasnąć dziś wieczorem o dziewiątej snem spokojnym i spać do wschodu słońca... obudzi cię śpiew słowika... Żądam, abyś spała bez snów... bez halucynacji... Czy słyszysz?... Ja chcę... ja rozkazuję...

Mary drgnęła, po całym jej ciele przebiegł dreszcz lekki,

potem schyliła głowę i odpowiedziała tym samym głosem bezdźwięcznym, dochodzącym jakby z oddali:

— Tak, będę posłuszną wszystkim twoim rozkazom.

— Tak samo słuchać mnie musisz jutro... pojutrze...  
zawsze.

— Tak, zawsze.

— Obudzisz się za chwilę, gdy ci małżonka sahiba rozkaże... Ale wtedy zapomnisz, com ci mówił we śnie... Zapomnisz nawet, żem cię uśpił... Ja tak chcę!

Pani Klaudja i jej mąż patrzyli ze zdziwieniem i niedowierzaniem na tę scenę niezwykłą.

— Czyż sądzisz, fakirze — spytała hrabina — że twoja wola, bez pomocy lekarstw, uzdrowi tę dziewczkę?

— Mógłbym na to przysiąc. Zobaczysz, sahib, jak będzie miała spokojny sen dziś w nocy.

— Czy ten twój rozkaz wystarczy na zawsze?

— Tak.

— A gdyby później, gdy ciebie nie będzie, powtarzały się te zmory?

— Wtedy uśpij ją, sahib i każesz jej być spokojną. Wydasz rozkaz w takim tonie, żeby się nim przejęła, jak własną wolą. Będzie posłuszną tobie, tak jak mnie.

— Wątpię, czy zdołam ją uśpić. Czyż ona zresztą usnęła doprawdy?

Fakir uśmiechnął się, wziął długą szpilkę złotą ze szmaragdowym łebkiem, którą pani Klaudja przypinała kapelusz.

Zanim hrabina i jej mąż domyślili się, co uczynić zamierza tą szpilką, przeszył nawskroś ramię Marji. Dziewczkę ani drgnęło.

— Czy teraz wierzysz, że ona śpi? — spytał fakir.

— To zdumiewające! — zawołała Klaudja, widząc, że Mary nie odczuwa bólu.

— Obudź-że ją z tego snu — prosił kapitan.

— To jej nie zaszkodzi, przeciwnie, pomoże, a wolę, żebyś ty ją obudził, sahibie. Nic jej o tem nie wspomnisz, co tu zaszło, a ona nie będzie pamiętała.

Odchodził już, ale się zawrócił i rzekł do Mary tonem rozkazującym:

— Ilekroć pani hrabina każe ci spać, uśniesz odrazu... ja tak chcę. Będziesz jej słuchała, tak jak mnie. Ale tylko jej... opierać się masz innym wpływom... ja tak chcę.

— Będę posłuszna—szepnęła Mary.

Fakir wyszedł cichutko. Mąż i żona patrzyli ze zdumieniem na dziewczeczkę, dziwując się, że śpi, choć ma oczy otwarte i że nie widzi ich wcale. Wreszcie hrabina szepnęła głosem drżącym:

— Kochana Mary, obudź się.

Powieki dziewczęcia drgnęły, oczy nabrały wyrazu. Obudzenie było natychmiastowe. Mary nie pamiętała istotnie, co się z nią działo, przypominała sobie tylko, że do pokoju wchodził fakir. Reszta dnia upłynęła spokojnie.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim niepokojem mistress Kludja oczekiwała ziszczenia się obietnic fakira.

Na parę minut przed dziewiątą senność ogarnęła Mary.

Dziewczę nie obawiało się już ciemności ani mar, które ją zwykle trapiły. O dziewiątej punkt usnęło snem cichym.

Hrabina nie chciała wierzyć własnym oczom.

Sen słodki trwał przez całą noc, dopiero o brzasku Mary zaczęła się obracać na posłaniu. Wreszcie pierwszy promień słoneczny ozłocił kopułę minaretu, przezierającą wśród zieleni, w gęstwinie odezwały się dwa słowiki. W tejże chwili dziewczeczka otworzyła oczy. Pani Kludja stała przy niej, uradowana.

— Spałam wybornie!—zawołała Mary.—Co mi się stało? Żadnych snów, żadnych widziadeł! Mój Boże! gdyby to tak zawsze!

— Zobaczysz, już się te zmory niepowtórzą. A teraz wstawaj i skorzystaj z porannego chłodu, aby napisać list do ojca i donieść o waszem sierotwie.

Dotychczas biedne dzieci nie mogły spełnić tego obowiązku. Mary była zanadto chora i podrażniona, a brat jej nie mógł pisać sam, boby to zaniepokoiło ks. Richmondu.

Pani Solignac pozostawiła dzieci same. Popłakały się rzewnie, opisując szereg nieszczęść, które na nie spadły w tak krótkim czasie.



Po skończeniu listu, za radą kapitana, Patrycy dodał takie post scriptum:

„Naturalnie opowiedzieliśmy o wszystkim hr. de Solignac i pokazaliśmy twój list, donoszący o skarbie naszego dziada. Pamiętamy dobrze oboje z Mary, że mama zamknęła ten list w żelaznej szkatułce w twoim gabinecie.

„Ważny to szczegół, wedle zdania hr. de Solignac. Powiada on, że ta szkatułka musiała być ogniotrwała i że dokument pozostał w niej nietknięty.

„Gruzy i zgliszcza naszego domu zawaliły tę szkatułkę. Nasz dobroczyńca powiada, że należy ją odgrzebać jaknajprędzej, wydobyć papiery i schować je w miejscu bezpiecznym.“

Nie dość było list napisać, trzeba było jeszcze znaleźć posłańca pewnego, któryby go zaniósł do najbliższej poczty.

Fakir zaproponował przewodnika Scindji. Był to Bengalis bardzo sprytny, i wytrzymały na wszelkie trudy fizyczne. Fakir odpowiadał za niego, jak za siebie.

Dano mu list, z poleceniem, by go zaniósł do Shergotty, miasta w pobliżu Gagi. Nie trzeba było opłacać porta, albowiem na mocy układu z rządem, poczty przewożą darmo korespondencję, otrzymywaną i wysyланą przez wojskowych.

Ma hut wyruszył nazajutrz rano, obiecując pośpieszyć się i wywiązać się sumiennie z polecenia.

Jego wyprawa miała potrwać dni dziesięć.

Biedne dzieci uczuły się spokojniejsze, na myśl, że otec otrzyma o nich wieści niebawem.

Czekały już tylko chwili sposobnej, aby móżd dotrzeć do Peschaver, głównej kwatery wojska, od której szkocki pułk Gordon musiał być niezbyt odległym.

Cały tydzień upłynął w spokoju i ciszy. Mary odzyskała sen i była już zupełnie zdrowa.

Mistress Kludja, Bez Szeląga, Marjusz i Johnny, przyzwyczajeni do życia ruchliwego, zaczęli już wzdychać do nowych przygód; lecz fakir, pełen zawsze nieufności, odradzał im wylaniać się po za obręb tych murów. Wysłał był kilku ludzi zaufanych na wywiady i oczekiwał ich powrotu, aby powziąć stanowczą decyzję.

Wówczas to zdarzył się wypadek, błąhy napozór, który jednak miał niebawem sprowadzić skutki niespodziewane i straszne.

Było to podczas nocy burzliwej. Nikt z przygodnych mieszkańców pagody nie mógł zmrużyć oka. W tem, pomimo grubych murów, pomimo oddalenia i wycia wiatru, zdało im się, że słyszą psie szczekanie.

Patrycy zawołał:

— Zdaje mi się, że poznaję głos Boba...—Biedna psina po katastrofie kolejowej znikła bez śladu.

Przez całą noc chłopak myślał wciąż o swoim czworonogim przyjacielu i był coraz pewniejszy, że to on dobija się do wrót klasztornych.

Zaledwie dzień zaświtał, chłopak zwierzył się ze swoich przypuszczeń kapitanowi. I on także słyszał szczekanie. Poszli natychmiast po fakira. Znaleźli go niebawem i wszyscy trzej postanowili wpuścić Boba, jeśli to był on.

Ukuli się do jedynych wrót tego warownego klasztoru. Fakir kazał spuścić most zwodzony. Doszli po nim przed wrota żelazne, wprawione w granitowe bryły. Fakir, zawsze nieufny, otworzył okienko we wrotach i rzekł do Patrycego:

— Niech młody Sahib wyjrzy.

Chłopak przyłożył oko do otworu i aż krzyknął z radości. U wrót leżał jego pies, nawpół żywy, a obok psa jakiś Hindus, podobny raczej do szkieletu.

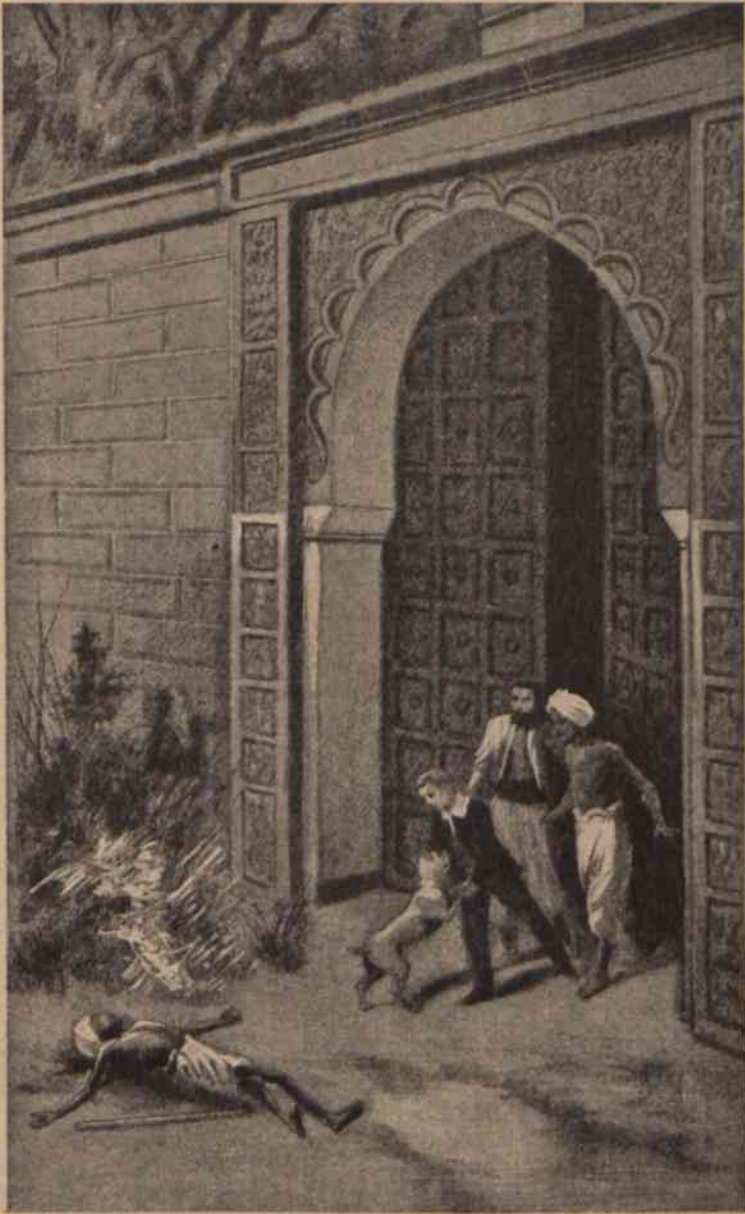
— Bob! — zawołał Patrycy. — Bob! — pocziwa psino! To ty!

Na dźwięk tego znanego głosu, biedne zwierzę wstało i oparło się przednimi łapkami o wrota, skomlać żałośnie.

Temu skomlaniu zawtórował jęk Hindusa, biednej ofiary głodu.

— To pewno który z naszych towarzyszków podróży — zawołał Patrycy.

Fakir uchylił żelazne wrota. Bob rzucił się do swego pana i ostatkami sił objawiał swą radość. Patrycy wziął go na ręce i całował jego czarny pyszczek, witał się z nim jak z człowiekiem.



Fakir uchylit żelazne wrota. Bob rzucił się do swego pana (patrz str. 728).

Skoro tylko pies wszedł do fortecy, fakir chciał zamknąć podwoje, nie troszcząc się o swego współplemieńca.

Ten jęknął jeszcze boleśniej. Fakir wzruszył tylko ramionami.

— Pagoda nie jest angielskim szpitalem—mruknął—to miejsce święte, gdzie pierwszy lepszy wejść nie może.

— Ależ ten człowiek dogorywa! — oburzył się kapitan.

— To jego rzecz.

— Nie, my nie możemy pozostawić go bez ratunku.

— Ty, sahibie, rozkazujeś, ja jestem twoim sługą posłusznym.

— A więc każę ci zabrać go do pagody, dać mu jeść i pić, opatrzyć jego rany.

— Dobrze, sahib, stanie się zadość twej woli. Obyś tylko nie pożałował kiedyś tego dobrego uczynku.

Kapitan ujął nieszczęśliwca pod pachy, fakir z wielkim wstrętem wziął go za nogi. Wnieśli go do klasztoru.

## ROZDZIAŁ VIII.

Troskliwe pielęgnowanie. Człowiek i zwierzę powracają do życia.—Jak odnaleźli trop.—Wdzięczność bezdenna.—Czarownik.—Nienawiść fakira.—Niepotrzebna baczność.—Po raz pierwszy wódz dusicieli chybia ciosu.—

Ucieczka wśród korytarzy, po nocy.—Tajemnicza komnata.

Człowiek, bardziej jeszcze od psa, upadał z wycieńczenia.

Bez Szeląga, który nie widział nigdy ofiar głodu w Indjach, oczom własnym nie wierzył, by można schudnąć do tego stopnia bez utraty życia.

Chciał sam doglądać biedaka i wydzielać mu pożywienie małemi dawkami, stopniowo.

Przenieśli go do kuchni. Gotowało się tam kilka garnków z ryżem.

Bez Szeląga dawał najprzód głodomorowi po łyżce wo-



dy z sokiem, co pięć minut przez godzinę, następnie pozwolił mu zjeść trochę ryżu.

Hindus wracał do życia, w oczach jego zapalała się myśl. Spoglądał na kapitana z wdzięcznością niewymowną i szeptał cichutko:

— Dziękuję, sahib, jeszcze... jeszcze...

To błaganie głodomora było tak bolesne, zdradzało tyle cierpienia przebytych, że hr. Solignac był wzruszony do głębi.

Tymczasem Patrycy zajmował się psem i postawił mu talerz z taką porcją baraniny, że trzech ludzi mogłoby się nasycić.

Bob rzucił się łapczywie — po pięciu minutach talerz był wylizany ze szczętem. Pies, przed chwilą płaski jak deska, zaokrąglił się odrazu. Usiadł na tylnych łapach i spoglądał wciąż na talerz, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Zjadłbym drugi taki.

— Dość już, Bob—rzekł Patrycy, głaszcząc go czule. — Chodź ze mną do Mary... Słyszysz: do Mary?

Na dźwięk tego imienia, Bob chciał podskoczyć, ale siły odmówiły mu posłuszeństwa.

— Dalej Bob—za mną—Uap! uap!—wołał Patrycy.

Pies wstał i stanął za swoim młodym panem, ale zanim wyszedł z kuchni, zbliżył się jeszcze do Hindusa i otarł się o niego. Chciał mu jakby powiedzieć:

— I o tobie nie zapomnę, towarzyszu niedoli i ciężkich przygód.

Głodomór wyciągnął suchą rękę i psa pogłaskał, szepcząc:

— Cieszy się... pocziwa psina, odnalazł swego pana, ale ja... ja... nie mogę być nawet psem nieczym...

Kapitan ujrzał łzę w jego oku.

— Nie troszcz się o przyszłość—rzekł mu serdecznie. — Ci, którzy cię wyratowali, nie opuszczą cię i nadal.

Wyczerpany takim wysiłkiem, Hindus popadł w sen i leżał nieruchomy na macie.

Kapitan kazał go przenieść do pokoju dość obszernego i umeblowanego wygodnie i zażronił dawać mu jeść, bo się obawiał, że mu przeładowanie żołądka zaszkodzi.

Nazajutrz głodomór czuł się znacznie lepiej, odzyskał już zupełną przytomność umysłu, choć był jeszcze okropnie osłabiony. Patrycy przyszedł go odwiedzić wraz z siostrą i z Bobem.

Na widok tych obojga pięknych dzieci, usta głodomora wykrzywiły się do przyjaznego uśmiechu. Bob już zupełnie wypoczęty i nasycony łąsił się i okazywał mu wdzięczność.

Urywanemi słowami nieszczęśliwy Hindus opowiadał, jak wszyscy padli ofiarą katastrofy kolejowej. On jeden został wydobyty z pod gruzów, przez ludzi wyprawionych na ratunek.

— Więc byłeś pomiędzy tymi biedakami, którzy błakali się po naszym ogrodzie i wsiedli do wagonu w Obozowisku Nędzy?

— Czyż mnie nie poznajesz, młody sahibie?

— Dziwne spotkanie!

— Opowiem, jak się tu dostałem... Wasz pies... zdychał... Dałem mu pić... Pobiegł za mną... szukał was wszędzie... na miejscu wypadku... Szukał... kręcił się... wreszcie zdało mi się, że wasz ślad zwęszył... ale niebawem ślady ludzkie urwały się, natomiast wystąpiły ślady słonia.

— Tak, tak.

— Wtedy pies szedł tropem słonia... ja za nim.. bo nie wiedziałem, co z sobą począć... Spałem przy nim... na ziemi... Żywiłem się korzonkami... I tak dotarliśmy tutaj... nawpół żywi...

Ta opowieść była bardzo prawdopodobną, a potwierdzała ją jeszcze przywiązanie Boba do towarzysza wędrówki i niedoli.

Patrycy i Mary nie poznawali biedaka dlatego prosto, że wszyscy ci głodomorowie tak są podobni do siebie, że trudno ich rozróżnić.

Przyjrzyjcie się fotografiom tych nieszczęśliwców, odwzajemnianych grupami w angielskich dziennikach ilustrowanych.

Wszystko to szkielety, powleczone skórą zeschniętą; wyraz twarzy, jednakowoż nadaje im niemal podobieństwo rysów.

Bądź co bądź ten człowiek poznał dzieci majora, znał ich psa, wiedział o pewnych szczegółach, a przytem był nie-szczęśliwy nad wyraz i miał prawo do litości tych istot współczujących i szlachetnych.

Polubiono go za jego nędzę. Tylko fakir patrzył na niego krzywo i przy lada sposobności okazywał mu wstręt, graniczący z nienawiścią.

Należy dodać, że dobrodziejstwo padło na wdzięczną niwę.

W miarę, jak biedakowi wracały siły, okazywał dobroczyńcom wdzięczność, bardzo rzadką u ludów wschodnich, a objawianą w sposób tak subtelny, że wprost zdumiewała u tego człowieka prostego, wydziedziczonego.

Zaglądał wszędzie, interesował się wszystkim, starał się być użytecznym, wkradał się coraz bardziej do serca swoich dobrodziejów.

Pani Klaudja i Mary przepadały za kwiatami. On to spostrzegł i codziennie przynosił im najwspanialsze okazy, rosnące dziko w ogrodzie. Patrycy lubił bardzo ptaki. Hindus umiał zwabić głosem najdziksze, najbardziej płochliwe.

Przykładał do ust pierwszy lepszy liść, przekłuwszy go pośrodku i wydawał dźwięki smutne. Ptaki zlatywały się natychmiast. Siadały mu na głowie, na ramionach, podfrwały do Patrycego i wreszcie oswajały się z nim zupełnie.

Chłopak drżał z radości, że może przyglądać się zblizka tym cudom natury, tak kształtnym i barwnym, które pa-trzyły na niego oczyma błyszczącemi, jak czarne brylanty.

Patrycy zaprzyjaźnił się szybko z Hindusem i nie opu-szczał go prawie, a Bob biegał szybko za nimi.

Słowem, ten głodomór w niespełna dwa tygodnie zdo-był sobie łaski wszystkich, z wyjątkiem fakira jedynie. Pier-wotna nieufność tego ostatniego zmieniła się wkrótce w dzi-ką nienawiść. Śledził go wytrwale, zajadle, w nadziei, że go kiedy schwyta na szpiegowaniu lub porozumiewaniu się z kim-kolwiek nazewnątrz.

Napróżno, Hindus był zawsze jednakowy, gorliwy, przy-wiązany, gotów do wszelkich poświęceń.

Pewnego wieczoru, widząc go błądzącego po nieskoń-

czonych korytarzach gmachu, fakir uczył w sobie nieprze-partą żądzę mordu.

Tamten szedł wciąż naprzód, zagłębiał się w owym labiryncie. Wyszedł już z pagody, zamieszkałej przez zbiegów i zmierzał ku budowlom, opuszczonym od lat wielu. .

Fakir kroczył za nim boso, stąpając na palcach wśród ciemności, z którymi oczy jego były oswojone.

Rozwinął czarny fular dusicieli i trzymał go oburącz za końce.

Nagle skokiem tygrysa wpadł na swą zdobycz; Hindus, nie wiedząc, że jest śledzonym, szedł spokojnie.

Z szybkością myśli, fakir zarzucił mu na szyję lekką tkaninę i zacisnął węzeł ruchomy tak zręcznie, jak tylko Thugowie potrafią.

Lecz zamiast krótkiego rżenia, wydobywającego się zwykle z piersi ofiary, usłyszał wybuch śmiechu, który go uderzył, jak policzek.

Po raz pierwszy wódz Thugów bengalskich, któryby nie zdołał zliczyć swych ofiar, Berar dusiciel, chybił. Po jego śniadem ciele przebiegł dreszcz zgrozy, zimny pot pokrył mu ciało.

Fakir był pewien, że to są czary, że przeciwdziałała tu jakaś siła nadprzyrodzona, a wyższa od jego wiedzy i mowy.

Tymczasem Hindus uciekał wśród ciemności. Berar zaklął — puścił się za nim i dopędził go. Już się na niego rzucił, zgrzytając zębami, już był pewien, że go chwyci, gdy pocichutku otworzyły się drzwi boczne. Uciekający wpadł w nie, Berar, z rozpostartemi rękoma popędził za nim. Znaleźli się w dużej sali sklepionej, okrągłej, oświetlonej blaskiem księżyca, wpadającym przez okienko u góry w kształcie trójlistka.

Nie było innego wyjścia, jak drzwi owe. Przynajmniej Berar żadnego innego nie znał. Jego przeciwnik oparł się o ścianę cedrową, zagrządzając mu drogę.

Berar rzucił się znowu na niego z zabójczym fularem i chciał go zdusić, ale nie zdążył. Pod naciskiem niewidocznej sprężyny, zachwiała się ściana i odstłoniła przejście, w które wpadł ścigany.



Natychmiast ściana zajęła dawne miejsce, przed nosem zmięszanego Berara. Wybuch śmiechu smagnał go znowu. Rozwścieczony wódz Thugów począł bić pięściami w tę ścianę, która jednak stawiała opór, choć w nią z całym siłą uderzał.

## ROZDZIAŁ IX.

Berar zwyciężony. — Ciemnica. — Więzienie. — Kamienne schody. — Przejście ukryte. — Napad na świętą Pagodę. — Opór niemożliwy. — Uwięzieni. — Podstęp dla wyprowadzenia pani Klaudji. — Wściekłość Bikanela. — Kilka ostrych słów prawdy. — Wyjście. — W ruinach. — Pies i słoń. — Straszna pogróżka.

Upłynęło parę minut. Berar, przejęty nagle strachem, usłyszał nad swą głową ten sam śmiech, złowrogi, szyderczy, przypominający pisk hyeny.

Cofnął się o kilka kroków i zobaczył zbiega, o kilka metrów pod sufitem, na kamiennym balkonie.

Z tego niedostępnego schronienia mógł drwić bezkarnie z przeciwnika.

Głos, dotychczas stłumiony i słodki, nabrał odrazu doniosłości i siły.

— Prawda Berar, żem się spisał gracko — zawołał gło-domór.

— Znasz moje imię, nędzniku? O! wtłoczę ci to imię do gardła!

— Milez, głupcze jeden, skoro dałeś się wywieść w pole, jak dziecko, jak owi cudzoziemcy, którzy mnie przyjęli, nakarmili, uratowali mi życie...

— Ha! domyślałem się tego.

— Dobrześ się domyślał. Istotnie, pragnąc dostać się do świętej Pagody, głodziłem się na śmierć. Po mistrzowsku odgrywałem rolę ofiary z Obozu Nędzy... Byłem tam... na miejscu katastrofy kolejowej... wysłuchałem zwierzeń konających, którzy znali dzieci majora... obłaskawiłem Boba.

Niedarmo jestem pogromcą węży i czarownikiem ptaków i umiem pozyskać i psie serce. Przywlokłem się nawpół żywy do wrót tej pagody, którą znam lepiej od ciebie we wszystkich jej zakątkach.

— Cóżes ty za jeden? — wybełkotał Berar, coraz bardziej wylękniony.

— Raczę ci odpowiedzieć, ty, marny sługo punditów... ślepy wykonawco zemsty brahmanów... dwukrotnie urodzonych... dwukrotnie znienawidzonych i przeklętych.

— Strzeż się!... Bluźnisz świętym!

— Głupcom szkodliwym, okrutnym i uroczystym, tyle o nich dbam, co o świński ogon... Znam wszystkie tajemnice tych fałszywych świętoszków, znam wszystkie ich kryjówki... moja zemsta ścigać ich będzie wszędzie i wszędzie ich dosięgnie.

— Raz jeszcze pytam: coś za jeden?

— Jestem tym, który doradził Anglikom zbezczęścić zwłoki Narindry... Jestem znieślawionym brahmanem, zaprzańcem swej wiary... Jestem uosobieniem nienawiści kast, duszą zaprzędaną rządowi angielskiemu, zaciętym wrogiem tych, którym ty służysz... Jam jest Bikanel!

Wobec tego oświadczenia, wypowiedzianego z nیکczenną przechwałką, Berar odzyskał zimną krew. Zrozumiał, że obecność Bikanela w pagodzie grozi wielkim niebezpieczeństwem kapitanowi i jego drużynie i że ratować ich trzeba.

To też, nie dbając już o agenta policji angielskiej, któremu nie uczynić nie mógł, postanowił corychlej uprzędzić kapitana i jego sługi, zawołać im:

— Gotujecie się do walki zaciętej, bo nieprzyjaciel wtargnął w te mury!

Berar odwrócił się tyłem do balkonu, na którym dawny brahman stał w bladym świetle księżycy i zmierzał ku drzwiom, ale z piersi jego wyrwał się krzyk wściekłości — drzwi były zamknięte.

Bikanel z szyderczym śmiechem zawołał:

— Mój biedny Berar, jesteś ostatnim głupcem i niedołągą... Jaktó, nie znasz tajemnicy tej starej rudery!... Do-

wiedz się zatem, że przejście, przez które się tu dostałem, połączone jest z owemi drzwiami w ten sposób, że nie mogą się otworzyć bez mojej woli. A ponieważ ja ich otworzyć nie chcę, zatem jesteś skazany na śmierć głodową. Dowiedzenia, Berar, a właściwie, żegnaj mi na zawsze!

Po tych słowach szatan wcielony schodami ukrytymi w grubym murze zeszedł z balkonu.

Owe stare pagody, budowane jak fortece średniowieczne, posiadają niezliczoną ilość tajemnych przejść, korytarzy, ciemnic, więzień, klap, podwójnych drzwi i pułapek.

Ponieważ było zupełnie ciemno, Bikanel zapalił lampę, którą tam postawił w przewidywaniu tego, co wyniknie. Potem zaczął zstępować powoli, ostrożnie po schodach, na które wyzierały okienka, jakby otwory ścieków. Dotarł do fundamentów podziemi, ułożonych z kostek granitowych, spojonych żelaznemi klamrami.

Nawet armaty nie zdołałyby wzruszyć tych podstaw.

Znalazł się w ciemnicy bez innego wyjścia, na pozór przynajmniej, oprócz tych schodów kamiennych.

Odliczył ośm kroków, zwrócił się na prawo, znowu odliczył trzy kroki i stanął, grzebiąc nogą w warstwie cienkiego piasku, którym posadzka była przysypana.

Namacał jakiś przedmiot okrągły, wystający. Nachylił się, i przy świetle lampy przekonał się, że to istotnie żelazne kółko.

— Mam pamięć dobrą — szepnął — a jednak dziesięć lat już upłynęło od czasu, jak praktykowałem w charakterze brahmana w świętej Pagodzie.

Postawił lampkę na ziemi, chwycił kółko oburącz i z całym siłą pociągnął, opierając się na kolanach.

Granit zgrzytnął, potem — rzecz dziwna — jedna połowa posadzki zapadła się, a druga podniosła się wzdłuż wewnętrznej ściany. W zapadniętej połowie ukazał się otwór w kształcie arkady, wykutej w fundamentach.

Agent policyjny wszedł pod te arkady i znalazł się wśród skał zawałonych, na których wyrastały krzaki karłowate, bardzo gęste i najeżone cierniami.

Nad głową świeciły mu gwiazdy, księżyc ukrywał się za drzewami figowemi, opasującemi fortecę.

Bikanel był pod gołem niebem. Gwizdnął przeciągle, usiadł na skale i czekał.

W parę minut potem pod drzewami dało się słyszeć takie samo gwizdnięcie, a potem doleciał szelest liści.

Bikanel świsnął ostro, jak wąż jadowity, naja, którego ukąszenie bywa zawsze śmiertelnem.

W tejsze chwili dwudziestu ludzi otoczyło go kołem.

— Czy już wszystko gotowe? — zapytał jakiś olbrzym, przebrany po indyjsku, z czarną maską na twarzy.

— Tak, milordzie, wszystko już gotowe. Proszę iść za mną do pagody. Wejdziemy tam przejściem ukrytem.

— Well. A kiedy?

— Zaraz.

— Nie wymawiając, czekam już dość długo.

— Cierpliwość jest zaletą dzieci Wschodu, obcą ludom zachodnim; nie wiedzą one, że to nasza największa siła.

Po tych słowach, wypowiedzianych sentencjonalnie, agent wsunął się w potajemne przejście. Inni szli za nim, gęsiego.

Wkroczyli do piwnicy, skąd wychodziły schody kamienne, wstąpili na nie, zamknawszy wpierw drzwi do skrytego przejścia.

Bikanel otwierał pochód, niosąc nad głową lampę i wskazując drogę tamtym.

Stąpali boso, na palcach, ze sztyletami w ręku prawem, gotowi rzucić się na każdego, ktoby im drogę zastąpił.

Agent prowadził ich bocznemi korytarzami, wychodzącymi na schody, tak, by uniknąć sali, w której fakir był zamknięty i przeznaczony na śmierć głodową.

Doszli niebawem do pawilonu, w którym zbiegowie mieli swe apartamenty.

Ci, ufni w grubość murów i w środki ostrożności, zachowywane u drzwi wehadowych, które uważali za jedyne wejście, spali najspokojniej.

Agent postawił straż u wejścia i rozkazał mordować





Nagle skokiem tygrysa wpadł na swą zdobycz. (patrz str. 794.)

bez litości każdego, z wyjątkiem kobiet, kłoby próbował ucieczki.

Po wydaniu tak okrutnego rozkazu, wszedł do pokoju, gdzie kapitan Pennyles spał pod osłoną od mustyków. Obudziło go lekkie stąpanie zakradającego się Bikanela. Przy świetle nocnej lampy dojrzał niewyraźnie jakąś postać i zapytał:

— To ty, fakirze? Cóż się stało?

Agent w odpowiedzi chwycił poduszkę, skoczył, jak tygrys i przydusił nią kapitanowi usta, aby nie mógł wezwać pomocy.

W tej chwili z pół tuzina zbirów rzuciło się na Bez Szeląga.

W mgnieniu oka został związany, zakneblowany, nie mógł się poruszyć, nie mógł wydać okrzyku.

Ten gwałt został spełniony pocichutku tak, że pani Klaudja, spoczywająca z Mary w sąsiednim pokoju, nie zbudziła się nawet.

Chodziło teraz o obezwładnienie Johnna i Mariusza, zajmujących pokój po drugiej stronie korytarza.

Mimo niezwykłej siły i dzielności obu towarzyszków, walka z nimi nie trwała długo. Zaskoczeni we śnie, nawpół uduszeni poduszkami, przytrzymywani za ręce i nogi przez zbirów, ulegli temu samemu losowi, co ich dowódca. Zostali, tak jak on, spętani, zakneblowani i rzućeni na posadzkę.

Należało jeszcze załatwić się z panią Klaudją i Mary. Spały one, nie nie słysząc, tak samo jak i Patrycy, zajmujący pokój pomiędzy obu apartamentami.

Zaczęto od chłopca. Bob, współnik mimowolny, zamiast wznieść alarm szczekaniem, ujrawszy swego przyjaciela Hindusa, począł mu lizać ręce i wymachiwać radośnie ogonem.

Patrycy, nawpół obudzony, uśmiechnął się i zapytał nędznika, czego sobie życzy.

Bikanel zbliżył się z uśmiechem, a gdy był tuż przy chłopcu, schwycił go za gardło, zakneblował i związał w mgnieniu oka.

Z panią Klaudją sprawa była trudniejsza. Król Srebrny

zabronił stanowczo, by nie używano wobec niej przemocy.

Trzeba było zatem uciec się do podstępów.

Nikezemny policjant zlekka do jej drzwi zapukał. Ona spytała, kto tam, i czego chce?

Naśladując głos fakira, Bikanel odparł:

— Sahib prosi panią hrabinę, aby się ubrała i zeszła. Jest w wielkiem podwórzu północnem.

— Czy wiesz, po co mnie wzywa?—pytała Klaudja, zdziwiona.

— Chce przy świetle pochodni łowić ryby w sadzawce. Ten połów ma się odbyć wspaniale. Sahib prosi panią hrabinę, żeby się pośpieszyła.

Młoda kobieta ubrała się szybko, zbudziła Mary, oznajmiła jej o tej wyprawie i dla większego pośpiechu pomogła jej się ubrać.

Zajęło to parę minut zaledwie.

Pani Klaudja i Mary, rade z tej niespodziewanej rozrywki, wyszły na korytarz i szukały oczyma fakira, który miał je zaprowadzić do sadzawki.

W korytarzu znalazły się nagle wobec Hindusa, uratowanego ich pieczołowitością od śmierci głodowej. Dziwny wyraz jego twarzy przejął je trwogą.

Za Hindusem stało z pochodniami ze dwudziestu ludzi, zupełnie obcych Klaudji, uzbrojonych, jak do boju, o twarzach złowrogich.

Hrabina de Solignac odrazu domyśliła się, że to zasadzka i głosem donośnym zawołała:

— Jerzy!... Na pomoc! Zdrada! Zdrada!

Chciała wracać do swego pokoju po strzelbę. Ale Bikanel, szybki, jak myśl, drzwi jej zastonił i głosem stanowczym oświadczył:

— Wzywanie ratunku na nic się nie zda. Kapitan Penyles jest spętany i nie może ratować, ani pani, ani siebie. Radzę pani poddać się dobrowolnie, inaczej będę zmuszony użyć siły.

— Ja mam się poddać Hindusowi?... to tak, jak gdyby mi kazano słuchać rozkazów Murzyna... Nie, nigdy!

Bikanel zbladł ze wściekłości.

— Jestem dowódcą policji krajowej—oświadczył.

— Jesteś łotrem... szpiegiem i zdrajcą!

— Niech się pani nie zapomina!

— I pomyśleć, żeśmy przygarnęli tego głodomora, żeśmy go wyratowali od śmierci po to, by się nam tak odwdzięczył. Są dobrodziejstwa, które kalają dobroczyńców...

Słuchając tych słów, które go chłostały, jak różgi, Bikanel pienił się i w porywie szalonej wściekłości, chwytając hrabinę za rękę, zawołał:

— Aresztuję panią w imieniu cesarzowej i królowej!

— Nędzny niewolniku, jak śmiesz mnie dotykać! — krzyknęła ze wstrętem i wyrwijając mu rękę, podniosła ją i spoliczkowała zdrajcę.

On, rozwścieczony jeszcze bardziej, wrzasnął:

— Aresztowałem panią w imieniu królowej... Teraz biorę cię do niewoli w imieniu własnem... Sędziowie angielscy mogli ci okazać pobłażliwość... ja będę nieubłaganym... Odtąd ty i wszyscy twoi stajecie się pastwą mej zemsty i nienawiści. Gorzkimi łzami zapłacisz mi za tą zniewagę!

Hrabina de Solignac na tę pogroźkę odpowiedziała śmiechem dumnym i wzgardliwym, który go dotknął jeszcze boleśniej, niż policzek.

— Dość już tych pogroźek — zawołała. — Wiedz, że nie na świecie nie zdoła wzbudzić we mnie obawy. Nie ulękałam się gorszych postrachów, ty jesteś dla mnie nędznym straszycielem na wróble... Możesz nas dotknąć boleśnie, ale nigdy nas nie powalisz, a tem bardziej nie onieśmielisz...

— To są czcze słowa. Zmięszalyby może nikczemnego niewolnika, ale mnie nie ustraszą. Człowiek taki, jak ja, wzrusza tylko na nie ramionami.

Trzymał w ręku długą szarfę jedwabną, lekką i powiewną. Ta szarfa w jego ręku zdawała się obdarzona życiem. Nagle, ruchem niesłychanie zręcznym, właściwym kuglarzom, owinął ją dokoła rąk pani Kludji, przywiązał je do kolana, a następnie spętał jej nogi.

Nieszczęśliwa kobieta nie mogła się poruszyć, aby nie upaść. Ale nie chciała ani się poddać, ani uznać się za zwyciężoną, dodała więc szydlerczo:



— Jest baletnica w moim kraju rodzinnym, Loïe Fuller, która umie także pokazywać sztuki kuglarskie z szarfami, ale ona robi to daleko lepiej od ciebie. Powinienbyś się od niej nauczyć.

Wobec tych nowych szyderstw, świadczących o zupełnym spokoju ducha, Bikanel zgrzytnął zębami i ściągnął szarfę mocniej.

Pani Klaudja zachwiała się i omal nie upadła. Mary, będąca dotychczas niemym i odurzonym świadkiem tej sceny, podtrzymała swą przyjaciółkę i rzuciła policjantowi jedno tylko słowo: „podły!“.

Widząc, że nie skruszy tych natur żelaznych, Bikanel skinął na swoich zbirów, którzy przez cały ten czas stali nieruchomo, jak posągi. Czterech ludzi wystąpiło naprzód; na kamiennych płytach posadzki przydusili ogień pochodni i rzucili się na panią Klaudję i Mary.

Wzięli je na ramiona i wynieśli za Bikanelem, który im drogę wskazywał.

Przez wyrafinowane, iście wschodnie okrucieństwo, chciał on stawić wobec męża dzielną kobietę, która nie dała mu się pokonać. Widząc, że drogi towarzysz jej życia leży związany i zakneblowany obok wiernych sług i Patrycego, zadrżała z gniewu na sprawcę tego ohydneho gwałtu. Przyzywając w pomoc wrodzoną sobie odwagę, zamiast płakać i lamentować, zaczęła sztydzić:

— Kochany Jerzy—mówiła swobodnie—jak tylko odzyskamy wolność, to poproszę cię, abys kazał wymierzyć pięćdziesiąt trzecin temu niegodziwcowi, który nie ma nawet wdzięczności żołądka, jeśli już nie serca. Dwadzieścia pięć dostanie za Mary, a dwadzieścia pięć za mnie. Jako kobiety jesteśmy skłonne do litości, ale on jej nadużył. Prawda Mary?

— Tak, pani, zostanie oćwiczony po dwadzieścia pięć razy za każdą z nas, ale mocno. A ty, braciszku, bądź spokojny. To wszystko fraszki.

— Brawo! Mary!—zawołała hrabina. — Pomimo tak uroczystych przygotowań, można tylko drwić z tej przygody. To są karykatury nie ludzie, i chcą nas wystraszyć karyka-

turami tortur. Drogi Jerzy, możesz na mnie liczyć, tak jak ja liczę na ciebie. Wiesz, iż pozostanę ci wierną w życiu i w śmierci.

Kapitan Pennyles leżał nawznak i mógł poruszać tylko oczami. Przyglądał się też żonie z zachwytem, miłością i żalem.

Jęknął ze wściekłości, żyły mu nabrzmiwały na skroniach, ale po chwili odzyskał spokój i wzrokiem pełnym pogardy obrzucił Bikanela, który na słowa młodej kobiety odpowiedział:

— To życie nie potrwa długo, ale będzie tak okropnem, że wasze zuchwalstwo skruszeje. A teraz zabierajcie mi tych wszystkich i wychodźcie ztąd zaraz. Dość już słów! Teraz przysła kolej na czyny.

Zbirowie pochwycili kapitana, obu marynarzy, panią Kludję, Patrycego i Mary i wynieśli ich z pagody; zdążyli ku głównemu wyjściu, nie troszcząc się wcale o strażników, których garstka była za szczupłą, aby stawić opór silnemu i zbrojnemu oddziałowi. Zresztą brakło ich dowódcy fakira do podniecenia odwagi, a oni, sami przez się, byli narzędziami biernymi, niezdolnemi do oporu.

Bikanel, który niegdyś zamieszkiwał świętą Pagodę, w charakterze brahmana, znał wszystkie jej tajemnice, kazał więc spuścić most zwodzony i otworzył żelazne podwoje. Ponury orszak przez osłonięty korytarz wychodził z ruin, gdy okropne szczekanie rozległo się wśród ciemności. Bikanel poznał głos Boba i mruknął.

— Wstrętne psisko! Powinienem był go otruć lub wrzucić do fosy, uwiązawszy mu kamień u szyi. Zresztą nic nam nie zaszkodzi.

W chwilę potem wśród ruin dały się słyszeć ciężkie kroki i oddech potężny, jakby syczenie, potem znany okrzyk: „Huinck“. To słoń Rama, pozostawiony przez długi czas w spokoju i zupełnie już zdrów, wynurzał się ze stajni, aby zobaczyć, co znaczą te nocne hałasy.

Przychodził tu zresztą codziennie po łakocie, które miał zawsze dla niego przyjaciel — kapitan. Zwierzę, pamiętając, że mu życie wyratował, okazywało mu wiele przywiązania.



Nędzny niewolniku, jak śmiesz mnie dotykać! (patrz str. 742).

I teraz oto Rama podniósł trąbę nad tą grupą i węszył; rozumne zwierzę poznało zapewne swego wybawcę bo mruknęło kilkakrotnie z zadowoleniem.

Ale Bikanel kazał go odpędzić kamieniami. Słoń oddalił się, sapiąc i dysząc.

Opodal pachółkowie trzymali konie osiodłane. Wśród ciemności rozbrzmiał szyderyczy głos Bikanela:

— Jako nowy przybysz w nasze strony, pan kapitan Bez Szeląga nie zna zapewne, czym jest Wieża Milczenia. Ponieważ wieża będzie miejscem ostatniego zamieszkania i spoczynku dla niego i jego towarzyszy, zatem czuję się w obowiązku objaśnić go, co to takiego.

## ROZDZIAŁ X.

Czcielec ognia. — Wyższa rasa. — Wieża Milczenia. — Święte obrządki. — Dziwny pogrzeb. — Sępy. — Stara Dakma z cegły. — Opuszczenie. — Zgłodniałe sępy. — Zemsta Bikanela. — Straszne okrucieństwo. — Biedna kobieta!

Gwebrowie, czyli Parsowie, tworzą sektę religijną, liczącą bardzo wielu wyznawców w Indjach angielskich.

Czczą oni ogień, a ich kult sięga czasów Zoroastra, to jest trzech tysięcy lat przed chrześcijańską erą.

Mają niektóre dziwne obyczaje, przynajmniej z naszego punktu widzenia, trzymają się ich ślepo, choć są bardzo oświeceni. Parsowie bowiem stoją dziś w Indjach na czele postępu, który przenika do tego starego społeczeństwa, zaśniedziałego od wieków we wschodnim, fatalizmie.

Spokojni, pracowici i trzeźwi, przyswajają sobie łatwo obce języki, przemysł, handel i rachunkowość narodów oświeconych.

Oddają się także naukom i sztukom europejskim i potrafią zdobywać na tem polu stanowiska wybitne. Wszyscy, ci nawet, którzy sprawują najskromniejsze obowiązki i oddają się najprostszym zawodom, są ludźmi wybitnymi,



posiadają duże wykształcenie i przy okolicznościach pomyślnych mogą zejść bardzo wysoko.

Słowem Parsowie tworzą rasę silną, oświeconą, a przytem tolerancyjną, doskonale przygotowaną do wszelkich postępów cywilizacji.

Wychodząc z zasady, iż żywioły są symbolami boskości, twierdzą oni, że ziemia, woda i ogień nie powinny być skalane w żadnej okoliczności, przez zetknięcie z ciałem zgniłym. Ztąd wynika jeden z ich najdziwaczniejszych obyczajów a mianowicie, iż pozwalają trupom rozkładać się na powietrzu.

Dla uzasadnienia tego zwyczaju powiadają, że skoro człowiek przychodzi na świat zupełnie nagim, więc powinien też opuszczać go nago. „Atomy naszych ciał — tłumaczą — powinny być niszczone jaknajprędzej, tak by ziemia, nasza matka, oraz żywe istoty, przebywające na niej, nie zostały skalane przez zetknięcie z trupem.“

Aby taki rozkład ciał mógł się dokonywać należycie, wedle pewnych obrządków i bez szkody dla publicznego zdrowia, Parsowie zbudowali tak zwane Wieże Milczenia, czyli Dakmy, w których następuje ów rozkład.

Wieże Milczenia są zatem cementarzyskami Parsów, bardzo rozpowszechnionymi w Indjach; bywają nawet budowane dla przestępców. Dokoła samego Bombaju jest ich siedm, wznoszą się na wzgórzu Malabar-Hill, prześlicznej miejscowości, otoczonej kwiatami i zielenią, z poza której wyzierają ładne domeczki i wille.

Tak złowrogie sąsiedztwo nie odstrasza bowiem zwolenników świeżego powietrza i letniego wypoczynku.

Zresztą Dakmy bywają okolone wspaniałemi ogrodami, które zwiedzający mogą podziwiać z wysokości sagri, to jest trzech kaplic, w których Święty Ogień utrzymywany jest bezustanku.

Co zaś do samych wieżyc, są to gmachy olbrzymie okrągłe bądź z kamienia, bądź z granitu, bądź z cegły, zbudowane mocno, tak by się mogły oprzeć wszelkim zmianom powietrza i przetrwać wieki.

Wszystkie są pobielane wapnem. Wysokość tych bu-

dowli, zwanych przez Europejczyków wieżami, nie odpowiada bynajmniej ich średnicy. Weźmy na przykład wieżę bombajską. Ma ona trzydzieści metrów średnicy, a tylko dwaście metrów wysokości. Pośrodku jest studnia, głęboka na pięć metrów i piętnaście metrów długa; przez otwór w murze prowadzi ona do czterech kanałów, kończących się jamami, napełnionymi węglem.

Dokoła tych studni biegnie pochyła okrągła płaszczyzna, na której składane bywają ciała.

Ta okrągła platforma podzielona jest na siedmdziesiąt dwa przedziały trzema rzędami, jakby szprychami olbrzymiego koła.

Każdy z takich przedziałów, głębokości dwudziestu centymetrów zaledwie, służy do przechowywania trupa, dopóki ten nie stanie się zupełnym szkieletem.

Trwałoby to zapewne bardzo długo, gdyby całe legjony sępów w przeciągu paru godzin nie podejmowały się tej pracy zdrowotnej.

Dodać należy, iż liczby 3 i 72 są święte: pierwsza przedstawia trzy zasady Zoroastra, druga liczbę rozdziałów Yasny, jednego z oddziałów Zenda-Westy.

Na zakończenie tego opisu, niezbędnego do dalszej opowieści, dodajmy, że okrągła platforma okolona jest balustradą wysokości pięciu metrów, zasłaniającą ten wstrętny widok.

Na tej balustradzie obsiadają niezliczone sępy—zwykli goście tych żałobnych wieżyc. Wysiadują tam godzinami całymi, w promieniach palącego słońca, czatując na przybycie konwoju, idącego zawsze w tym samym porządku.

Najprzód niesione bywa ciało, owinięte w białą płachtę, złożone w trumnie żelaznej, potem kroczą tragarze, także w bieli—stanowi to czoło orszaku; krewni, przyjaciele, w szatach białych, spętani po dwu chustami, kroczą w pewnej odległości za ciałem.

Orszak zbliża się powoli. Sępy znają go dobrze i dojrawszy, trzepią skrzydłami, wyciągają szyje, dziobią pazurami balustradę i w sposób ohydny zdradzają swą pożądliwą żarłoczność. Tragarze otwierają podwoje żelazne, wy-

chodzące na platformę. Niosą trumnę do przedziałki, w której nieboszyk ma spocząć, wykonują pewne obrządki, wymawiają pewne słowa, poczem kładą ciało, zupełnie nagie, w jego właściwej przedziałce, czyli kesz i wychodzą z trumną i całunem.

Skoro tylko drzwi zamkną, sępy rzucają się na trupa. Z nienasyconą żarłocznością szarpia go, tłoczą się jeden przed drugim, trzepią skrzydłami, pastwią się nad swą ofiarą.

W krótkim bardzo czasie znika skóra, mięsny i żyły, pozostaje sam tylko szkielet, wobec którego sępy są bezsilne.

W dwa tygodnie potem wracają ci sami tragarze z żelaznemi hakami, w rękawicach, biorą szkielet, odmawiają nad nim uświęcone wyrazy i rzucają go do studni środkowej, z której już nigdy wyjść niema.

O pięć lub sześć mil od świętej Pagody istniała kolonja Parsów, złożona z rolników i drobnych kupców.

Mieszkali tam od czasów niepamiętnych i wioskę swą zdołali przekształcić w istny Eden.

Ich potężni sąsiedzi, brahmami, dopomagali im zawsze dzielnie, mimo różnicy wiary.

Dopóki brahmami zamieszkiwali świętą Pagodę, dzięki ich sąsiedztwu, kolonja Parsów była kwitnąca.

Ale po rozproszeniu się Punditów i Gwebrowie zmniejszyli się liczebnie; przetrwało w nich jednak przywiązanie do ziemi rodzinnej, tem silniejsze, że w pobliżu była Wieża Milezenia, czyli Dakma.

Sterczała ona samotnie wśród dżungli, o jakie dwadzieścia kilometrów od miasteczka Parsów. Rzadko bardzo przynoszono tam trupa jakiego wyznawcy. Była to gratka nielada dla sępów, które z przyzwyczajenia zapewne obrały tu swą stałą siedzibę. Ztąd wylatywały w okolice w poszukiwaniu padliny—bawołu zdechłego z głodu lub też jakiejś pomniejszej zdobyczy. Słowem, wciąż zgłodniałe drapieżniki otaczały tę Dakmę, będącą ich Obozowiskiem Nędzy.

Owego poranku sępy objawiały żywe wzruszenie na widok licznego orszaku, zmierzającego ku opuszczonej Dakmie.

Orszak konny szybko się zbliżał.

Konie stanęły o dwadzieścia kroków od Dakmy. Przed jeźdźcami na siodłach przytroczone były ciała, jakby tłomoki. Spuszczono je. Tych ciał było cztery—trzy duże i jedno małe. Ucieszyło to sępy zgłodniałe, bo choć nie umiały liczyć po ludzku, spostrzegły, że żer będzie obfite.

Tragarze nie byli przywdziani w białe szaty urzędowych nasolarsów, nie szli też, jak tamci, w nastroju poważnym, uroczystym. Ale sępy nie dbały o nastrój, ich żarłoczność, zwiększona długim i ciężkim głodem, wzrastała z każdą chwilą.

Nagle rozbrzmiał głos suchy i urągliwy:

— Kapitanie Bez Szeląga, słyszysz mnie. Prawda? Otóż patrz, to jest Wieża Milczenia, ostatnie miejsce spoczynku Parsów po śmierci. Stanie się ona grobem twoim i twoich towarzyszy...

Taka więc była tortura, obmyślana przez tego okrutnika dla więźniów. Chciał ich oddać żywcem na pastwę sępom z Dakmy. Z tych dzielnych ludzi miały pozostać beziemienne trupy.

Tylko człowiek Wschodu zdoła obmyśleć i wykonać okrucieństwo podobne.

Nikt w całym orszaku nie oparł się temu. Nikt, nawet ten przedstawiciel rasy białej, ten potwór, Król Srebrny, którego nienawiść i zemsta miały być wreszcie nasycone w sposób okropny!

Oczywistem się wydawało, że już teraz nie na świecie nie zdoła ocalić Bez Szeląga, Johna, Marjusza i Patrycego.

Podwoje Wieży Milczenia zgrzytnęły, obracając się na zardzewiałych zawiasach. Ukazało się potworne wnętrze budynku z nachyloną platformą, ze swemi 72 przedziałkami, ułożonemi w trzech rzędach koliska, ze swą kostnicą, zapełnioną do połowy ludzkimi szczątkami.

Czterej skazańcy, spętani, ujrzeni to wnętrze jakby w piekielnem widzeniu.

Oprawcy wnieśli ich na platformę, ułożyli w przedziałkach, na których spoczęło już tyle pokoleń Parsów.

A gdy już leżeli nieruchomo, jak trupy, pożerani oczy-





Otóż patrz, to jest Wieża Milczenia, ostatnie miejsce spoczynku Parsów po śmierci.

ma zgłodniałych sępów, które za chwilę miały spaść na nich, wtedy Bikanel dał znak.

Podprowadzono panią Klaudję i Mary pod żelazne wrota, otwarte na oścież.

Młoda kobieta, która w krótkim swem życiu przeszła tyle, iż jej się zdawało, że nic gorszego już jej spotkać nie może, na ten straszny widok doznała takiego uczucia, jak gdyby jej rąbano serce siekierą. Cierpiała tak okrutnie, że tego ludzka mowa opisać nie zdoła. Każda żyłka w niej była udreńczona, jakby ściszana kleszczami.

Nieszczęśliwa kobieta nie mogła ani jęczeć, ani płakać, ani nawet westchnąć i stała skamieniała, do miejsca przykuta. Opuściła ją energja, bo już nie było w niej nadziei, rozum płatał się bezładnie.

Nie rozumiejąc tego osłupienia, poczytując je za wyzywający spokój, Bikanel zawołał z piekielnem szyderstwem:

— Narindra, brahman potężny, gdy go spoliczkowała dama europejska, przebił ją sztyletem. Ja, Bikanel, brahman upadły, otrzymawszy policzek od kobiety białej, obmyśliłem i wykonam zemstę jeszcze okrutniejszą. Prawda, piękna pani, zem obmyślił torturę, którejby się nawet mistrz tortur nie powstydział. A teraz smacznego apetytu, panowie sępy!

Ale Klaudja już go nie słyszała. Była przecie kobietą, a wielu mężczyzn nie zdobyłoby się na tyle odwagi, co ona w poprzednich przygodach. Błada, jak trup, z błędnymi oczyma i pobielałemi ustami wydała lekki okrzyk i runęła, jak martwa. Mary, przerażona, nie miała siły jej podtrzymać. Rzuciła się na panią Klaudję i wygrażając pięścią bandycie, zawołała:

— Och, będziemy jeszcze pomszczeni!

On roześmiał się dziko i wydał jakiś rozkaz po indyjsku. Zamknięto natychmiast wrota Wieży Milczenia i wrzuciono klucz do wnętrza. W tejże chwili dwu zbirów chwyciło panią Klaudję i Mary i przytroczyło je do siodła.

Wszyscy wskoczyli na koń i odjechali w pełnym galopie, zostawiając czterech nieszczęśliwych na pastwę sępom, które rzuciły się na nich odrazu.

# Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

W dzisiejszych czasach, gdy wszelkie zdobycze cywilizacji są dostępne dla ogółu, dzięki rozwojowi przemysłu, i moda stała się mniej wyłączną; fabryki wyrabiają nie tylko kosztowne, lecz i tanie materiały, wedle wzorów najświeższych. Tkanina wełniana w cenie 2—3 rub. nie różni się pozornie od wełny za 1 rub.—1 rub. 20 kop. Różnica ujawnia się dopiero w noszeniu. Pierwszy materiał będzie miękniejszy, lżejszy i trwalszy, ale kto nie może sobie pozwolić na wydanie jednorazowo dużej stosunkowo sumy, ten kupi drugi i także będzie zadowolniony, nosząc wyrób krajowy. Cena wyrobów, nadchodzących z zagranicy, musi być koniecznie wyższa, albowiem podnosi ją cło, które kupiec opłaca, a następnie odbija sobie na klientach. Ale, na szczęście, i u nas przemysł tkacki rozwija się coraz bardziej, dlatego materiały stają się tańsze. Jakkolwiek zadaniem mojem jest odradzać wszelkich zbytków, najgoręcej jednak zalecam łaskawym czytelniczkom, aby przy kupowaniu materiałów na suknie, a zwłaszcza na okrycia, nie pozwalały skusić się zbytnej taniości, po za którą kryje się zwykle jakaś zasadzka. Taki bardzo tani materiał jest właśnie zbytkiem, bo u nas robota sukni kosztuje dość drogo, a jeśli materiał nie wart, jeśli po miesiącu spłowieje od słońca, skurczy się od deszczu, wygniecie się lub wyciągnie, to pieniądze, wydane na taką suknię, będą zbytkiem, mimowolnym marnotrawstwem.

Czuję się w obowiązku ostrzedz łaskawe czytelniczki jeszcze przed jednym szkopułem. Tym szkopułem, tą plagą

dla mężów, a nieopisaną rozkoszą dla wielu pań — są wyprzedaże. Bywa na nich zwykle ścisk taki, że jak na polu bitwy, niewiadomo, czyją jest dana ręka, dane ramię; ale, im ciałniej, tem przyjemniej; chociaż prawie niesposób docisnąć się do materiałów, choć złodzieje kradną portmonetki, ale mniejsza o to, byle kupić o 10 — 20 kop. taniej na łokciu rzecz zleżałą lub nieużyteczną. Sam fakt, że kupiec wyprzedaje towar, dowodzi, że towar wyszedł z mody, długo leżał w sklepie, więc zawadza i musi ustąpić miejsca świeżym transportom. Po co zatem dopomagać właścicielom magazynów do pozbycia się nieużytków? Te moje słowa będą zapewne tak skuteczne, jak głos wołającego na puszczy, jeżeli wszelako przekonają choć parę czytelniczek, warto je było napisać, a nawet warto będzie przy danej sposobności powtórzyć.

Teraz od uwag ogólnych przejdziemy do wskazówek szczególnych. Na wstępie zaznaczam, że fałdy i fałdeczki rozpanoszyły się na dobre; widzimy je na spódnicach, na stanikach, rękawach, ba nawet na okryciach, zwłaszcza na zakietach. Na bluzkach tworzą paski podłużne, poprzeczne, skośne, drobna kratkę; na aksamitach i sukienkach robią wrażeńie powszywanych sznureczków. Jest to ozdoba ładna i tania, wymagająca jednak bardzo dokładnej roboty.

Od naszej ostatniej pogadanki krój spódnicy uległ małym tylko zmianom, właściwie udoskonaleniom, forma pozostała ta sama: u góry gładko, coraz szerzej ku dołowi, z tyłu kontrafałda lub kilkanaście drobnych fałdeczek, wogóle tylni bryt spada płasko, co nie jest korzystnem dla osób szczupłych, jeżeli chcą stosować się ściśle do mody. Nie radzę tego nikomu, bo każda figura ma swoje właściwości, swoje usterki, które ukrywać, nie zaś uwydatniać należy. Na tem właśnie polega kunszt krawiecki. Każda z pań, jeśli niema własnego poglądu krytycznego na swoją figurę, powinna się radzić szwaczki i wedle jej wskazówek fason wybierać. Spodnice robią się teraz nie podszyte ale na podszewce, wszytej w pasek razem ze spódnicą; tę podszewkę oszywa się u dołu dwoma lub trzema falbanami, aby spódnica, rozszerzająca się stopniowo, miała na czem się opierać. Do materiałów lekkich radzimy używać na podszewkę nie kroazy, lecz lżejszej daleko i nie wiele droższej alpagi, która jest sztywniejsza, nie tak się gniece, a falbanki z niej zrobione lepiej odstają. Damy, mogące sobie pozwolić na podszycia jedwabne, pomimo to nie będą już szeleściwały jedwabiami, bo szelest został wygnany z toalety porządných kobiet, i słusznie: po co tyle hałasu, po co takie zwracanie na



siebie uwagi? Kobieta powinna przechodzić przez ulicę skromnie, a ten szelest był, bądź co bądź, wyzywającym. Na podszewki, zamiast kanausów, używane będą jedwabne i półjedwabne materje miększe i trwalsze, w rodzaju tafty. Podszewka powinna być w tym samym kolorze, co i spódnica; jaśniejsze lub odmienne kolory rażą oko przy podnoszeniu sukienek. Podszewka dopasowana jest do wierzchu, tylko szwy zszywane osobno. Dzięki temu nowemu fasonowi, łatwiej się uginać podczas deszczu.

Staniki w tym sezonie, z wyjątkiem angielskich, obcisłych, są bardzo fantazyjne, marszczone bluzkowo, z dużemi wyłogami, z kareskami z koronki, tiulu, aplikacji. Żakietki bardzo krótkie, podobniejsze raczej do *figara* lub *bolera*, najdłuższe mają zaledwie 10 centymetrów poniżej pasa, baskina w takim razie bywa wycięta w zęby okrągłe. Żakietka bolero nie sięga za pas i może być śmiało noszona jako stanik. Robi się zwykle z cieniutkiego sukienka w kolorach: czarnym, szarym, popielatym, największą ozdobę stanowi stębnówka lub aplikacje odmiennego koloru, na przykład białe na żakiecie czarnym, białe na popielatym, stębnówka przeważnie biała. Bardzo modnemi są oszycia ze skóry cielęcej, wyprawnej razem z szerscią; robią się z niej wyłogi, kołnierze, aplikacje; ale to dobre dla elegantek, które mają kilka żakietów na zmianę; gdy się ma jeden, nie warto stosować takich cudactw, które się prędko opatrzą.



Suknia fularowa do teatru i na zebrania

Notuję tę modę dla pań, lubiących rzeczy niezwykle i mogących sobie na nie pozwolić.

Pomimo wiosny, wysokie kołnierze *Médicis* nie wychodzą z użycia. Peleryny wciąż używane, bo są bardzo praktyczne, ale robią się teraz dłuższe z tyłu niż z przodu, zaokrąglone, z kapturkami, lub też oszyte frendzlą dokoła ramion. Kapelusze wiosenne odznaczają się wielką różnorodnością fasonów — od bardzo fantazyjnych, podgiętych na boku, z pękami piór i kwiatów, wstążkami, egretkami do



Suknia krojem angielskim  
i kapelusz wiosenny.

bardzo skromnych o szerokich skrzydłach, miękkim, jakby zgniecionem denku, z piórkiem, zatkniętem za wstążkę. Pióra strusie wyszły chwilowo z mody; lecz kto je ma, niech sowa starannie, bo wrócą niebawem. Wogóle nie należy nigdy „wyrzucać na śmiecie“, sprzedawać handlarzom, ani pozbywać się rzeczy kosztowniejszych, jak szale tureckie, pióra, koronki, wzorzyste materje aksamity, powinno się mieć na to osobną szufladę w komodzie, pudełko lub koszyk. Dużo miejsca to nie zajmie, a jak przyjemnie mieć takie „zapasy“ pod ręką, zamiast kupować, gdy znowu moda na nie przyjdzie, a moda wciąż wraca, bodaj w odległych odstępach. Zdałyby się nam nieraz aksamitne peleryny naszych matek lub tureckie szale babek. Praktyczne Niemki nie wyrzucają niczego: z materiałów wzorzystych robią teki, woreczki t. zw. *reticule*; z balowych sukien—portjery, pokrycia na fortepiany, na krzesła, parawaniki i t. d. starym rękawiczkom ucinają palce i noszą je przy ro-

bieniu porządków i ścieraniu kurzów; z podartych rękawiczek jelonkowych robią pochewki na zegarki, wycieraczki do piór, futerały do rączek od parasola, owijają nimi korki od flakonów, aby perfumy nie wietrzały; długim, kilkunastoguzikowym rękawiczkom balowym ucinają palce i po takiej amputacji używają ich za futerały na wachlarze, lornetki; oszywają nimi kołnierze staników, co wygląda elegancko i oryginalnie. Nawet połamane szpilki rogowe lub celulojdowe mogą służyć jako nożyki do przycinania kartek,

jako podstawki do ramek od fotografii i t. d. Trudno wyliczać użytku z każdego drobiazgu, a jednym z lepszych jest oddawanie rzeczy niepotrzebnych do domów zarobkowych i przytułków. Wozy tej pożytecznej instytucji krążą po domach warszawskich i zabierają wszystko, co dla nich



*Kostjum wiosenny i kapelusz.*



*Suknia spacerowa z krótkim żakietkiem.  
Przód i plecy.*

schowa skrzętna gosposia; chodzi tylko o to, by pomyślała o schowaniu. Nawet puste pudełka od zapalek zdadzą się biedakom. Można je składać w sklepie z wodą kolońską Abe, przy Alejach-Jerozolimskich pod № 66. Zużyte marki pocztowe, jak wiadomo, służą do tworzenia kolonji katolickich wśród murzynów w Afryce. Może mi kto zarzucić,



że to niema nic wspólnego z modą. Na taki zarzut odpowiem, że ponieważ tę rubrykę czytają przeważnie kobiety, a w ich ręku spoczywa zarząd domem, więc nie stracą, jeśli obok wiadomości o najnowszym kroju sukien, zdobędą inne, nie mniej użyteczne i dowiedzą się, że nie powinno iść na marne, bo z każdej rzeczy może być pożytek dla siebie samej lub dla drugich.

Wobec zbliżającego się szybkim krokiem maja i przygotowań do spowiedzi, oraz i pierwszej komunji, pragnę jeszcze powiedzieć słów parę o ubraniach na tą wielką uroczystość, pierwszą i największą w życiu młodzieży. Zwyczajem jest przystępować odświętnie do Stołu Pańskiego, czcić tę ceremonię nietylko wzniosłym nastrojem, ale i szata, będącą przywilejem i jakby uosobieniem czystości i skromności. To też dziewczynki ubierane bywają zwykle białą, z welonami, jak oblubienice. Suknie do pierwszej komunji powinny być przedewszystkiem skromne, aby nie rozpraszać myśli komuniantek na błahostki. Materje jedwabne są stanowczo wykluczone na rzecz muślinów, batystów, lekkiej wełnianej krepy. Spódniczka robi się do kostek, zaplisowana w drobne fałdeczki, ułożona w kontrafałdy lub zupełnie gładka. Staniczek fasonem bluzkowym, ujęty w pasek, welon z tiulu albo iluzji, spuszczone na twarz i spływający z tyłu, bez żadnych upięć, na głowie ujęty wianuszkciem. Żadnych ozdób, żadnych klejnotów, broszek, kolczyków i t. p., rękawiczki, pończochy i pantofelki powinny być białe.

Chłopcy ubierani są rozmaicie: w kostjumy białe, sukienne lub pikowe krojem marynarskim; w żakietki czarne z białym wykładanym kołnierzem i białą kamizelką, lub też w smokingi z kamizelką. Ubranie stosowane jest do wzrostu i wieku.

Sukienki dziewczynek mogą im służyć na procesję Bożego Ciała, a potem do strojnego ubrania.

\* \* \*

Wiosna już nadeszła, a z nią—wiosenne porządki, trzepanie mebli, dywanów, chodników. Takie porządki sprzyjają czystości, ale często bardzo szkodzą zdrowiu. Takie twierdzenie może się wydawać niedorzecznem. Ale zastanówmy się chwilę. Jedyne miejscem do trzepania tych przedmiotów bywa w mieście—podwórko, zazwyczaj ciasne, otoczone ze wszystkich stron oknami. Przy trzepaniu unoszą się kłęby kurzu, padają najprzód na płuca trzepiącego, a następnie przez lufciki lub okna otwarte (jak zwykle o tej porze roku) przenikają do mieszkań całej kamienicy. Na



chodnikach zwłaszcza nagromadziły się w ciągu zimy rozmaite mikroby, niejednen laszcznik suchot, to wszystko przy oczyszczaniu unosi się w powietrzu. Jaka na to rada? Jedyna: raz na rok oddawać dywany i chodniki do dezynfekcji. Kosztuje to niedrogo, a zabezpiecza od wielu smutnych następstw. Z meblami rzecz inna, na meble nikt nie spluwa, nikt nogami nie wchodzi, zatem wystarczy przetrzepać je bądź w mieszkaniu, przy otwartych oknach, bądź na podwórzu. Jeśli trzepanie odbywa się w domu, każdy me-



*Żakiecik ozdobiony stębnówką*



*Sukienka do pierwszej Komunii.*

bel po wytrzepaniu i okurzeniu trzeba usunąć zaraz z pokoju, bo trzepiąc dalej, niszczy się poprzednią robotę. Meble drewniane, zwłaszcza dębowe i jesionowe, oczyszcza się najprzód szczotką, umaczaną w ciepłej wodzie z mydłem, następnie mebel wyschnie, smaruje się go masą, przyrządzoną w tej proporcji: 20 gramów płynnego wosku, 12 gram. cukru i filiżanka piwa, po zmieszaniu tej masy, macza się nią gałganek i ociera meble. Mahoń czyści się dobrze naftą. Jeśli skutkiem wilgoci na tapetach tworzą się pla-

my, najlepiej je wywabić roztworem karbolu 1-procentowym. W 24 godzin po nasmarowaniu tapet, plamy ustępują i co ważniejsze, zarodki grzyba znikają.

Wobec zbliżającego się lata, każdy myśli o chowaniu futer. Przed schowaniem, należy jednak wyczyścić je porządnie. Czystszą się najlepiej ziarnkami pszenicy, otrębami, zaś futra białe grzanami trocinami.

*E. Żmijewska.*

### **Utrzymanie naczyń miedzianych.**

Wie o tem każdy, że naczynia miedziane, niedostatecznie pobielone, są silnie zdrowiu szkodliwe i nawet śmierć spowodzić mogą. Wprawdzie nawet nie bielone zupełnie, tylko doskonale, aż do jasnego błysku wewnątrz wyczyszczone, szkodliwemi by nie były, gdyby użycie ich ograniczyło się do samego jedynie i prędkiego ugotowania w nich przedmiotów, natychmiast po zdjęciu z ognia w inne naczynie przełożonych, czy przelanych, lecz podobnych prób w gospodarstwie czynić się nie powinno, bo w codziennem użyciu nietylko baczność nasza zawsze równie pilną i uważną być nie może, ale jakieś nagłace zajęcie domowe nieraz uwagę naszą tak na bok odciągnie, że przez chwilkę zapomnienia, o co jak wiemy, nie trudno, nieszczęście stać się może. To, co dobre w laboratorium chemika, co tam, na doświadczenie obrachowane, pożądaný wynik okaże, to dokonane w kuchni przez prostą kucharkę, nic nie wiedzącą o skutkach i przyczynach, które tu działają, bardzo nieszczęśliwie obrócić się może. Więc jest rzeczą potrzebną, aby rondle i wszelkie miedziane naczynia, nawet do wody, dobrze bielone były, aby sama pani domu, lub jej rękodajna wyręczycielka, od czasu do czasu przekonywała się, w jakim ta pobiała jest stanie, przyczem uwadze jej ująć nie powinno, jak mianowicie jest ona utrzymywana? Wewnątrz rondli, nawet dość starannie mytych i czyszczonych, okazuje się wkrótce na pobiałe osad szarawy, który, gdy kucharka chce za pomocą popiołu usunąć, i pobielanie samo nadweręża, a jednak usunąć go potrzeba, bo jest w nim niedokwas metalu dla zdrowia szkodliwy. Otóż raz na tydzień, przy zwykłym z zewnątrz wyczyszczeniu, należy rondle wygotować w wodzie z sodą, której sporo wsypać w wodę trzeba, a środek rondli okaże się tak białym i jasno czystym, jak gdyby świeżo wybielone zostały, w oszczędnem zaś gospodarstwie nie przyczyni to najmniejszego wydatku, bo woda po wygotowaniu rondli zlaną razem, służyć powinna do mycia podłogi i statków kuchennych, do czego co tydzień prócz szarego mydła i soda zwykle się dodaje. Czystczenie z wierzchu rondli tartą cegłą niszczy je

bardzo, rysuje i wyciera, obecnie też używa się niemal ogólnie proszku, w składach materiałów aptecznych na ten cel sprzedawanego, ale gospodynie dawnej daty, oszczędne nawet w drobnostkach, z których największa może rubryka wydatków domowych powstaje, radzą sobie inaczej. Otręby czy mąka razowa, zakwaszona na barszocz i z takowego wyciśnięta, wybornie tu służy; w oka mgnieniu i bez żadnego wysilającego tarcia, połysk piękny miedzi wraca tak, że są domy, w których nie używają nawet takiego barszozu „żurem“ zwanego, na użytek kuchenny, specjalnie dla oczyszczenia miedzi otręby się zakwasza. Gąszcz taki rozprowadzić wodą i tym rodzajem kłajstru posmarować brudne, okopcone rondle, na powierzchni zostawić tak na kilka minut, następnie obmyć wiechoiem z rogoży wolną wodą, obetrzeć i postawić na kilka minut na ciepłej blasze angielskiej kuchni.

L. Ćwierczakiewicz.

### Łamigłówka liczbowa.



W miejscach oznaczonych gwiazdkami wstawić liczby od 1—13, bez powtarzania, tak aby sumy liczb każdego z 4-oh boków kwadratu oraz na przekątnych były jednakowe.

### Twardy orzech dla szachistów.

Ile pól zawiera szachownica?

Niejeden powie bez namysłu—64! Gotów się nawet założyć. Tymczasem pewien wielki filozof starożytności powiedział: nie zakładaj się nigdy, bo możesz przegrać!

Weźcie papier lub karton pokratkowany jak na szachownicę, rozetnijcie go wzdłuż linii, wyobrażonych na fig. 1; łatwo teraz z tych kawałków ułożycie prostokąt, jak na fig. 2. Każdy powie, że w tym prostokącie jest tyleż pól, co na szachownicy, bo skąd by się jakieś pole wzięło, albo gdzie by się podziało. Rachujmy!

5 rzędów po 13 pól, 5 razy 13 czyni 65.

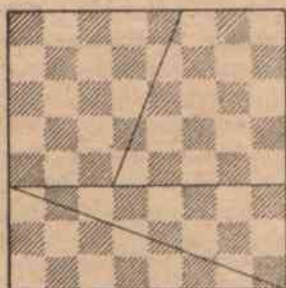


Fig. 1

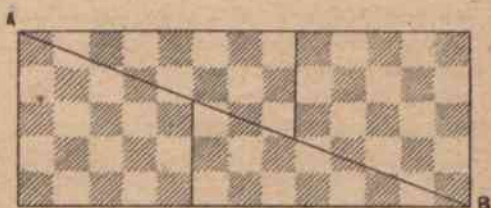
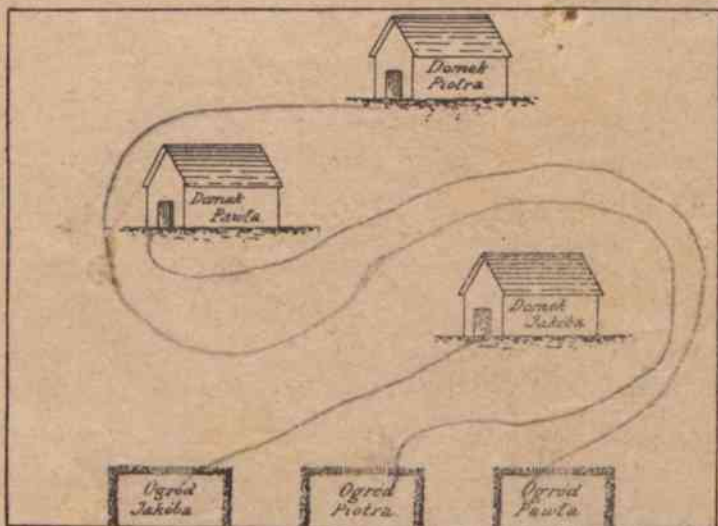


Fig. 2.

### Kłótnia braci.

Gdy stryj umarł, Piotr, Paweł, Jakób odziedziczyli po nim całą fortunę i zaraz się pokłócili przy podziale—każdy utrzymywał, że go bracia skrzywdzili.

Ponieważ jednak spadek składał się z trzech domków i z trzech ogrodów, łatwo było dokonać równego podziału. Ale znowu każdy chciał mieć ogródek jak najbliżej domku (ogródki znajdowały się



w pewnej odległości). Spór się zaostrzył, Piotr, Paweł i Jakób zaczęli rzucać w siebie ostre słowa. Wreszcie pokłócili się nadobrze.

Później spostrzegli, że źle zrobili, każdy to sobie po cichu powiedział, ale miłość własna nie pozwalała się przyznać gło-



šno. Aby zaś nie rumienić się ze wstydu, unikali spotkania ze sobą. Łatwe to nie było; spojrzawszy na rysunek nasz, niejeden czytelnik może nawet pomyśleć, że niemożliwą jest rzeczą przeprowadzić tak drogi z domków do ogródków, aby się nie przecięły, a więc aby któregoś dnia nie nastąpiło spotkanie. A jednak bracia już od dwu lat mieszkają w domkach, chodzą do ogródków i nie spotkali się nigdy, gdyż dróżki nie przecinają się wcale.

Jak tedy idą te dróżki.

## Gdzie się podziały cygara?

Jeden z naszych czytelników przysłał nam dość zawiły wypadek. Otrzymał w podarunku w dzień Wielkanocy pudełko do cygar, składające się z pudełka drewnianego, delikatnie ażurowanego, podzielonego na dziewięć równych przegródek. Osiem z tych przegródek przeznaczono na cygara, dziewięć, umieszczona we środku, zawiera zapalki. Nasz czytelnik pomieścił w 8 przegródkach trzy tuziny cygar i postanowił wypalić je sam, bo, jak przyznaje, jest ich amatorem... i w tym razie samolubem. Ale ponieważ wie, że jego służący jest niebardzo skrupulatny w tych rzeczach, ostrzegł go, że ułożył swoje cygara w taki sposób, że w każdej stronie pudełka znajduje się 9 cygar. To się znaczyło, że spostrzeże najmniejszy ubytek. Służący uśmiechnął się szyderczo, co zaniepokoiło naszego czytelnika. Dla tego też codziennie sprawdzał zawartość swego pudełka. Otóż pięć razy zauważył wprawdzie, że rozmieszczenie cygar w przegródkach zostało zmienione, ale ponieważ zawsze było po dziewięć cygar w każdej stronie, nie zrobił więc żadnej uwagi służącemu.

Jednakże dnia piątego wzięła go ciekawość policzyć cygara i skonstatował ze zdumieniem, że wszystkich cygar było tylko ośmnaście. Sam nie wypalił ani jednego cygara; pyta się zatem, w jaki sposób jego służący ułożył kolejno pięć czworoboków cygar, aby wypalić ich połowę, pozostawiając jednak zawsze dziewięć cygar po każdej stronie pudełka.

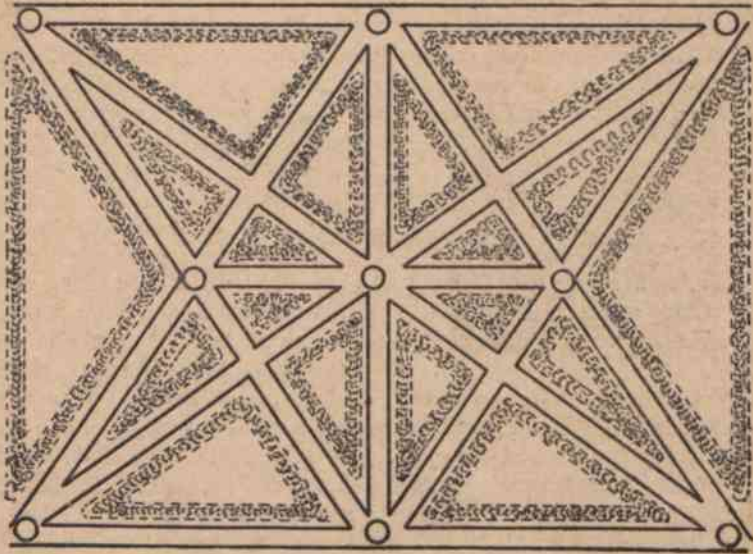
Może nasi czytelnicy mogą go objaśnić — o co prosi za naszym pośrednictwem.

	9	
9	zapalki	9
	9	

## Rozwiązania

Rozwiązanie ciekawego zegara zamieścimy w przyszłym numerze, ponieważ dotychczas otrzymaliśmy jedno tylko rozwiązanie a mianowicie od p. Heleny Jarudówny. Może jeszcze kto pokusi się o rozwiązanie tego trudnego lecz ładnego zadania.

## Ogród sułtański.



*Rozwiązanie nadesłali:* - Bolko Lisowski z Kanawy, Alicja Bromejsen z Kalwarji, Helena Jarudówna z Welpesia, Roman Włodarski z Żółkiewki, Adam Bahr z Antonin, C. Turobojski z Bujnic, M. Domański z Tawlika, Jan Gumkowski z Odesy, E. Korecki z Kujanówki, Emil Trepte z Warszawy, C. Kapczyński ze Słupcy, J. Birenchwajg z Sulejowa, Ed. Truszkowski z Szczuczyna, S. Dobrowolski z Balińskiej fabryki, J. Lorens z Silniczki, L. Skibiński z Warszawy (rozwiązanie odmienne, ale dobre), Wł. Kibort z Staromyśla, Władysław Jankowski z Janowa, A. Krokowski z Nowogrodsiewierska, G. Brzezinski z Warszawy, Towarzystwo Nalkie, Franciszka Chwatt z Wielunia, Henryk z Litwy, Józef, Zygmunt i Antoni (rozwiązanie odmienne, ale dobre).

## Szarada.

## „Karjatyda.”

*Rozwiązanie nadesłali:* Adam Kucewicz z Hoszczy, K. Stuziński z Pruszkowa, Wł. Kibort z Staromyśla, Stanisław Bielawski z Słonima, Ilkowska, H. Oleszkowski, Włodzimierz Wiśniewski i Aleksander Krokowski z Nowogrod-Siewierska, M. Domański z Tawlika, Adam Bahr z Antonin, Julian Łapiński z Dąbrowy, Artur Bremejsen z Kalwarji, Adela Sągín z Grodna, A. Krokowski z Nowogrodsiewierska, J. Tykocinerówna z Włocławka, J. Lorens z Silniczki.



**S. p. Bernard Hantke**

Dnia 21 kwietnia zmarł w Warszawie człowiek, którego imię chlubnie się zapisało na kartach przemysłu krajowego. Ś.p. Bernard Hantke był jednym z najbardziej znanych i szanowanych przemysłowców naszych; urodzony w r. 1826, po ukończeniu gimnazjum w Warszawie i instytutu gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie, poświęcił się na razie rolnictwu. Przez czas jakiś zarządzał majątkami prywatnymi, poczem osiadł na własnym zagonie. W r. 1864 wchodzi po raz pierwszy na widownię przemysłu, jako wspólnik fabryki „Scholtze i Repphan“. Odtąd rozwijać zaczyna na tem polu działalność energiczną i nieustrudzoną, działalność tem chlubniejszą i trudniejszą, że niemiał w niej poprzedników, że postępował szlakami nieutartymi; działalność ta zyskała mu też szczytne miano pioniera rodzącego się w naszym kraju wielkiego przemysłu. W r. 1868 nabywa fabrykę gwoździ, która po przebudowaniu i znacznem rozszerzeniu

zamieniona zostaje na towarzystwo akcyjne. W kilka lat potem otwiera wielką hutę w Częstochowie; nieustrudzony w swej pracy umie fabryki swoje tak rozszerzyć, że dziś obejmują prócz warszawskiej i wielkiej walcowni w Częstochowie olbrzymie zakłady w Saratowie i Ekaterynosławiu.

Mimo tej rozległej i uciążliwej działalności na polu przemysłowem, nie zapominał ś.p. Hantke o obowiązkach obywatelskich: cały szereg instytucji społecznych, że wymienimy tylko komitet przemysłowy, bank dyskontowy, bank państwa, komitet statystyczny, komitet do spraw fabrycznych, komisja podatkowa i wszystkie niemal zakłady dobroczynne, miały w zmarłym nieustrudzonego współpracownika. A i dobroczynność miała w nim gorliwego orędownika. Stykając się blisko z robotnikami, miał sposobność poznać dokładnie ich potrzeby i usilnie starał się o złagodzenie ciężkich nieraz warunków pracy. To też robotnicy otaczali go zawsze miłością i szacunkiem, na jakie sobie u nich całem swem życiem zasłużył. Dowodem tej czci i miłości był pogrzeb zmarłego, w którym wzięli udział, prócz tłumów publiczności, wszyscy robotnicy rozległych zakładów miejscowych i zamiejscowych.

Ś. p. Bernard Hantke nie tylko był sam gorliwym działaczem na polu przemysłu, ale umiał zamiłowanie do tej gałęzi pracy społecznej wszezepić w synów swoich, stwarzając w ten sposób pokolenie dzielnych, i świadomych celu przemysłowców i dobrych obywateli.

Cześć Jego pamięci!

R.



### Rozwiązanie gry Hamiltona.

Pasażer, który wyjechałszy z A, dotarł przez F, L, R, do U, jechać dalej powinien przez: Q, K, P, T, S, M, N, G, B, C, H, O, I, D, E do A.

*Rozwiązanie nadesłali:* Bolko Lisowski z Kanawy, Helena Jarudówna z Welpesia, Roman Włodarski z Żółkiewki, Adam Bahr z Antonin, M Domański z Tawlika, S. Dobrowolski z Balińskiej fabryki, J. Lorens z Silniczki, Władysław Jankowski z Janowa, K. Stądziński z Pruszkowa, Antoni Zaliwski z Słobody Buturlinowskiej; Adam Kucowicz z Hoszozy, Edward Rüdiger z Świętej Woli, A. Krokowski z Nowogrodsiewierska, Józef, Zygmunt i Antoni, G. Brzeziński z Warszawy, Piotrowicz z Kowna, Franciszka Chwatt z Wielunia, Henryk z Litwy, Stanisław Dobrzyński z Rygi, Józefa Lisowska z Nowoświęcian.

**4 rb. w roku bieżącym, 4 rb.**

rocznie w Warszawie.

**1900-ym**

rocznie na prowincji.

**„Kurjer Polski”**

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

**Ludwika Straszewicza.**

Cena „Kurjera Polskiego” w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1.

Przy „Kurjerze Polskim” od Nowego Roku wychodzi:

**„MIESIĘCZNIK”**

**ILLUSTROWANY,**

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera”.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego” (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

**4 rb.**

rocznie na prowincji.

WARSZAWA

Marszałkowska № 141.

**4 rb.**

rocznie w Warszawie.



# TOWARZYSTWO

## „L'Urbaine“.

Każdy człowiek, nawet najuboższy, powinien **oszczędzać** ze swego zarobku, aby złożyć sobie kapitał na starość, zaś na wypadek swojej śmierci uchronić rodzinę od nędzy. Jestto najświętszy jego obowiązek wobec rodziny, ludzi i Boga. Lecz człowiek umrzeć może **każdej chwili**, nie zebrawszy dla rodziny dość pieniędzy, a wtedy najbliższe dlań osoby zostają w ubóstwie.

Nikt śmierci nie ujdzie, lecz każdy może uchronić rodzinę przed nędzą, jeżeli zabezpieczy swe życie w Towarzystwie „L'URBAINE“.

Niech płaci do tego Towarzystwa małą składkę, a choćby umarł najszybciej po ubezpieczeniu, to rodzina jego otrzyma natychmiast umówiony kapitał. Jeżeli zaś dożyje do oznaczonego wieku, to może otrzymać **sam cały kapitał** na starość. W razie dłuższej choroby lub nieszczęśliwego wypadku w terminie płacenia składek, ma prawo nie płacić ich, aż będzie mógł znów pracować. Jeżeli stanie się na zawsze niezdolny do pracy, to natychmiast otrzyma  $\frac{3}{4}$  kapitału, a  $\frac{1}{4}$  w terminie.

Składki płacą się kwartalnie, półrocznie albo rocznie. Od większego kapitału płaci się większa składka. Starsi płacą trochę drożej, niż młodszy.

Oto przykłady:

Człowiek 50-letni może składać co rok **po 23 rub. 30 kop.** za 500 rubli, które będą natychmiast wypłacone po jego śmierci. Od 1,000 rubli składa co rok po 46 rub. 60 kop.

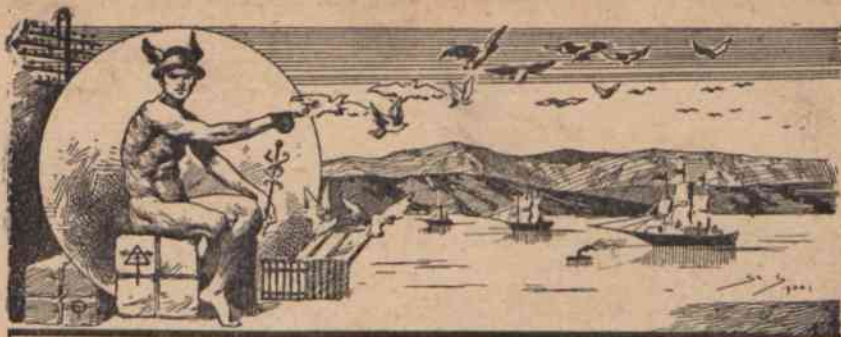
Człowiek 30-letni może składać co rok **po 19 rub. 50 kop.**, jeżeli chce, aby 500 rubli wypłacono natychmiast rodzinie po jego śmierci, albo jemu samemu, gdy żyć będzie po upływie 25 lat. Od 1,000 rubli składa co rok **po 39 rub.**

Wogóle każdy może umówić się z Towarzystwem, jak chce, i dawać składki stosownie do swego wieku, zarobków i położenia rodzinnego. Sposobów umowy jest bardzo wiele, na różne sumy i różne terminy.

Ubezpieczenie na życie jest **korzystniejsze** od składania pieniędzy na procent, bo zapewnia **spokój** o los rodziny. Każdy rzemieślnik, ofcjalista, robotnik winien się ubezpieczyć.

W celu zapewnienia kapitału dla ubezpieczonych, Towarzystwo „Urbaine“ złożyło do Banku Państwa pół miliona rubli kaucji i składa tamże swoje fundusze zapasowe pod kontrolą Rządu. Ubezpieczeni otrzymują kwity z pieczęcią Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Dla zawarcia umowy przychodzić lub pisać do Tow. „L'URBAINE“ w Warszawie, ul. Nowo-Zielna № 51.



## 2 dziedziny wynalazków.

Liczbę wynalazków krajowych powiększył świeży aparat pomysłu p. Bogumiła Niedzielskiego, przeznaczony do gotowania. Wynalazca aparat swój nazwał „samowarem-kuchnią,“ ponieważ zewnętrznym wyglądem nie różni on się prawie od zwykłego samowara, a służy jednocześnie do gotowania potraw, nagrzewania żelazek do prasowania, dezynfekowania mieszkań i t. p. Niezmiernie ważną zaletą samowara-kuchni jest to, że pali się bez knota, dzięki czemu nie tylko stanowi pewną oszczędność, ale nie wytwarza absolutnie żadnego smędu, nie zanieczyszcza palnika i nie kopsi.

Samowar-kuchnia wynalazku p. Niedzielskiego ogrzewa się nieznanym dotąd u nas pływem, spreparowanym również przez p. Niedzielskiego, a nazwanym „pyroliną.“ Płyn ten posiada tę wielką zaletę, że jest bez odoru, przy paleniu nie wydaje najmniejszego smędu ani kopsia i nie zagraża niebezpieczeństwem wybuchu. Samowar-kuchnia p. Niedzielskiego zagotowuje się nadzwyczaj szybko, tak, że aparat objętości 25 szklanek wymaga nie więcej nad 15 do 19 minut czasu do zagotowania się. Palnik samowara-kuchni posiada regulator, pozwalający dowolnie

zniejszać lub zwiększać płomień, a nawet stłumić go na kilka godzin, przy czem jednak woda w samowarze utrzymuje wymagany stopień temperatury.

Koszt nastawienia samowara na 25 szklanek wynosi 1½ kopiejki.

Wynalazek p. Niedzielskiego został opatentowany na wszystkie państwa Europejskie, a próba publiczna, dokonana w sali muzeum przemysłu i rolnictwa wykazała całą jego doniosłość, pozwalającą stanowczo twierdzić, że samowar-kuchnia zrobi zupełny przewrót w dotychczasowej fabrykacji samowarów. Technicy i fabrykanci, obecni na próbie wydali jednogłośnie najpochlebniejszą opinię o wynalazku p. Niedzielskiego, a jakkolwiek liczne firmy zagranicznie starały się usilnie o nabycie wynalazku na własność, samowar-kuchnia pozostanie w kraju i dzięki poparciu kapitalistów naszych, w kraju eksploatowanym będzie.

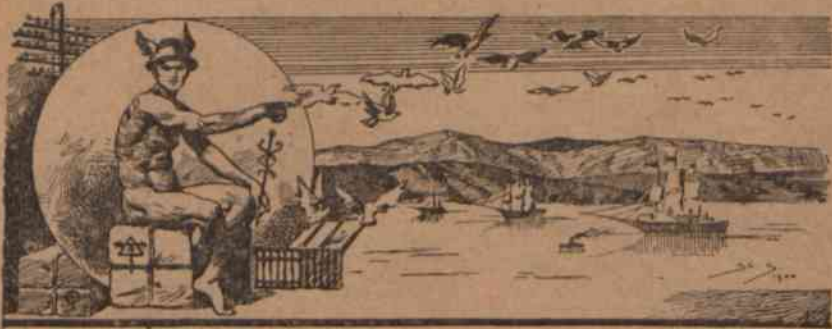
Fabryka samowarów kuchni p. Niedzielskiego pod firmą „Halina“ już rozpoczęła funkcjonować, tak, że wkrótce praktyczny ten wynalazek wejdzie w powszechne użycie.

Należy jeszcze dodać, że pyrolina, pomysłu p. Niedzielskiego służy do wszystkich maszynek gazo-naftowych, wskutek czego użycie kopającej nafty lub wybuchowej benzyny staje się odtąd zupełnie zbytecznem.

*Inż. J. B.*

Дозволено Цензурою Варшава 11 Апрелья 1900 года.

Redaktor i Wydawca **Ludwik Straszewicz.**



## Alkazar.

Komu z warszawiaków, a nawet i mieszkańców prowincji nie znany jest zakład restauracyjno-cukierniczy, istniejący już długie lata przy Teatrze Nowym na Królewskiej, pod nazwą **Alkazaru**? Znamy go wszyscy, a dla wielu wiąże on się z miłym wspomnieniem niedawno minionej przeszłości. **Alkazar** miał swoje świetne czasy a zawsze należał do zakładów przyzwoitych, odwiedzanych przez publiczność wykwiwną, przez rodziny całe. Obecnie wrócili dawne najlepsze czasy **Alkazaru**, nowi właściciele bowiem, energiczni młodzi handlowcy, zabrali się do odrodzenia **Alkazaru** z całym zapalem nie szczędząc pracy i kapitału. Cały lokal **Alkazaru** został nie tylko z gruntu odnowiony; lecz jako przystało na zakład, nęsiadujący z przybytkiem sztuki, urządzony jest wewnątrz z prawdziwie artystycznym smakiem. Zarówno piękne malowidła, zdobiące ściany **Alkazaru**, jak i meble, lustra i t. p. — wszystko stylowe, mile wabi oko. Cukiernia **Alkazaru** obfituje zawsze w wyborne ciasta, cukry i napoje chłodzące, restauracja posiada wykwiwną kuchnię i bufet, zasobowy w nowalje sezonowe i trunki wszelkie. Ceny w **Alkazarze** są bardzo niskie, zdrowy i smaczny obiad z czterech dań kosztuje 30, a z pięciu dań 50 kop. Usługa mężka jest szybka i grzeczna. Rachunki podają gościom z bufetu. **Alkazar** oprócz wielkich sal ogólnych posiada oddzielne, z komfortem urządzone gabinety z pianinami, salę bilardową i ogród restauracyjny. Wogóle jest to zakład, jakiego brak było w Warszawie, odpowiada wszelkim wymaganiom gastronomii i higieny, będąc

jednocześnie odpowiedniem miejscem, gdzie na godziwej rozrywce kilka godzin bardzo przyjemnie spędzić można.

## Szach perski w Warszawie.

Jak wiadomo, Szach perski, w przejeździe na wystawę do Paryża zabawi kilka dni w Warszawie. Znana jest hojność tego monarchy z poprzednich jego wizyt u nas, każdą bowiem bytność swoją w Warszawie upamiętniał zawsze kosztownymi podarunkami, jakie otrzymał każdy, zbliżony do osoby Szacha podczas pobytu jego. Upredzając obecny swój przyjazd, Szach perski przysłał do Warszawy adjułanta swego, majora Puf-Ed-Dina, celem przygotowania zawczasu podarunków. Major Puf-Ed-Din przywiózł z sobą z kilkadziesiąt tysięcy drogich kamieni, jak brylantów, rubinów, szafirów i pereł z listem polecającym Szacha do znanego jubilera tutejszego p. Antoniego Żeliszawskiego, ażeby tenże odpowiednio opracił kamienie w złoto. Szach perski już podczas poprzednich wizyt zaszczycał zawsze względami swemi p. Żeliszawskiego i tak samo u niego robił zakupy. W r. z. p. Żeliszawski na obstatunek Szacha Perskiego samych bransolet złotych wysłał za 30,000 rubli do Teheranu. Wielka gwiazda brylantowa, „talizman szczęścia“, z którym Władca Persji nigdy się nie rozstaje pochodzi również ze znanej **pracowni jubilerskiej p. Antoniego Żeliszawskiego**, który od niedawna wspaniały magazyn swój przeniósł na ulicę Nowo-Miodową № 1. Zamówienia robione przez Szacha u p. Żeliszawskiego pochlębnie świadczą o usługach tej firmy.



# J. Zabokrzecki i S-ka

WARSZAWA

Plac Teatralny—obok Ratusza (Senatorska 22)

Marszałkowska № 124, (dom Towarzystwa „Rossja“).

Adres telegraficzny: „Warszawa—Zabokrzecki“.

Zamiast miedzianych



## WYROBY NIKLOWE

ze znanej największej  
walcowni niklu

Fleitmann, Witte & Co.



## Naczynia Kuchenne i Stołowe

oraz inne w zakres gospodarstwa wchodzące.

Naczynia niklowe nie wymagają pobielania, nie oksydują się nigdy i podług badań chemiczno-hygienicznych uznane zostały za zupełnie pewne pod względem zdrowia, czego nie można powiedzieć o naczyniach miedzianych, które, jak wiadomo, bardzo często stają się powodem zatrucia organizmu.



Tamże:

## LÓŻKA ŻELAZNE,

Piece, Kuchenki, Wanny, Lodownie, Tace, Wagi,  
Naczynia kuchenne

oraz inne przedmioty gospodarstwa domowego  
z fabryk krajowych i zagranicznych.



## KOMPLETNE WYPRAWY.

Wielki wybór praktycznych podarunków ślubnych i imienninowych  
z zakresu gospodarstwa domowego.

